PISMA

Henryka hrabi Rzewuskiego.

PISMA

Henryka hrabi Rzewuskiego.

PISMA

Henryka hrabi Rzewuskiego.

Tom IV.

PETERSBURG.
Nakładem B. M. Wolffa.

1851.

WILNO.—Drukiem Józefa Zawadzkiego.—1850.

TEOFRAST POLSKI

PRZE

AUTORA ZAMKU KRAKOWSKIEGO.

Paga gli adulatori, o ascolta la verità.
ARETINO.

Tom II.

PETERSBURG.

NAKŁADEM B. M. WOLFFA.

1851.

Позволяется печатать съ тѣмъ, чтобы по отпечатанію было представлено въ Цензурный Комитетъ узаконенное число экземпляровъ. Вильно, 12 Маія 1850 года.

Цензоръ К. Павловскій.

Czcionkami K. Krayа.

SZULERSTWO.

Raptowne przechody z mierności do bogactw, pospolicie wątlą charaktery. Bo zaledwo praca ciężka, jest zdolną przeciwważyć temu co jest niebezpiecznego w posiadaniu bogactw, do których użycia, wychowanie nie przygotowało. Bogactwo lubo jest darem mogącym być obróconym na pożytek kraju, bliźnich i własnego zbawienia, nie może być celem istoty tak duchowéj jak człowiek. Jeżeli w powszechności, ludzie wyłącznie przemysłowi oddani, nie sprostają w cnocie ludziom jedynie rolnictwem zajętym, to właśnie dla tego, że ci powolnym krokiem postępują ku dostatkom, pod czas kiedy tamci często raptownie tworzą sobie wielkie bogactwa. Między kupcami i rękodzielnikami, bywają zapewne ludzie najrzadszych cnot i wzorowéj pobożności, jako też bywają ludzie skażeni między rolnikami. Wszakże jest pewnik niczém nie zbity, że narody rolnicze i pasterskie, z podaniami ojczystémi, przechowują wszystkie cnoty społe-

czeńskie, i są zdolne podnieść siebie do największych poświęceń, dla jakichś przekonań moralnych, które w nich się wyrobiły; podczas kiedy narody żyjące z przemysłu, są zwykle samolubne, chciwe, rozwiązłe i obojętne na to wszystko co przechodzi obręby wyrachowanych korzyści indywidualnych.

Naród angielski lubo bez miłości bliźniego dla obcych narodów, i zawsze przeciwko nich uzbrojony samolubną i nielitościwą polityką, jednak w swojéj obyczajowości wnętrznéj, życiu rodzinném, uczuciami honoru, pobożnością, miłością dla swoich praw i instytucyi, wstrętem od tego wszystkiego co jest nieuczciwém a nawet nieprzyzwoitém, przewyższa wszystkie inne narody. Ale wielce by go skrzywdził ten, co powierzchownie biorąc rzeczy, ośmielił by się twierdzić że przemysł jest posadą jego narodowości. Lubo w żadnéj społeczności rezultata przemysłu nie były tak kolossalne jak w téj od Boga uprzywilejowanéj wyspie, naród angielski jest rzeczywiście narodem rolniczym. Jego arystokracya, ochronicielka jego sławy i jego swobód, a dzierżąca zakład wszystkich jego podań zachowawczych, jest opartą na właścicielstwie ziemskiém. Przedstawicielstwo narodu w izbach prawodawczych, nie jest pod wpływem kupców i rękodzielników, ale właścicielów i uprawiaczów roli. Nigdzie rolnictwo do tak wysokiego stopnia nie podniosło się ile w Anglii. Nigdzie, wyjąwszy dawnéj Polski, arystokracya równie nie miłowała życia wiejskiego.

Nakoniec, chociaż kapitały skupione w rękach anglików oddanych przemysłowi, przechodzą wszelkie wyobrażenie ilością swoją, chociaż stowarzyszenie z niektórych przemyślników angielskich złożone, długim szeregiem podbojów, zdołało utworzyć państwo i bogactwami i ludnością potężniejsze od wszystkich państw Europy, jednak mądry rozsądek opinii publicznéj, nigdy najbogatszemu bankierowi nie przyzna wyższości, nad dziedzicznym i spadkowym właścicielem szczupłego kawałka ziemi. Hollandya jak niegdyś Kartago, duch swój narodowy wyłącznie czerpie z przemysłu, to też jéj stan moralny i obyczajowy za wzór służyć nie może.

Jeżeli w narodzie, cześć dla rolnictwa upada, tak dalece, że nie jest szacowane tylko o ile przemysł daje wartości jego płodom, a przemysł tak przywabia obywatelów, że oni biegną na wyścigi w zakładaniu rękodzielni; jeżeli wieśniaka odrywają od pługa, by go przykuć do warsztatu; jeżeli facyendarstwo nie srom, ale owszem pewien rodzaj wziętości daje obywatelowi; wątpliwości nie ulega, że tam demoralizacya szerzyć się musi, w któréj skutku, jakaś niewielka ilość ludzi przyjdzie do znacznych bogactw, ale najdotkliwsza nędza rozprzestrzeni się w massie narodowéj.

Nie potrzeba na to gruntowniejszego dowodu, jak obraz stanu Francyi teraźniejszéj, gdzie arystokracya ziemiańska, obaloną zostawszy nieodzownie, żadnéj

przeciwwagi nie można położyć, wymaganiom ciągle wzrastającym ludzi przemysłu, którzy zostali spadkobiercami jéj sił, ale nie jéj cnot i przymiotów. Nic opiekuńczego dla narodu nie pojawiło się dotąd w téj arystokracyi baronów giełdy, bez przodków, bez litości dla ludu, a którzy nie mogli nie otrzymać władzy tam gdzie pieniądz już się stał wszystkiém. Ten szkaradny patrycyat spekulatorów, wstrzymywany w karbach potężną dłonią Napoleona, ciągle się wzmagając pod łagodném ale bardzo mało przezorném berłem przywróconéj prawéj dynastyi, przyszedł do tego że już niczém nie daje nasycić, wyniosłości swoich żądz. Sam przyprowadziwszy do ostatniéj nędzy większą połowę Francuzów*, umiał wmówić téj massie nędzarzy, że prawa dynastya panująca we Francyi, a raczéj prawowitość rządu, jest jedyną przyczyną téj nędzy, a opatrzywszy sobie schronienie na wszelki wypadek niebezpieczeństwa, rzucił ten motłoch zgłodniały i zaślepiony, na przeciwko spotwarzonego króla. Bo władza oparta na łasce Boskiéj, a nie na jego woli, nadto go upokorzała, żeby mu smakować miała. Arystokraci przemysłu, bez obawy widzieli zwycięstwo motłochu, bo słusznie przeczuwali że siła brutalska, z

---

* Właściciele rękodzielń, wyrobników swoich przyprowadzili we Francyi do stanu najsromotniejszéj niewoli, a jednak legalnéj, bo sami prawa piszą.

siebie niewyrobi władz politycznych. I po wywrocie porządku, zaraz wyleźli z swoich kryjówek, żeby uchwycić to, co motłoch ani umiał, ani mógł przy sobie zatrzymać. Wyrobnicy na to tylko krew swoją przelali, żeby zamiast prawego króla, bankierowie, właściciele rękodzielń, juryści, dziennikarze, professorowie urzędowi, podradczycy, szachraje na funduszach publicznych utuczeni, i inne pijawki narodu, o jego losie, a nawet samym bycie stanowiły.

W saméj rzeczy, to tak nazwane mieszczaństwo Paryskie otrzymało władzę nad całą Francyą. A pierwszy książe krwi królewskiéj, za zdradę swojego pana, dobroczyńcy i głowy jego rodu, w nagrodzie dostał od tego mieszczaństwa zaszczyt, być pod tytułem króla, jego agentem i sługą odpowiedzialnym.

We wszystkich społecznościach wylęgłych na gruzach państwa Rzymskiego, pojawiło się było samém prawem konieczności, szlachectwo, owe najpotężniejsze narzędzie polityczne w rękach pomazańców Bożych*. Ono pojawiło się we Francyi z Klowisem,

---

* Szlachectwo jest instytucyą Katolickiego Kościoła, i było jedynym warunkiem jednolitości politycznéj w ciałach mających się złożyć z hordy podbójczéj i społeczności podbitéj. Ta instytucya bez przykładu w starożytności była naśladowaną w społeczeństwach usiłujących dostąpić do europejskiego ukształcenia, ale to naśladowanie nigdy nie miało żywotności. Gdzie szlachectwo nie rozwinęło się z

ale jako dziecię odważne, silne i nierostropne; dopiero przez Karola Wielkiego uporządkowane zostało, a w wojnach krzyżowych otrzymało namaszczenie. Któż przeczy, że zboczyło od swojego powołania. Ale chociażby te wszystkie deklamacye plebeizmu, o zdrożnościach stanu szlacheckiego i jego nadużyciach były i rzetelną prawdą, nic innego nie dowiodły by tylko to o czém każdy wié dobrze, że rzecz stworzona w czasie, a bytująca tylko w czasie, jest skazitelną. Potrzeba było dla szlachectwa francuzkiego dziewięć wieków panowania i niezmiennego szczęścia, żeby go doprowadzić do kału obyczajowego Regencyi, któréj obraz tak jest gorszący dla dusz cnotli-

---

natury rzeczy, tam ani jest potrzebne, ani nawet istnieć nie może, tylko rzekomo. Kto upatruje jakąś analogię między patrycyatem Rzymskim, a szlachectwem feudalném, dowodzi tylko że historyi nie rozumié. Gdzie tylko społeczeństwo rozwinęło się jednolicie rodziną, a nie aggregacyami, gdzie nawet w tym ostatnim wypadku, zwycięzca nie skojarzył się ze zwyciężonym na stanowisku religijném, tam prawdziwe szlachectwo nie mogło się utworzyć. W państwie Rzymu wschodniego nigdy jego nie było; po jego ujarzmieniu mogło by się pojawić, żeby Turcy byli przyjęli wiarę chrześciańską. Największy człowiek, Napoleon, czuł czego niedostawało Francyi, i usiłował w niéj wskrzesić szlachectwo. Rozbił się w tém przedsięwzięciu, bo niechciał wiedzieć że twórczość nie jest udziałem potęgi wyłącznie ludzkiéj.

wych. Dość było dla mieszczaństwa Paryzkiego kilkanaście lat panowania, żeby w niém rozpowszechnić korrupcyę nierównie obrzydliwszą, bo obnażoną z wszelkiego uczucia honoru. Nie potrzeba mieszkać w Paryżu żeby się o tém przekonać. Obraz jego obyczajów w teraźniejszém romansopisarstwie francuzkiém, wziętość jaką ten szkaradny rodzaj literatury był otrzymał we Francyi aż do ostatniéj rewolucyi, gazety trybunalskie i pisma wszelkie czasowe, są aż nadto dostatecznym tego dowodem.

To pewna, że odkąd Francya pozbyła się ostatecznie swoich prawych panów, czy kiedy przechodziła przez krwawe zaburzenia, czy kiedy zostawała w swoim stanie niby normalnym, rząd schodził ciągle w coraz podlejsze ręce. Zuchwałe rozbójniki dziś w niéj są zastępione przez tchórzliwych złodziejów, podatki się wzmagają, a nie mogą pokryć zaległości skarbu. Przedstawiacze narodu swoje długi opłacają, a nędza samego ludu coraz się zwiększa. I to być inaczéj nie może w społeczeństwie, gdzie wszystko zredukowawszy się do cyfr, rząd i prawodawstwo zostały częścią ogólnego przemysłu. Nawet pojąć nie można żeby tam, gdzie zaparcie się wszelkich idei exaltowanych, duch ofiary pogardą zesromociło, element rządowy mógł się wydobyć z kąd innąd, niż z professji wyłącznie zajętych nabyciem miłego grosza.

Trudno wymagać wielkiéj delikatności w uczuciach od bankierów, wekslarzy, spekulatorów giełdy i innych

professyonistów wyłącznie zajętych jak najrychlejszém wzbogaceniem siebie, a tém mniéj gotowości do przyniesienia ofiar, bezkorzystnych dla ich indywidualności, choćby dla tego, że praca użyta do tego wzbogacenia się, nie jest w ścisłym stosunku z możebnym rezultatem ich zabiegów. Najzapobiegliwszy w tym zawodzie zawsze nakoniec musi się spuścić na los, bo każda spekulacya mogąca wzbogacić raptownie, tém samém niemniéj raptownie może do ubóstwa doprowadzić *. A właśnie takowa gra jest najniebez-

---

* Z tąd fortuny jakkolwiek czasem kolossalne bankierów i negocyantów, prawie nigdy nad trzy pokolenia w prostéj linii nie dotrwały. Pod czas kiedy często, jedna wioska, w jednym rodzie przez kilkaset lat, od ojców do synów przechodzi. Ludzie przemysłu ile razy wpływali do rządu, zawsze usiłowali przez zawiść, wątlić stateczność posiadłości ziemskich, niszcząc majoraty, fidei comissa, substytucye, wprowadzając podział ojcowizn na równe części między synami i córkami, i tak daléj; wszystko żeby jak najwięcéj drobić te posiadłości, i ułatwiać przechody z rąk do rąk, a tém wprowadziwszy ducha facyendarskiego w obywatelstwie, żeby go łatwiéj zdemoralizować. Pany do ubóstwa przyszli, szlachta się zdemoralizowała, a jéj źle nabyte dostatki znikają, ale to bynajmniéj nie utrwala majątków przemysłowych przywłaszczycieli kierunku towarzystwa. Jak wprzódy tak i teraz są to wszystko gmachy wyniesione na lodzie.

pieczniejsza dla moralności. Bo z tego stanu gorączkowego, pobudzanego ciągle przez chciwość, człowiek traci możność powrócenia do swojego bytu normalnego. Jego żywot zostawszy że tak powiém kunsztowym, przestaje być przyrodzonym. I dla tego ludzie namiętnie oddani kartownictwu gier hazardowych, są pospolicie najniemoralniejsi z ludzi.

W wieku XVIII nasza szlachta na prowincyi zamieszkała, była poczciwą, bo wiernie się trzymała podań religijnych i obyczajowych swojego narodu. Ale towarzystwo wykwintne, zarażone dumą umysłową Francyi, chwyciło się trybu życia najprzeciwniejszego tym podaniom. I lubo nie zapierało się uczciwości i dobréj wiary, które nienaruszenie objawiały się we wszystkich tranzakcyach między ludźmi wysokiego towarzystwa, a szlachtą na prowincyi żyjącą, przynajmniéj czas długi; jednak przez jakąś sprzeczność, panowie którzy samém położeniem swojém, całemu narodowi za wzór służyć by powinni, nie wzdrygali się wchodzić w przyjacielskie stosunki, z ludźmi ze wszech miar zasługującymi na wzgardę. Szalbierze kartowi, byle tylko mieli wiele dowcipu i wiele odwagi, na rękach byli noszeni w znudzoném pokoleniu, któremu obyczaje narodowe były obrzydły, a które tylko pragnęło się bawić. Takowe usposobienie musiało nadać wysoką cenę dowcipowi i odwadze, nie téj moralnéj która cnotliwego męża uzbraja przeciwko wszelkiéj nieprawości, ale téj fizycznéj,

któréj lada fechmistrz wyuczyć może zgrabnego młodzieńca. Szalbierz byle miał dowcip do bezczelności posunięty, a udało mu się postrzelić lub pchnąć szpadą tego, któremu sfilowawszy kartę był od niego schwytany na uczynku, był pewny uprzejmego przyjęcia w każdém towarzystwie wyższego tonu, a nawet że o jego przyjaźń dobijać się będą.

Namnożyli się nawet między ludźmi zacnie urodzonymi, zuchwalce, depcący wszystkie prawa religijne i moralne, stawiący siebie za ideały ludzi honoru, dla tego tylko, że życie jak sumienie zawsze byli gotowi stawić na kartę; i za wzory rozumu towarzyskiego, dla tego że ich dowcip, żadném wędzidłem niewstrzymany, wszystkiego sobie pozwalał. Owi Miączyńscy, Ponińscy, Gurowscy, Lulewicze, Wendorfy, i najsłynniejszy z nich wszystkich Hadzkiewicz, którzy kiedy nie wędrowali po Paryżach i Londynach, w Warszawie lub na prowincyi w domach zepsutych magnatów, lub też po kontraktach, sejmikach, jarmarkach, nakładali kontrybucye na łatwowierne namiętności rodaków, systematycznie ich demoralizując.

Rzecz trudna do wierzenia, a która że jest największą prawdą, odwołuję się do świadectwa tych co jeszcze zapamiętają ostatnie lata bytu Polski, a przynajmniéj te pierwsze które po jéj upadku nastąpiły: że szalbierze kartowi byli utworzyli dla siebie w Polszcze istotne władztwo, że byli potencyą silniejszą od tych które się opierały na prawie krajo-

wém, i że często minister lub senator bywał zacieranym w towarzystwie, od członka téj osobliwszéj federacyi. W Warszawie miała ona swoje zjazdy, na których układały się jéj plany. Miała swoją organizacyę, swoją policyę, swoich podkomendnych którzy w zawodzie szachrajstwa wszystkie jéj rozkazy wykonywali, bądź służąc im za szpiegów, bądź ogrywając tych, którzy za nadto nisko stali, żeby sami wodzowie z nimi przestawali. Wszystkie bilary i nierządne domy, były poniekąd pod ich dyrekcyą. W każdym zamtucie były stoliki, zielonym suknem okryte, z kartami i pieniędzmi, a za nimi szulerki, którzy na pewno ogrywali niższe warstwy społeczeństwa. Te szulerki podwładne, najskrupulatniéj przynosili swoją wygranę swoim naczelnikom, poprzestając na tém co oni im zostawią z téj wygranéj. A naczelnicy samowładne i ostre panowanie rozciągali nad tymi podkomendnymi, którzy się im byli oddali z duszą i ciałem, dla tego że porożnieni z prawem, tylko przez ich protekcyę, wolni byli od prozekucyi sądowéj na którą zasługiwali.

Przyszło do tego, że poczytywano za jakiś zaszczyt być oszukanym w karty przez jakiegoś z tych bohaterów, a późniéj być umieszczonym w liczbie jego klientów. Bywały przykłady, że syn senatora lub dygnitarza zgrany i w długi wprowadzony przez Miączyńskiego lub Hadzkiewicza, przystawał do ich służby, naprowadzał im nowe ofiary, krupierował, podrobione karty podrzucał w domach gdzie urodzeniem swojém

wstęp znajdywał, znosząc z budującą cierpliwością, wszelkie od nich poniżenia, wszelkie obelgi, dla tego że tylko przez nich mógł żyć w próżniactwie, zbytku i rozpuście do jakich nawykł. Te szulery wyższego tonu, często ozdobieni dygnitarstwami i orderami, z pistoletu knoty świecom ucinali, i codziennie dla agitacyi parę godzin fechtowali w sali: bo szabla, broń mniéj niebezpieczna ale mogąca obznaczyć piękną twarzyczkę, wraz z kontuszem zarzuconą została; i ściągali ku sobie uwielbienie stolicy, za zręczność i odwagę, któréj częste dowody dawali w pojedyńczych bojach. Prawa milczały na te bezprawia, bo wyższe towarzystwo już tak dalece było zdemoralizowane, że jawne dowody swojéj animadwersyi odważyło się okazać Panu Falkowskiemu, za to że ten mąż pobożny, został delatorem Henryka Niemierzyca, który publicznie Przenajświętszy Sakrament znieważył świętokradztwem; i stając osobiście przeciwko niemu w sądzie, otrzymał przecie dekret wskazujący go na smierć i konfiskacyę majątku: jedno że życie Niemierzyc ocalił, ucieczką do Ameryki. Tu go już ratować nie mogli panięcia Warszawscy, bo poczciwa szlachta na prowincyi miała w rękach swoich władzę sądowniczą, a bardzo mało była dostępną wpływom tych dworaków.

Ten tak smutny stan obyczajowy wyższego towarzystwa naszego, wypływał z doktryn Encyklopedystów wprowadzonych do Polski przez awanturników i guwernerów zagranicznych, chęcią zysku do niéj

przywabionych, i paniczów polskich którzy dla ostatecznego poloru jechali na wojaż do Francyi. A jeżeli ich skutki były u nas więcéj rażące niżeli tam skąd czerpane były, to z bardzo naturalnéj przyczyny. Towarzystwo francuzkie jakkolwiek zepsute, było rzeczywiście ukształcone, a więc zgubne doktryny w niém rozpowszechnione były zasłonięte przynajmniéj prawidłami przyzwoitości, z któremi opinia nie dopuszczała się ominąć, a ta przyzwoitość zawsze cechowała wyższe towarzystwo francuzkie. Ton towarzystwa zupełnie zdemoralizowanego w latach poprzedzających bezpośrednio rewolucyę, był ten że sam jaki był za pobożnéj epoki Ludwika XIV. A gdyby kto dopuścił się cynizmu w salonie, jużby do niego nigdy przypuszczonym nie został, jakieby nie było jego położenie w hierarchii społeczeńskiéj. Francuz lubo przejęty zasadami swoich nowatorów, miał je za rzeczy teoretyczne, i ani przypuszczał żeby się one zastosować dały czy do stanu politycznego, państwa, czy do téj części jego życia prywatnego które było na widoku publiczności. Trzeba było wiele okoliczności niepodwładnych woli ludzkiéj, żeby te zasady urzeczywistniły się nakoniec w bycie społeczeństwa. A kiedy to nastąpiło, arystokracya francuzka jakkolwiek była przyjęła założenia antychrześciańskie filozofów, zaraz cofnęła się przed ich logicznemi wypadkami. I lubo stosownie do ich nauki ciągle powtarzała, że prawo Boskie Królów i opinie tradycyjne ich kasty,

są przesądy poniżające rozum ludzki i wyrobem barbarzyństwa jej przodków, jednak w chwili niebezpieczeństwa, majątek i życie umiała przynieść w ofiarze, i prawu swoich królów, i opiniom swójéj kasty. Tak dalece w człowieku ukształconym, nie ma częstokroć nic wspólnego między sofizmatami rozumu a uczuciem serca.

U nas wcale co innego; ludzie światli jak ich nazywano, ludzie wyższego towarzystwa, uroili sobie że byli ukształceni, a w rzeczy saméj, tyle tylko, że byli zerwali z ukształceniem narodu własnego, a nie doszli do francuzkiego. Byli więc nieukształceni, chociaż tłumaczyli się dość czystą francuzczyzną, i w chwilach wolnych od rospusty cielesnéj, jakąś rozpustę intellektualną we Francyi drukiem ogłoszoną czytali*. A właśnie cecha ludzi mało ukształconych, że są pochopni każdą przez nich poślubioną doktrynę, złą czy dobrą, jak najśpieszniéj do czynu przypro-

---

* Nic więcéj nie dowodzi braku cywilizacyi wyższego towarzystwa Warszawy za Stanisława Augusta, jak wydanie i popularyzowanie Monachomachii przez Krasickiego. W tymże samym czasie we Francyi, Mnichy byli nierównie więcéj wzgardzeni i nienawidzeni niż w Polszcze, ale uczucie przyzwoitości było tam tak silne, że gdyby biskup pozwolił sobie podobne pismo ogłosić, pewnie byłby zgubiony w opinii publicznéj.

wadzić. Gmin jest straszliwie logiczny, i biada rządowi który dopuszcza złym doktrynom mieć z nim styczność. Bo to co uchwyci swojém pojęciem, nie będzie uważać za igraszkę tylko rozumu, ale w to uwierzy, a co wierzy to zaraz czynem usiłuje udowodnić. W tém cała różnica miedzy człowiekiem cywilizowanym, a tym co nim nie jest.

Helvetius usiłował dowieść że wstyd, pudor, jest przesądem narzuconym przez starych i szpetnych, na młodych i powabnych, z którymi współzawodu wytrzymać niemogli, który-to przesąd w obyczaj się zamienił. Ukształceni Francuzi, to osobliwsze zdanie czytali i pochwalali, i na tém koniec. Ale zaledwo nasi ukształceni trzepietarze o tém się do wiedzieli i temu uwierzyli, natychmiast paczęli je urzeczywistniać.

Stan obyczajowy narodów przy ich schyłku, wystawia obraz okropny ale wielce nauczający. Naród, zbiorowe ciało, tak kona jak pojedyńczy człowiek. Cała różnica że w tym ostatnim, rozkład fizyczny poprzedza zwykle upadek sił moralnych. W zbiorowych ciałach owszem, otrętwienie żywiołów moralnych zwiastuje rychłą śmierć, kiedy jeszcze potęga materyalna zdaje się być nienaruszoną. Naród który jest rzeczywiście jestestwem moralném, już umarł, a jeszcze jakieś drgania obiawiają w nim, jako by szczątki żywota, lubo już wygasłego. Wszystko co widzimy w środkowéj i zachodniéj Europie, zdaje się zapowiadać że siły moralne, owa iskra rzucona od Boga

w serca indywiduów, żeby ich zjednolicić w téj całości ktorą zowiemy narodem, opuszczają społeczeństwa. Kto zdoła przewidzieć, co Bóg obmyśli, ażeby ocalić to ukształcenie europejskie, które przez tyle wieków objawiało się tak zadziwiającémi zjawiskami. Mamyż się cofnąć do barbarzyństwa żeby pod innémi warunkami odnawiać zbutwiałą już cywilizacyę, jak to się widzieć dało po zgonie społeczeństwa Rzymskiego? Mają-li kunszta, nauki, najświetniejsze pomniki geniuszu i mądrości, zagrzebać się w upaściach narodów? Mają-li owszem pobudzić się rychło, nowe Boskie powałania, w narodach obcych ukształceniu, ażeby odmłodzić ten świat społeczeński dziś bezsilny w swojéj zgrzybiałości? Albo czy nie zbliżamy się już do tych czasów ostatecznych, po których ziemia z nicestwa Słowem Bożém wydobyta, do nicestwa ma powrócić? Nikt tego odgadnąć nie może, ale że wszechmocność Boga w krótce czémś nadzwyczajném się objawi, tém niewątpię i radziłbym wszystkim do tego się przygotować, bo nie wiemy co ma przeważyć, czy jego miłosierdzie, czy jego sprawiedliwość...

W Polszcze, w ostatnich latach jéj bytu, wyuzdanie ludzi salonowych przechodziło wszelkie granice. Bo jak to zwykle się dzieje w każdém naśladownictwie, oni z cywilizacyi Francuzkiéj to tylko przyjęli co było w niéj zdrożnego, gdyż to najłatwiéj daje się podchwycić. Przytoczę jeden przykład który da wyobrażenie o tém co się u nas działo, ale wprzódy

pozwolę sobie uczynić jedną uwagę. Mądrość narodu wyrzekła, male parta idą do czarta. I nic prawdziwszego. Im więcéj szelmowstwa wpływa do nabycia majątku, tém krócéj on dotrwa. Majątek rządzcy złodzieja, jurysty prewarykatora, zaprzedajnego sędziego, czasem do trzeciego pokolenia dojdzie. Bo choć on wzniósł sie nieprawością, wszakże i jakaś poczciwa praca do tych nieprawości się przymieszała. Ale majątek zrobiony fałszerstwem papierowéj monety, oszukiwaniem kartowém i rozbojem, chociaż by wszystko mu sprzyjało, nigdy do pierwszego nawet spadkobiercy nie przyjdzie, ale roztrwoni się Bóg wié jak. Wszystkie te potężne matadory o których dopiero wspomniałem, do których skarby nieprzebrane ciągle płynęły, co ledwo że nie całkowite pokolenia zrujnowały dla swojéj korzyści, co im w jednéj godzinie dostawały się nie tylko kopy ładunków złota, ale wsie, klucze, i to bez innego z ich strony zachodu tylko że karty w prawo i w lewo się rzucały; lubo że wielu z nich oprócz tych źródeł tak obfitych, zasilało się jeszcze peryodycznémi upominkami dworów zagranicznych i darami Króla, mającego rodzicielskie wnętrzności dla wszystkich ludzi zacnie urodzonych, a puszczających siebie na życie awanturnicze: a jednak oni wszyscy bez wyjątku, najczęściéj cierpieli niedostatek, i wyszli ze świata ubożsi niżeli do niego przyszli. Poniński spadkobierca znacznéj ojcowizny w Poznańskiém, przez którego ręce tyle

milionów przeszło, który uchwycił znaczną część starostw emfiteutycznych, a większą połowę dóbr pojezuickich, który zrobił siebie Wielkim Przeorem Maltańskim, ażeby łapę położyć na wszystkie komenderye tego zakonu w Polszcze, brał pensye znaczne od wszystkich dworów zagranicznych mających wpływy w Polszcze, był w części ze wszystkimi oszustami kartowémi zjeżdzającémi się corocznie na kontrakty Dubieńskie; otoż ów Poniński umarł w ostatniéj nędzy pod ławą żydowską. Miączyński godny jego przyjaciel, wyzuł był braci swoich z majątku i znaczny spadek po ojcu sam jeden odziedziczył. Frymarczył wszystkiém, poczynając od ojczyzny: z kim tylko miał stosunek jaki-kolwiek, tego ograł, albo jeżeli grać nie chciał innym sposobem go odrwił, pełno ludzi bogatych do szczętu złupił, żadnemu swojemu słudze trzech groszy nigdy nie dał, bo to wszystko utrzymywało się z kart: a kiedy umarł, żona i dzieci, jak to mówią, na zawinięcie palca po nim nic nieznaleźli. Lulewicz ów bohater kulisów teatralnych i kontraktów Wileńskich i Dubieńskich, postrach banków, które albo go darmo przypuszczały do swoich zysków, albo wprost mu się opłacały, żeby go niemieć przeciwnikiem; Lulewicz zawsze obładowany złotem, a na każdym palcu noszący solitery, skończył życie o żebranym chlebie. Hadzkiewicz ostatkiem gonił kiedy został schwytany i wywieziony tam gdzie i umarł, a lubo nie tak to dawno przed tém, wygrał

był dwa miliony u Szczęsnego Potockiego, i te w całkowitości odebrał, jego spadkobiercom nic się po nim nie dostało. Gurowski najświetniejszy elegant Warszawski, który razu jednego razem za dwakroć sto tysięcy franków sprowadził dla siebie sukien z Paryża, który tworzył mody, a taką grę prowadził, że jednego wieczora u Pana Podkomorzego koronnego trzydzieści tysięcy czerwonych złotych wygrał. Jakże skończył? Oto osadzony za długi w areszcie, potém umarł, wedle wszelkiego podobieństwa śmierć sobie przyśpieszywszy, a tak podupadły że go z miłosierdzia pochowali. Prawdziwie nie warto zrywać z poczciwością, dla tak smutnych rezultatów!

Otoż ten Gurowski był synem owego bezczelnego Marszałka Koronnego, który na jednym sejmiku gabany od szlachty, jako że brał pensyę zagraniczną, odpowiedział: „biorę, i będę brał, i wam tak radzę robić, bo najlepszy sposób swojéj ojczyźnie służyć, jest rujnować jéj nieprzyjaciół.“ Młody Gurowski był pełen dowcipu, oczytany i nadzwyczajnéj odwagi osobistéj. Chociaż był szpetny, bo podobny do małpy, tak że był przezwany „koko,“ był szczęśliwy do kobiet, pojedynków miał bez końca. Szalbierował w karty, i znaczne kwoty pieniężne wygrywał, z tém wszystkiém zawsze był goły, gdzie mógł zaciągał pieniądze, a nigdy ich nie zwracał. Był posłem na sejmie, miał na nim kilka głosów wcale niezłych, które wszystkie w jednéj broszurce ogłosił, i dedy-

kował Księżnéj de Nassau, Godzkiéj z domu, pod tytułem francuzkim: Coco à Didon. Był spokrewniony z najpierwszymi panami, i u nich był domownikiem. Razu jednego przynaglony potrzebą jedzie do Siedlec, gdzie mieszkała Pani Ogińska, Hetmanowa Litewska, Księżniczka Czartoryjska z domu, pani nadzwyczajnych cnot i pobożności. Trzeba wiedzieć że ona była dożywotnią panią wielkich dóbr które po jéj śmierci spadały na Księcia Jenerała Ziem Podolskich. Owoż tedy Gurowski przyjeżdża z rana do Siedlec, i rusza nie do Hetmanowéj, ale prosto do kościoła, i klęka do spowiedzi przed Proboszczem Siedleckim, czcigodnym prałatem, a mającym u swojéj kollatorki wielkie zachowanie. Wyznaje mu w spowiedzi że będąc przyciśniony potrzebą, zobowiązał się za dwa tysiące czerwonych złotych sprzątnąć, z tego świata Panią Hetmanowę, dogadzając w tém jéj spadkobiercy. Ksiądz przerażony przekłada mu całą szkaradę grzéchu którego się dopuszcza, perswaduje mu żeby tego zaniechał. Gurowski wynurza się mu, że honor jego będzie na zawsze splamiony jeżeli w ciągu tygodnia nie będzie miał dwóch tysięcy czer. zł., a więc że jest determinowany dopełnić zbrodnię. Ksiądz widząc go niewzruszonym, mówi mu: „słuchaj bracie, wstrzymaj się przez parę dni, a mnie pozwól żebym ciebie nie wymieniając, te okoliczność objawił Pani Hetmanowéj, azaliż ona tych pieniędzy tobie sama nie da“. Tego i potrzeba było Gurowskiemu,

a więc na to zezwolił. Ksiądz tego samego dnia to opowiada na osobności Hetmanowéj, ta przerażona niebezpieczeństwem jéj grożącém, a jeszcze więcéj duszy nędzarza, najchętniéj daje dwa tysiące czer. złotych księdzu, żeby je penitentowi swojemu oddał. Tak też się i zrobiło, a uradowany Gurowski że mu się udało powraca do Warszawy, gdzie wszystkich nabawił tą historyą, chwaląc się jéj, jako z dowodu wielkiego swojego dowcipu. W najpierwszych domach tém się popisywał, prawdy nie zasłaniając, a nikt się tém nie zgorszył, owszem unosił się każdy nad tym konceptem.

Namiętność do gier hazardownych tak była się rozpowszechniła w wyższém towarzystwie, że nawet ludzie poważni nie tylko wiekiem, urzędem, ale nawet tacy co byli namaszczeni świętym charakterem, od niéj nie umieli siebie ochronić. Książe Biskup Wileński Massalski, obyczajów z resztą przykładnych, ale obałamucony ogładą encyklopedyczną owczesnéj Francyi, często całkowite nocy trawił przy stoliku zielonym, i był jak krową dojną dla wszystkich oszustów kartowych naszego wielkiego świata. Kajetan Miączyński o którym wspomniałem, tak go był razu jednego ograł, że biskup zaklął się pod czterma literami, że odtąd nigdy z nim grać nie będzie. Z tego wywiązała się śmieszna anegdota w parę lat po tém wydarzeniu.

Miączyński napróżno tentował rozgrzeszyć go z zaklę-

cia, nakoniec Biskup jadąc do Rzymu ad limina apostolorum, po drodze zatrzymuje się w Wenecyi, owéj stolicy rozkoszy, zabaw i swobody. Przychodzi do niego jakiś polak jemu nie znany, ale ofiarujący mu swoje usługi. Wiadomo jak dawniéj panowie świeccy czy duchowni byli przystępni dla szlachty. Książe Biskup wchodzi z nim w rozmowę, dowiaduje się że on od kilku miesięcy bawi w Wenecyi, a więc jako w niéj obyłego zapytuje o zabawach. Szlachcic jemu prawi o miejskich rozrywkach, Biskup go słucha z przyjemnością, bo dobrze się tłumaczył. Nakoniec jak by z niechcenia, odzywa się o jakimś starym Ormianinie, który na placu Śgo Marka w jednéj cukierni bank ciągnie w foraona, że kupy złota leżą przy nim, i że mnóstwo znajomych i nieznajomych jako na publiczném miejscu, tam się zbierają. Biskup każe mu siebie tam zaprowadzić, i bierze z sobą kanonika Kontryma, który mu asystował w podróży. Przybywają, wchodzą, widzą na stole karty, kilka kwart cekinów weneckich, po bokach stołu mnóstwo poniterów grających, a bankiera w kołpaku, z długą brodą, odzianego w kaftanie wschodnim. Biskupowi podają krzesło, on w nim zasiada, i zaczyna sypać złoto na poniterkach. Wkrótce wszystko co miał przy sobie, przeniosło się do Ormianina. Posyła Księdza Kontryma za pieniędzmi, ten mu przywozi tysiąc czerwonych złotych, które poszły za tamtémi; posyła drugi raz, trzeci: nakoniec pięć tysięcy dukatów gdy

przegrał, ksiądz Kontrym mu przekłada, że nie na Wenecyi kończyć się ma ich podróż, i że mogą zostać bez grosza, jeżeli książe nie zaniecha gry z tym utrapionym Ormianinem. Dał się książe przekonać, wstaje i zabiera się opuścić to miejsce, które by rad był nigdy nie poznał. W tém Ormianin opuszcza swoje miejsce, zrzuca kołpak i brodę, a Miączyński staje w swojéj postaci, i mówi księciu Biskupowi: „a cóż Mości książe będzie z tém straszném zaklęciem? Znalazłem sposób ograć Waszą Książęcą Mość, proszę teraz o pasterskie błogosławieństwo, za tak wyborny koncept.“ Można łatwo wyobrazić sobie, złość Księcia Biskupa, że został oszukanym przez tegoż samego Miączyńskiego, ale pieniądze przepadły, chociaż jak się z tém nie taił Miączyński, na pewno były wygrane.

Ten sam Miączyński, był ufundował w Warszawie msze nazwane szulerskie, na które przez kilka niedziel zbierano się u Śgo Krzyża; a ich historya jest następna. Ksiądz Sierakowski kanonik Przemyślski, człowiek pełen rozumu i grzeczności, ale obyczajów wolnych, miał passyę do gry, przechodzącą wszelkie granice. Po całych nocach grywał w karty, a że będąc dobrze zkoligaconym, bywał po pierwszych domach, a nawet zapraszanym do Króla na czwartkowe obiady, więc Miączyński wziął go w swoją opiekę, i wedle swojego zwyczaju zgrał go do szeląga. Ksiądz Sierakowski prosił Miączyńskiego, żeby mu pozwolił grać z

nim na kredkę. Ten mu wręcz odpowiedział: „Żebyś był kanonikiem Krakowskim, Wileńskim, Płockim, to bym wierzył w twoją kredkę, ale kapituła Przemyślska nie ma u mnie kredytu.“ A że ksiądz nieprzestawał nalegać, Miączyński który zauważał był, że on dziwnie pięknie summę śpiewał, a że w owéj epoce nie było zabawki uzupełnionéj, jeżeli nie była zaprawną choć cokolwiek bezbożnością, mówi mu: „Ot wiesz co kanoniku, grajmy tak: ty staw mszę śpiewaną, a ja przeciwko każdéj twojéj mszy, stawię dziesięć czerwonych złotych; nie możesz się skarzyć żebym małą cenę kładł na mszę którą odśpiewasz na moją intencyę, bo za sześć złotych téj saméj łaski dostanę u Pijarów, ale że ciebie kocham, i już wypróżniłem twoje kieszenie, więc niech to będzie rodzaj restytucyi, żeby już żaden skrupuł nie obarczał mojego nadto drażliwego sumienia.“ Kanonik z początku się wahał, nie mogła go nie przestraszać ta myśl, że gra nie na odzież Chrystusa Pana, jak te żołnierze kostery, ale na Jego Samego, na Jego przenajświętszą Krew, Ciało, Duszę, Bóstwo. A jednak namiętność do gry, chęć odwetowania przegranéj, były tak gwałtowne, że zabiera się do grania. Miączyński mógł by śmiało i sto dukatów stawić przeciwko jednéj mszy, bo grał na pewno. Jako też piędziesiąt mszy u niego wygrał, które Sierakowski jako gracz rzetelny codziennie odśpiewywał, a Miączyński wszystkich podkomendnych swoich szulerków, wszystkich

markierów, i inne istoty takowego rodzaju rzemiosł, kazał zapędzać na te msze, i na nich bywał. A co dziwniejsza, lubo żadnéj nie miał religii, jednak wierzył że te tak haniebnie wydrwione msze, mogą mu jakąś pomoc przynieść. Niéma człowieka tak bezbożnego, żeby w jakiejś kryjówce duszy, jakaś przygaszona iskierka wiary jeszcze się nie zachowała. I właśnie ta iskierka, świadectwo na sądzie Bożym przeciwko niemu przyniesie, że jéj nie chciał rozżarzyć, ale owszem, zuchwałemi myślami a zdrożnémi uczynkami, usiłował ciągle ją do reszty przydusić. We Francyi ówczesnéj, nierównie więcéj bezbożnéj niż nią była Polska, ale że cywilizowanéj, za podobną swawolę księdza Sierakowskiego nie dopuszczono by do ołtarza, aż chyba po kilkoletniéj pokucie w jakimś klasztorze, a Miączyński byłby oddany do domu poprawy. Ale w Warszawie, salony nawet pojąć nie umiały całkowitéj szkarady takowego postępku. Że dekonfitura Sierakowskiego wszystkich śmieszyła, więc już to samo jednało mu przebaczenie. A że ten osobliwszy sposób ukarania kapłana kartownika, obmyślany przez Miączyńskiego, był pełnym dowcipu, a dowcip był nierównie więcéj ceniony niż cnota: nie powinno nikogo zadziwiać, że tém Miączyńskiemu nie ubyło wziętości, i że się chwalił z swojego postępku.

KARTOWNICY.

Sierakowski o którym dopiero mówiłem, przyszedł do niemałego znaczenia, w krótce po podziale. Był z pięknéj familji, ale że nie był expectans successionem, więc obrał sobie stan duchowny, jedynie dla chleba kościelnego; bo co się tyczy powołania, on był więcéj stworzony na huzara, niż na kapłana. Zaraz po wyświęceniu się swojém, został kanonikiem Przemyślskim, ale tak wszystkich gorszył na téj posadzie namiętnością swoją do kart, i niewypuszczaniem fajki z gęby, że Cesarz Józef II lubo niemający wstrętu do kapłanów wolnomyślących i wolno postępujących, nie odważył się jednak go wynieść na wakujące biskupstwo o które się starał, i na które wiele miał instancyi za sobą. Po takim despekcie udał się do Warszawy probować szczęścia; a że był dowcipnym, miłym w towarzystwie, z resztą dobrym człowiekiem jak to mówią ludzie światowi, pozyskał był jakieś względy u Króla; nawet, będąc protego-

wanym od Pani Grabowskiéj, potajemnéj małżonki Króla, otrzymał obietnicę już niewiém jakiego biskupstwa. Ale tak gorszącéj szulerce oddał się, że po całych nocach przesiadywał w kartowniach, nawet podejrzanych, a dopiero po wschodzie słońca do siebie powracał, gdzie wypocząwszy parę godzin, szedł do kościoła odprawiać mszę śpiewaną dla dewotek które mu za to płaciły. Z tego powodu książe Prymas Poniatowski, lubo przesiękły bezbożnością francuzką, ale jako mąż wysokiego ukształcenia, przestrzegający nad wszystko przyzwoitość, nie dopuszczał Królowi dotrzymać obietnicy. Łaska Królewska skończyła się na orderze Świętego Stanisława i na jakiejś dość ubogiéj prelaturze Łuckiéj czy Kamienieckiéj.

Ale w Warszawie zbliżył się do Szczęsnego Potockiego, Jenerała Artyleryi, i udało mu się pozyskać jego szczególne względy. Szczęsny był najmożniejszym właścicielem w całéj Polszcze, bo posiadał włości niezmierzone, a bez długów; łaska tego pana była dostateczną żeby zapomnieć o królewskiéj; i w saméj rzeczy opłacił jego długi w Warszawie, wywiózł go do Tulczyna, i dał mu Tomaszpol w dożywocie. On czas jakiś nie wiém z jakiego powodu mieszkał w Humaniu, i miał pod samym Humaniem piękny futor dany mu także przez Potockiego. W czasie krótkiego panowania konfederacyi Targowickiéj, Potocki zrobił go zwierzchnikiem duchownym całego

Województwa Bracławskiego. Kiedy drugi podział nastawał, Sierakowski ogłosił przeciw niemu coś nakształt pasterskiego listu: za co osadzony został w więzieniu w Winnicy.

W tém więzieniu, inny na jego miejscu by i zgnił. Bo już jego protektor Szczęsny był się przeniósł do Hamburga, a nawet zabierał się osiąść w Ameryce; a nie było nikogo, co by za nim przemówił. Jednak to więzienie obróciło mu się na dobre. Trafem szczególnym, syn jakiegoś magnata Rossyjskiego, krewny Marszałka Polnego Rumiancowa, jedynak i już kamerjunkier, razem z Sierakowskim siedział w więzieniu; a to z powodu że wykradł był jakąś Niemkę, i z nią chciał uciec przez Polski kraj, gdzieś za góry, by tam się z nią ożenić. Otóż jego ojciec i familia wyrobili u Rządu że jego kazał ścigać, a wszyscy Gubernatorowie otrzymali zalecenie, żeby go imać, osadzić w więzieniu jako brodiahę, i tam go trzymać aż do nowego rozkazu. W czasie otwarcia Guberni Bracławskiéj, wpadł w ręce Gubernatora Bergmana, który miał przyjaźń z rodziną młokosa, i rozkazał go zamknąć razem z Sierakowskim. Oba poznawszy się z sobą, że byli amatorami kart, po całych dobach grali w faraona. Koniec końców, Sierakowski przegrał był jemu na krédkę kilka tysięcy rubli, kiedy młodzieniec otrzymał od swojego ojca przebaczenie. Sierakowski, przy pożegnaniu, powiedział mu: „Waćpan wylazłeś z jamy, staraj że się i mnie z niéj wypro-

wadzić: tym tylko sposobem dług swój odemnie odebrać możesz.“ I w saméj rzeczy, młodzieniec zaraz po swojém wyjściu na wolność wyprosił u Bergmana przebaczenie Sierakowskiemu, którego jak w najpiękniejszych kolorach przed nim wystawił: a nawet zdaje mi się, że za jego wpływem w stolicy, otrzymał w krótce potém, nowo erygowane Biskupstwo Latyczowskie, nominacya która od Stolicy Apostolskiéj nie była aprobowaną, o co jak widać nie wiele dbał Sierakowski.

W administracyi swojéj duchownéj, pokazał siebie wielkim łupieżcą przychodów kościelnych, jednak sprawiedliwość mu winna być oddaną, że zakonnikom których zabierano się rozpędzić, wyjednał przedstawieniami swojémi protekcyą rządu. Ale też wszystkie klasztory i probostwa musiały się jemu opłacać: nikt darmo żadnego beneficyum nie otrzymał; w sprawach separacyjnych i rozwodowych byle zapłacić, jaki chcieć można było dekret otrzymać: tego rodzaju spraw tyle się pod nim namnożyło, że nawet słudzy obywatelscy zaczynali się rozwodzić. Miał pensyę rządową jako Biskup, miał przychody z kilku probóstw, dożywocie na Tomaszpolu; wielcy panowie, a mianowicie Hetman Branicki jemu świadczyli: a jednak zawsze był goły i w długach po uszy, bo wszystko przejadł, przepił, a najwięcéj przegrał. Zwykle chodził w fraku ciemno-makowym, spód czarny, pończochy czarne jedwabne, i trzewiki. W

Winnicy dawał częste baliki, a jak niéma za co oświecać, posyła do Kapucynów, i via facti wszystkie świece im zabiera, toż i ich spiżarnie. Niech Bóg broni jaki z niego był derus. Ale że karmił, poił, i dawał się ogrywać, opinia publiczna była za nim.

Książe Adam Poniński, nieszczęśliwéj pamięci Podskarbiego koronnego syn, Generał-Porucznik wojsk Polskich, był szulerem z professyi, i najwyższém wyrażeniem szulera owéj epoki. Odważny aż do wściekłości, a jednak w największém niebezpieczeństwie zachowujący najzimniejszą przytomność; bez bojaźni Boga, bez miłości dla bliźnich, bez najmniejszego uczucia wspaniałomyślności, nawet bez tego dowcipu który uprzyjemnia towarzystwo; był to po prostu zbrodniarz, tém straszniejszy że gdy miał wstęp do wszelkich domów, nie można było uniknąć jego spotkania, i trzeba było robić gwałt swojemu przekonaniu, swojemu sumieniu, żeby temu człowiekowi niegodziwemu okazywać powierzchownie że się jego szacuje: albo gotować się do strasznéj bitwy z takim który swoje życie za nic ważył, a którego wystrzał prawie zawsze był śmiertelny. Można postawić na dowód demoralizacyi naszego społeczeństwa, że w niém mógł figurować i cieszyć się jakąś wziętością. Za granicą, gdzie wielką część swojego żywota strawił, był uważany za awanturnika niebezpiecznego, i za nic więcéj; do żadnego domu znakomitego nigdy

UJK Biblioteka Uniwersytecka

nie mógł się wcisnąć; z tego oddalenia się od niego wyższego towarzystwa, któremu zaradzić nie mógł (bo nie można było szukać dla swojego widzimi się zaczepki z ludźmi dostojnymi, bez powadzenia się z policyą), pocieszał się w towarzystwie kartowników, nierządnic, awanturników wszelkiego rodzaju, tam przywabiał niedoświadczoną młodzież wyższego rzędu, zgrywał ją, dopóki nie zagrożony aresztem od zniecierpliwionych wierzycieli, albo od policyi za jakąś niegodziwość, nie uciekł z miasta, by swoje łotrostwa przenieść do innego. Z tego powodu on zagranicy nie lubił, i popisywał się wielką miłością dla swojego kraju. Ale gdzie też mu być mogło lepiéj jak w nim? Pamiętam jak to w pierwszéj mojéj młodości widziałem go otoczonego młodzieżą dobijającą się o jego przyjaźń, pyszniącą się z jego znajomości, radzącą się jego w zadaniach honorowych, jako przyrodzonego sędziego, nie przypuszczając żeby człowiek który kilku ludzi zabił na pojedynkach, mógł być człowiekiem bez honoru.

Nie było miasta w Europie które by nie było jakiś czas teatrem jego awantur. W Paryżu za czasów dyrektoryatu tyle razy zdebankował grę publiczną, świeżo urządzoną przez Barrasa, réj wodzącego wtedy w dyrektoryacie, a która rządowi przynosiła sześć milionów franków rocznego dochodu: że administracya tych gier ofiarowała mu dziesięć tysięcy franków na miesiąc, byle tylko gry przeciwko niéj zaprzestał;

co Poniński odrzucił. Przyszło do tego, że ta administracya postanowiła, że nad dwanaście tysięcy franków nie wolno było stawić razem, prawidło które aż do zamknięcia tych gier dotrwało; i dopiero wyrachowane i zabezpieczone korzyści banku przeważyły nadzwyczajne szczęście Ponińskiego, nie dopuszczając mu z niego korzystać wedle woli swojéj. Tym sposobem wygrawszy na czasie, bank doczekał się zmiany tego szczęścia, tak dalece: że ogromne summy wygrane przez Ponińskiego, a które jeszcze roztrwonione nie zostały jego rozrzutnością, wróciły do banku, a Poniński wedle swojego zwyczaju zadłużywszy się jak to mówią po same uszy, piechotą uciekł z Paryża.

W Hamburgu kiedy był już w ostatnim niedostatku, zapamiętała jego odwaga połączona z bezsumiennością, raptem mu dały bogactwa, które czas jakiś podsycały jego rozpustny tryb życia. Jest to historya trudna do wierzenia, ale prawdziwa. Poniński był się poznał w Hamburgu z jednym Anglikiem cierpiącym splin, ale odważnym, szlachetnym i niezmiernie bogatym. Bywali u siebie; bo Poniński chociaż goły, stojąc w najpierwszéj w mieście austeryi, wiele expensował na rachunek téj-że austeryi, wiedząc iż dopiero przy wyjeździe gościa, gospodarz o swoją należytość się upomina. W kwaterze wszystkie sprzęty były gospodarskie, oprócz gotowalni, i wielkiéj szkatuły którą Poniński napełnił kamieniami

zwyczajnymi, ażeby zaimponować jéj ciężarem oberżyście i jego kelnerom. I w rzeczy saméj oni mu zrobili reputacyę bogatego pana polskiego, w całym Hamburgu. Owoż tedy znając anglika być człowiekiem skorym do rozgniewania się, zrobił mu jakąś przymówkę, która bardzo źle przyjętą była od opryskliwego a dumnego wyśpiarza; przyszło do sprzeczki jaka być może między ludźmi dobrze wychowanymi, to jest dotkliwéj chociaż bez grubiaństwa: aż nakoniec Anglik wyzwał Ponińskiego na pistolety, stosownie do obyczajów swojego narodu. Tego właśnie potrzeba było Ponińskiemu. A że obydwa w jednéj oberży mieszkali, więc zabierają się razem na ten plac gdzie mieli do siebie strzelać; w tém Poniński odzywa się do przeciwnika: „Chciéj wierzyć, że choć się mam bić z WaćPanem, czuję dla niego wysoki szacunek, i pozwól żebym ci dał tego największy jaki dać mogę dowód. Niemam żony i dzieci, ani nikogo takiego który by mnie interesował w mojéj ojczyźnie. Na wypadek żebyś mnie zabił, bądź moim spadkobiercą; oto jest moja szkatuła w któréj znajdziesz po mnie klejnotów, gotówki i wekslów po przedstawieniu płatnych (bo innych nie nabywam) dość wielką ilość: w godniejsze ręce to wszystko dostać się nie może.“ Takowa propozycya będąc osobliwszego rodzaju, tém samém musiała się podobać anglikowi, a niechcąc pozostać w tyle za tak szlachetnym przeciwnikiem: „Dobrze,“ odpowiedział,

„przymuję WPana ofiarę, ale pozwól żeby grą była równa; ja także w mojéj szkatule mam część mojego majątku, którą rozrządzać mogę: jeżeli polegnę z WPana ręki, zostań jéj właścicielem. Wielce WPanu dziękuję za tę myśl oryginalną, żeby ci co siebie chcą zabić, zrobili między sobą układ na przeżycie.“

Oba więc napisali co potrzeba było, i wyjechali na plac umówiony, a za nimi szkatuły: Anglika zamykająca rzeczywiste wartości, a Ponińskiego napełniona kamykami na wielkim gościńcu uzbieranémi. Świadkowie ułożyli strzelanie się do baryery, meta ostateczna była na kroków sześć. Anglik pierwszy stanął u mety, i wziął na cel Ponińskiego postępującego wolnym krokiem, ze spuszczonym pistoletem, a widać było że dobrze strzelał, bo kiedy wypalił, kula przy samych piersiach przeszyła surdut zapięty przeciwnika. Już tedy pewny wystrzał pozostawał tamtemu. Sam Poniński opowiadał to zdarzenie, z resztą wszystkim co bywali w owym czasie zagranicą wiadome, témi słowy: „Mierzę w Anglika, ani drgnął, ani spuścił powieki, patrzał na rurę przeciwko niemu wymierzoną tak obojętnie, jak by nie o niego chodziło. Żal mi się zrobiło tak walecznego męża, ale cóż! byłem goły, a tu obładowana szkatuła w perspektywie. Wypaliłem w samo serce — ani jęknął — było po nim. Wróciłem do miasta z jego szkatułą, którą powróciwszy do kwatery z największą niecierpliwością otworzyłem. Zna-

lazłem w złocie, klejnotach i wekslach na trzydzieści tysięcy czerwonych złotych. Było czém sobie łzy otrzeć po jego śmierci.“

Ten czyn dość go maluje. To pewna że on był obrany z wszelkiego uczucia moralnego, że w nim nie było nic wspaniałomyślnego; może on był jedynym przykładem człowieka, który by do nadzwyczajnéj odwagi nie łączył choć cokolwiek przynajmniéj szlachetności. O bandytach włoskich przytaczają jakieś rysy miłości, wdzięczności, przywiązania, ludzkości, jakoby szczątki życia duchowego jeszcze niezupełnie zatarte zbrodniczym żywotem; ojciec Ponińskiego nawet, miewał swoje dobre uczynki, jego słudzy byli do niego przywiązani, często pomagał tym co się do niego udawali; ale jego syn był zupełnie bez serca. Zdawał się być przywiązanym do jednéj miłéj i pięknéj kobiéty w Paryżu, z którą wojażował po stolicach europejskich, gdzie ją otaczał najwymyślniejszym zbytkiem, nakoniec przyjechał z nią do Petersburga, i tam ją wszędzie prezentował za swoją żonę. Kobiéta światła i pełna wdzięków, robiąca honory jego domu, opływającego we wszystkich wymysłach marnotrawstwa, wszystkim się podobała. Ale kiedy natrafiwszy na szulerów jeszcze bieglejszych od niego w tém rzemiośle szalbierczém, noga mu się powinęła, nie mając czém opłacić swoich długów, a widząc swój kredyt zachwiany; zabrawszy cichaczem klejnoty swojéj przyjaciółki, i co tylko

było gotówki w domu, a kilka dni wprzódy bez jéj wiedzy zastawiwszy wszystkie stołowe srebra, uciekł morzem do Szwecyi, ją zostawując bez sposobu do życia, na pastwę swoim wierzycielom.

Po tylu alternatach zbytków i nędzy których doświadczał po Europie, nakoniec osiadł w Tulczynie, gdzie wszelkiego rodzaju oszusty obójga płci, ze wszystkich części świata zbiegły się, by obsiąść jak wrony i kruki młodego Szczęsnego Potockiego, i w niespełna trzech leciech, rozszarpały między sobą ogromną jego fortunę. Dostał się z niéj znaczny obłamek i Ponińskiemu, ale niedługo nim się cieszył, bo śmierć go zaskoczyła, w roku 1810, po długiéj chorobie. Ten obłamek musiał być znacznym, kiedy pomimo swojego marnotrawstwa, kilkakroć-stotysięcy zostawił. Ale naturalnie majątek takim sposobem nabyty, ręką nie poszedł.

Najsłynniejszy z pomiędzy nich wszystkich, i dowcipem i awanturami, był Hadzkiewicz o którym już mówiłem. Znałem go zbliska, mając z nim jakieś swojactwo krwi, ile że on ich wielu latami przeżył. Był to szuler, nawykły do cielesnego żywota, ale miał czułe serce, i wiele dobrych uczynków za nim przemawiało. Był hojnie uposażony od natury, ale zepsuty złém wychowaniem i złym wiekiem, żadnéj namiętności nie umiał ani chciał się opierać: z innem wychowaniem był by się stał ozdobą swojego kraju. Syn zacnego i możnego obywatela litewskiego, który

umarł sędzią ziemskim wileńskim, a jednak zaczął swój zawód od służby w gwardyi koronnéj. Jeszcze za życia ojca tyle przehulał i przegrał pieniędzy, że po jego śmierci, znaczny spadek posłużył mu jedynie na uiszczenie się swoim wierzycielom. Ale trwoniąc swoją ojcowiznę, nauczył się był rozmaitych szalbierstw kartowych, które, nadzwyczajnym swoim geniuszem, do najwyższego stopnia wydoskonalił; a urodzeniem i dowcipem uzyskawszy wstęp do najpotężniejszych domów, w grze znalazł zabezpieczone środki ku opędzaniu niesłychanych wydatków: gdyż żaden magnat więcéj od niego nie rozrzucał pieniędzy, a jednak nigdy mu się nie zdarzyło uciekać pokryjomu z jakiegoś miasta, ani być gabanym od wierzycieli. Do każdego miasta karetą i z jakimś dworem wjeżdżał, i takim że sposobem z niego wyjeżdżał.

Opuścił służbę polską, i umieścił się w rossyjskiéj, w pułku Sybirskim Grenadyerskim, nad którym miał w ówczas dowództwo książe Daszkow, jeden z najpowabniejszych, ze wszelkiego względu, owéj epoki panów. I odbył w tym pułku Oczakowską kampanię. Bił się jak lew, wszystkich w karty ogrywał, a tak trwonił pieniądze, że chociaż był tylko kapitanem, trzymał stół otwarty, przy którym ludzi najwyżéj stopniowych częstował.

Sejm Warszawski wezwał wszystkich obywateli polskich służących w obcych wojskach, żeby wrócili

do swojego kraju, z tego powodu Hadzkiewicz opuścił zawód świetnie rozpoczęty w wojsku rossyjskiém, i przybył do Warszawy z krzyżem Oczakowskim na piersiach. Kiedy się rozpoczęła kampania 1792 roku, on pomimo nalegań sterników rządu, z którymi był w zażyłości, nie chciał brać w niéj udziału, oświadczając głośno, że opinie polityczne konfederacyi Targowickiéj podziela, że konstytucyę 3 maja ma za grób niepodległości narodowéj, a więc że za nią bić się nie myśli. I rzecz dziwna, że tak śmiało oświadczając się przeciwko opinii panującéj w Warszawie, siedział w niéj spokojny, wszystkich ogrywając, a wygraną trwoniąc z aktorkami teatru narodowego.

Kiedy wojsko rossyjskie sprzymierzone z konfederacyą Targowicką, zajęło Warszawę, naturalnie kapitana abszytowanego z tegoż wojska, a który nie chciał walczyć przeciwko niemu, wodzowie nie mogli nie uważać za swojego, i jego zalecili naczelnikowi téj konfederacyi który był objął zarząd Litwy, a którego zaufanie Hadzkiewicz wkrótce pozyskał.

Trzeba wiedzieć że Hadzkiewicz żył w najściślejszéj przyjaźni z Jasińskim, który, lubo bez wątpienia był bohaterem, w szulerstwie i rozpuście był godnym Hadzkiewicza współzawodnikiem. A Hadzkiewicz miał zawsze słabość dla swoich przyjaciół, bo jako się powiedziało, miał wiele serca. Nadto, łączyła ich wspólna, lubo każdego z innych względów pobudzona nienawiść do konstytucyi 3 maja. Jasiński, cho-

ciaż ją bronił orężem, nie cierpiał jéj, bo nie była dość demagogiczna: Hadzkiewicz, że poniżała szlachtę, podnaszając stan mieszczański, — bo rzecz dziwna w człowieku który figurował w rewolucyach i polskiéj i francuzkiéj, jego opinie były zawsze arystokratyczne. Pochlebiało jego próżności że był, jak to mówią, dobrze urodzonym i zkoligaconym z pańskimi domami.

Jasiński do tego stopnia został podejrzanym konfederacyi, za podróż którą był odbył do Drezna, gdzie się zniósł z Kościuszką i Kołłątajem, że za jego powrotem do Litwy, naczelnik téj konfederacyi kazał go imać i odesłać do Smoleńska, zniosłszy się o to z naczelnikiem wojska posiłkowego. Ścigany Jasiński, potajemnie wcisnął się do Wilna, i skrył się w kwaterze Hadzkiewicza. Nikomu przez myśl przejść nie mogło, żeby Jasiński chował się w Wilnie, i to u Hadzkiewicza w którym naczelnik konfederacyi na Litwie pokładał nieograniczone zaufanie; ile że on, powróciwszy z kontraktów Dubieńskich gdzie się knował spisek rewolucyjny, doniósł Jenerała Działyńskiego jako herszta spiskowych, i stał się sprawcą jego aresztowania i wywiezienia. Już i uprzednio Działyński był siebie skompromitował świerzbiączką językową; i jak się późniéj tłumaczył Hadzkiewicz: „doniosłem go z dwóch przyczyn, raz że chciałem zachować ufność we mnie położoną naczelnika konfederacyi, powtóre: że

chciałem uwolnić spisek od człowieka, który nieostrożnością swoją więcéj mu szkody przynosił, niżby mógł mu przynieść zysku swojemi cnotami i męztwem.“ Wszakże, Hadzkiewicz lubo agent policyi tajemnéj, wprawdzie niepłatny, był inicyowany przez Jasińskiego do wszystkich szczegółów tego spisku, i został osią na któréj ów spisek się obracał. On ułatwiał znoszenie się Jasińskiego z innymi konspiratorami w swojéj obszernéj kwaterze, zawsze w nocy, a cały dzień trzymał Jasińskiego zamkniętym w jednym zakątku.

Zadziwi to nie jednego, że Hadzkiewicz, tak dowcipny, tak przenikliwy, mógł siebie dać wciągnąć do spisku dziecinnego, który żadnym sposobem pomyślnego skutku otrzymać nie mógł; ale to łatwo pojmie każdy co wié, ile jest zabobonności w duszy każdego kartownika. Hadzkiewicz z Jasińskim sam-na-sam puszczali się w faraona, i grali na czysto, bo Jasiński obeznany ze wszystkiemi tajemnicami szulerskiemi, nie dał by się oszukać. Otoż Jasiński ciągle ogrywał Hadzkiewicza, i to mu zabierał co ten wygrywał u Jenerała stojącego w Wilnie z wojskiem posiłkowém konfederacyi, a namiętnego kartownika. To stateczne szczęście Jasińskiego, tak dalece zaimponowało Hadzkiewiczowi, że co tylko mu powiedział, to już było dla niego Ewangelią, i bez trudności wciągnął go do swojego spisku. Po jego rozwiązaniu, Hadzkiewicz jako jeniec wo-

jenny siedział w domu ojca mojego, na jego poręce. Ale w krótce z niego uciekł, czém nieco turbacyi mu nabawił. Udał się do Paswan-Ogłu, Baszy Widyńskiego, który go do swojéj służby przyciągał. Wszakże nie długo tam gościł, gdyż jak mawiał, Turcy ani się bić umieją, ani grać w karty. Udał się do Stambułu i niemało wygrał pieniędzy u Fanariotów, w poselstwie rossyjskiém, gdzie znalazł jednego dawnego kolegę z Sybirskiego pułku, a który w legacyi dość wysokie zajmował miejsce. W Stambule mu się dobrze powodziło, ale zbałamuciwszy żonę konsula portugalskiego, niejaką Panią Labrasz, uciekł z nią do Francyi, i znajdował się z nią w Paryżu, w tedy właśnie, kiedy Bonaparte w nagrodę zwycięztwa otrzymanego nad klubistami, dnia 13 Vendemiaire, otrzymał był dowództwo armii włoskiéj. W tedy Paryż był pusty, bo wszystko garnęło się do wojska, nie było z kim grać, a Hadzkiewicz na tak pięknéj stopie utrzymywał się z Panią Labrasz, że pierwszy raz w życiu zagrożony był aresztem za długi. Wszakże nie uciekł z miasta, ale jakoś umiał ułagodzić swoich wierzycieli, że ci mu dali pokój i uwierzyli że im się kiedyś uiści, w czém się nie omylili, bo późniéj co do szeląga wszystkie swoje długi paryzkie opłacił.

Hadzkiewicz z dość próżną kieszenią, wstąpił w służbę Rzeczypospolitéj Francuzkiéj, i otrzymał dowództwo batalionu w korpusie zaciężnym z cudzoziem-

ców, a nazwanym Legion des Francs du Nord, gdzie znalazł kilku rodaków, a mianowicie brata rodzonego Jenerała Jasińskiego, który w tym korpusie był kapitanem. Udał się Hadzkiewicz do nowego swojego przeznaczenia, zawsze z Panią Labrasz, do któréj co raz więcéj się przywiązywał, i wyszedł na czele swojego batalionu przeciwko Wandejczyków.

Ale że w krótce potém Jenerał Dombrowski wyjednał u Dyrektoryatu pozwolenie formowania legii polskiéj na żołdzie francuzkim, z jeńców Polaków zabranych w Mantui w wojsku austryackiém; Hadzkiewicz wraz z innymi oficerami polskimi zostającymi w służbie bądź Francyi, bądź innych rzeczypospolitych jéj podwładnych, otrzymał rozkaz udania się natychmiast do Medyolanu, i tam meldować się Jenerałowi Dombrowskiemu, i być jemu posłusznym. Dombrowski polecił mu formacyę szwadronu jazdy, i dał mu nad nim dowództwo. Hadzkiewicz żołnierz śmiały i umiejący prowadzić ludzi w ogień, nie był zdolnym zajmywać się szczegółami służby, niezbędnemi dla organizatora. Będąc pod rozkazami Jenerała Kniaziewicza, którego zbyć nie można było dowcipkowaniem, nie mógł znieść jego ostrości, i podał sie do dymissyi. Wstąpił wprost w służbę francuzką, mając prawo obywatelstwa, gdyż znajdując się przypadkiem w Paryżu na początku rewolucyi, był z liczby zwycięzców Bastylii. I zaraz został umieszczony w sztabie Jenerała Szampioneta, głównie-dowodzącego armią na

podbicie Królestwa Neapolitańskiego przeznaczoną, którego umiał pozyskać szczególne względy. Hadzkiewicz ściągnął był jego uwagę w kilku bitwach swoją odwagą, a mianowicie pod Jtri, gdzie niebezpiecznie został raniony. Po destytucyi Szampioneta, służył pod Makdonalem, Żubertem i Masseną; postąpienie w stopień zawsze odbierał na placu boju; na czele dwóch batalionów wziął szturmem Mondowi, czém dosłużył się jeneralstwa. Powołany do Paryża od Dyrektoryatu, gdzie znalazł protekcyę Bassala, księdza-apostatę, który był przy armii Szampioneta komisarzem Rzeczypospolitéj, gdzie razem z Hadzkiewiczem rabowali Neapolitańczyków; otrzymał niebezpieczne polecenie puszczać w obieg bankocetle austryackie, we Francyi sfałszowane. Co późniéj zostało pozorną przyczyną osadzenia jego w Templu, gdzie około dwóch lat był zamkniętym, ale w rzeczy-saméj zupełnie inny był powód jego aresztu.

Szampionet nie mógł odpuścić Dyrektoryatowi iż go destytuował z naczelnictwa armii włoskiéj; Massena cierpieć nie mógł tego, jak on nazywał, rządu jurystów, któremu wodzowie wojenni pełni zasług zmuszeni byli ulegać; a Bernadot, przez jakieś przeczucie otrzymania gdzieś najwyższéj władzy, jeszcze więcéj od tamtych pogardzał Dyrektoryatem. W tym wzajemnym pocjągu, ułożyli we trzech plan rewolucyi zupełnie wojskowéj, która miała wywrócić spodloną pentarchię, a na jéj miejscu oni mieli stanąć jak

tryumwirowie w Rzymie, bez przelania jednak krwi potoków jak tamci, a tylko na wygnanie chcieli wskazać swoich przeciwników. Usiłowali porozumieć się z Jenerałem Moro, mającym w ówczas wiele popularności w wojsku, i niemniéj żalu do Dyrektoryatu, który zawsze mu się okazywał niechętnym. Hadzkiewicz, inicyowany do téj intrygi przez Szampioneta, od jednego do drugiego latał pod rożnémi pozorami z ustnémi poleceniami, i sprawował się ze zwykłą zręcznością. Właśnie kiedy się to knowało, Bonaparte wrócił niespodzianie z Egiptu, i z pośpiechem jakim siebie zawsze odznaczał, 18 Brumaire uskutecznił, ale na swoją korzyść, zamiar spiskowych obrócił. Rzecz pewna, że Moro do tego mu dopomógł, a nawet mu wyjawił niektóre powierzenia, które był otrzymał od przyszłych tryumwirów. Co stało się powodem tego wstrętu, co go Bonaparte miał do Bernadota, a którego nigdy przezwyciężyć nie mógł, mając go, z wielką słusznością, za najrozumniejszego z pomiędzy ich wszystkich, a tém samém za najniebezpieczniejszego.

Po zwycięztwie pod Marengo, Pierwszy Konsul chciał dokładnie dowiedzieć się, jakie to były siły istotne, na których się opierały nadzieje spiskowych, i to polecił ministrowi policyi, przebiegłemu Fusze; ale kazał mu się sprawić tak tajnie, żeby z tego nic dójść nie mogło do publiczności. Fusze dobrze wiedział że ich znoszenia ułatwiały się przez

Hadzkiewicza, a więc nie wątpił że przez niego dobierze się do wszystkich szczegółów całéj sprawy. Kazał tedy go aresztować i zamknąć w Templu; a ten jego areszt nastąpił niby z powodu zupełnie obcego wszelkiéj dążności politycznéj.

Jużem powiedział, że Dyrektoryat fałszował bankocetle austryackie, z wielką jednak tajnością, bo jeszcze się obawiał sromoty, jaka by na niego spadła za tak podłe wykroczenie przeciwko prawu narodów. Rozdawał więc swoim agentom te fikcyjne skarby, ale ostrzegając z góry, żeby na jego protekcyę nie rachowali, na wypadek ich wpadnienia w podejrzenie za granicą o występek któremu szubienica grozi, gdyż pozostaje w nieprzełomném postanowieniu ich się zaprzeć w podobném wydarzeniu, a nawet żeby byli przygotawani do tego, że gdyby ich czynność odkrytą została, a im samym udało się uciec do Francyi, Dyrektoryat ich wyda na reklamacyę rządu austryackiego, dla ocalenia honoru władzy wykonawczéj Rzeczypospolitéj. Wszakże znalazło się kilku, co dla ogromnych zysków tak dalece zaryzykowali siebie. Hadzkiewicz najwięcéj tych fałszywych papierów puścił w obieg, a jak najmniéj kierował się ostrożnością. Do tego stopnia był bezczelnym, że od całéj dywizyi francuzkiéj wojującéj w Szwabii nabył zaległość dwuletniego żołdu, takowymi bankocetlami, a te dywizya rozpuściła po kraju z największą łatwością. Hadzkiewicza zaś Barras zaspokoił, dając mu

dwadzieścia za sto. Podobnemi drogami postępując, dyrektor przyszedł do szerokich dostatków.

Hadzkiewicz podróżował po Niemczech z Panią Labrasz kursując pod nazwiskiem Hrabiego Denhofa, bogatego pana z Inflant. I wszędzie dla podtrzymania niesłychanych zbytków rozrzucał pieniądze, jak by mając skarby nieprzebrane; i miał je rzeczywiście. Sam mnie opowiadał, że do dziesięciu milionów reńskich puścił w świat w przeciągu półtora roku.

Nakoniec w Frankforcie się zatrzymał, jakoby z powodu blizkiego rozwiązania ciąży Pani Labrasz. Otworzyli u siebie dom na najwyższéj stopie, nie było zbytku co by sobie nie pozwalali. Ale mniemany Hrabia Denhof, kiedy jednego wieczoru przegrawszy ogromną summę i ją natychmiast swoimi bankocetlami zapłaciwszy, jeszcze nazajutrz zakupił klejnotów na kilkakroć sto tysięcy reńskich, z których bez targu się uiścił: przebrał miarkę w podejrzeniu w jakiém go miały władze miejscowe, i kazano go aresztować; ale że hojnością swoją był uzyskał gorliwych stronników, jeszcze w porę został ostrzeżony. Uciekł z miasta piechotą, zabrawszy swoje klejnoty i co mógł zachwycić gotówki, i dostał się do Paryża. Była o niego odezwa Senatu Frankfortskiego do Dyrektoryatu, ale wojna tak straszliwie się rozżarzyła, że chód tego interesu zawieszony został; a Hadzkiewicz pod imieniem Jenerała Lodoiski, przybraném od

chwili wstąpienia do służby francuzkiéj, już walczył w armii Masseny.

Dopiéro po bitwie pod Marengo, a ustaleniu przez nią Konsulatu, na wezwanie Fuszego, Jenerał Massena kazał go aresztować i przez żandarmów odprowadzić do Paryża. Wszakże dał o nim świadectwo że w czasie sławnego oblężenia Genui, służąc pod nim, odznaczył się i odwagą i niepospolitą zdolnością. Nie o to rzecz chodziła, ale rozpuszczono w publiczności wieść, że był podejrzany o fałszowanie papieru monetowego. Sam Fusze codziennie go badał, naturalnie nie o bankocetle, ale o szczegółach tyczących się spełzniętego spisku, a że Hadzkiewicz był się uzbroił dyskrecyą, i ciągle się wyłgiwał, tém jego więzienie się przedłużyło. Aż nareszcie Jenerał Szampionet skończył życie w ojczystéj Walencyi. Nawiasem wspomnę że Hadzkiewicz był przekonany, że mu trucizną śmierć przyśpieszono.

Kiedy Hadzkiewicz już nie mógł wątpić o śmierci Szampioneta, odstąpił od systematu denegacyjnego którym dotąd kierował się na inkwizycyach z niego ciągniętych, i wszystko aż do najdrobniejszych szczegółów wyznał. Że ten spisek nie był zawiązany przeciw Bonapartego, ale przeciw ohydzonego Dyrektoryatu, na którego wspomnienie on sam się wzdryga; że Konsul mógł się przekonać jak mało siły politycznéj spiskowi mieli; że nakoniec ich hersztowie dzielnie jemu dopomogli w dniu 18 Brumaire; Hadz-

kiewicz odzyskał wolność, i był reintegrowanym w swoim stopniu jeneralskim. Dano mu nawet dowództwo nad kilku batalionami organizującymi się w Normandii, ale przytém ustne zalecenie, żeby po kilku miesiącach téj służby czynnéj, podał się do dymissyi.

Hadzkiewicz otrzymawszy od rządu consilium abeundi, pomimo najszczerszéj chęci służenia Rzeczypospolitéj, podał się do dymissyi, i ją otrzymał ze świadectwem pełném zaszczytu dla siebie; nawet w niém przyznano mu prawo żądania połowy pensyi przyznanéj do jego stopnia, o którą nigdy nie chciał się upomnieć. Ambarkował się w Hawrze, i popłynął do Petersburga, gdzie przybywszy bawił się swojém dawném szulerskiém rzemiosłem, póki nie ograł syna jakiegoś męża zasłużonego u dworu, o co poszła skarga do samego Monarchy. Biedny chłopiec tak się był zgrał, że nie mając czém się uiścić, chciał sobie życie odebrać z rozpaczy. Hadzkiewicz przywołany od Jenerała-Policmejstra Hertla, i zapytany z jakiego powodu ośmielił się grać w gry hazardowe, potępione prawami Państwa, odpowiedział: że niemając z czego żyć, chwycił się gry jak tonący brzytwy. Wspaniały Monarcha, mając wzgląd na jakieś zasługi, tego niegdyś żołnierza Suworowskiego, naznaczył mu na swojéj szkatule tysiąc rubli rocznéj pensyi, ale zabronił mu pobytu w stolicy. Hadzkiewicz udał się na Ukrainę, osiadł w Tulczynie.

Mówiłem o Pani Labrasz. Dodam że ją poznałem osobiście w Badeńskich cieplicach pod Wiedniem, roku 1811. Ona tam bawiła z mężem nowym, bogatym, a przynajmniéj żyjącym jak bogaty człowiek; zdaję mi się że to stadło opuściło Wiedeń przed samym kongresem. Jéj mąż był Francuz, rodem jak mówił z Martyniki, gdzie miał swoje plantacye, nazywano go de Presles. Inni mówili o nim że był sekretnym agentem Junty Hispańskiéj przy dworze Wiedeńskim, drudzy że był szpiegiem francuzkiego rządu. Tyle wiém o nim, że bywał w najpierwszych towarzystwach, że miał wybornego kucharza, bo często bywałem u niego na obiadach; że był człowiekiem dobrze wychowanym, bardzo oczytanym, i że psy wieszał na Napoleonie, co mu dawało wziętość w salonach wiedeńskich. Jego żona miała lat blisko czterdzieście, ale nikt by jéj nie dał nad dwadzieścia kilka, tak była jeszcze piękną. Była to kobiéta wielce powabna, wielce dowcipna, i wielce zalotna, ubierała się z najlepszym smakiem, i miała roje adoratorów. Obyczajów dość łatwych, miała serce czułe. Ale to pewna że życie téj pary było zagadkowe.

Szczególnym przypadkiem dowiedziałem się że to była ta sama Pani Labrasz, która uciekła z Hadzkiewiczem ze Stambułu, i z nim żyła lat kilka we Francii, Włoszech i Niemczech. Była przy niéj córeczka dziesięcio czy jedynastoletnia dziewczynka,

bardzo rostropna, a z którą nie raz swawoliłem na spacerach badeńskich. Jéj matka powiada mi razu jednego, że to jest córka z jéj pierwszego małżeństwa z Hrabią Denhof. To nazwisko już mnie zastanowiło, bo Hadzkiewicz mawiał mnie że pod niém kiedyś kursował w Niemczech ; ale kiedy mi pokazała portret miniaturowy ojca młodéj Leonildy, poznałem wykapanego Hadzkiewicza. Z tąd tedy zaszły zwierzenia: opowiadała mnie różne przygody swojego życia, prosząc o zachowanie tego przy sobie, gdyż inaczéj musiała by opuścić Austryą. Ani mogłem pomyślić jakąś szkodę przynosić kobiécie miłéj, od któréj tyle gościnności i uprzejmości zawsze doświadczałem. Powiedziałem jéj, że hrabia Denhof żyje wesoł w okolicach Tulczyna, że ma żonę i mnóstwo dzieci, i że mu się dobrze powodzi.

Pani de Presles nawzajem opowiedziała mi treść swojego życia, od najpierwszéj swojéj młodości. Że jest rodem z Lizbony, z familii zacnéj ale ubogiéj, że jednak dość starowne odebrała wychowanie. Że matka ją przymusiła wyjść za mąż za Pana Labrasz, konsula portugalskiego w Stambule. Że to był potwór rospusty i gwałtowności, że od niéj wymagał takich rzeczy, których nawet powtarzać się nie godzi, że była najnieszczęśliwszą z kobiét, kiedy Hadzkiewicz zjawił się jak wybawiciel; ze z nim uciekła, — co by zrobiła z każdym co by ją chciał wyba-

wić od Pana Labrasz, a tém więcéj z tym którego kochała. Że z nim żyjąc, przez lat kilka opływała w szczęściu; że kiedy w Frankfurcie był zmuszony ją opuścić, ratując swoje życie, znalazła w biórku swojém tysiąc luidorów przez niego zostawionych, i miała mnóstwo drogocennych sprzętów. Że z Frankfortu przeniosła się z swojém dzieckiem do Hamburga, gdzie niemałych doświadczyła prześladowań. Że tam późniéj przyszła z swojém dzieckiem do takiego niedostatku, że chciała się utopić, kiedy poznała się z Panem de Presles, który się do niéj przywiązał. Że po trzech latach znajomości dowiedziawszy się o śmierci Pana Labrasz, wzięli z sobą ślub w Kadyxie, gdzie dwa lata mieszkali. Że jedną tylko mają zgryzotę, że Bóg ich nie pobłogosławił potomstwem, wszakże całą nadzieją pokładają w Leonildzie, którą Pan Presles kocha jakby była własną jego córką. Że mają do sta tysięcy franków rocznego dochodu, i że są bardzo z siebie kontenci. Bóg święty wié co tu było prawdy, a co kłamstwa w téj relacyi. Jakkolwiek-bądź, byłem się z nimi zaprzyjaźnił, a nawet miałem dla nich powody wdzięczności. Bo kiedy byłem zapadł niebezpiecznie w Wiedniu, po kilka razy na dzień mnie nawiedzali, mieli o mnie staranie, jakbym był ich krewny. W lat kilka potém, wojażując po Europie, nie było miasta gdziebym się nie starał o nich dowiedzieć: nikt o nich nie wiedział, wpadli jak w wodę.

Hadzkiewicz opowiadał mnie razu jednego, osobliwsze wydarzenie które miał z Ministrem Fusze, tém ciekawsze, że daje wyobrażenie o policyi jaką ten przebiegły zbrodniarz był urządził między podszulerkami, nad którymi prowadził rządy Hadzkiewicz i inne matadory szalbierstwa, z nim związane traktatem zaczepnym i odpornym. W téj wojnie którą wypowiedzieli społeczeństwu, był niejaki Polak nazwany Holm, ale wątpliwości ulega, żeby to było jego prawdziwe nazwisko. Ten Holm nie miał dość poloru, żeby się mógł pokazać w wyższych towarzystwach, i w Warszawie po szynkach ogrywał kamerdynerów i lokajów, ale miał inne talenta które ich uwagę ściągnęły. Umiał widelec rzucać do góry, i tak nastawiać zakorkowaną butelkę, że widelec akurat w środku korka spadając musiał ugrząść; sakiewki i zegarki w mgnieniu oka umiał przenosić z cudzéj do swojéj kieszeni; rozmaite sztuki Pinnettego z równą jemu zręcznością wykonywał, a nadewszystko zawsze miał między dwóma palcami jakiś instrumencik stalowy, który nazywał kierdonikiem, ale nie było zamku tak skomplikowanego, żeby go nim w jednéj chwili nie otworzył. Często aresztowany, zawsze umiał się wykręcić z rąk sprawiedliwości, a w czasie ostatniego Sejmu Polskiego, pociągnięty do Sądu Marszałkowskiego za jakąś kradzież, był by wisiał niezawodnie, żeby Poniński z Hadzkiewiczem i Gurowskim nie byli jemu ułatwili ucieczki. Holm często przebiegał Europę, dyliżansem

jeżeli był przy pieniądzach, piechotą jeżeli ich niemiał, co mu najczęściéj się zdarzało. Często się spotykał z swoimi protektorami, a ci używali jego talentów.

Razu jednego, Hadzkiewicz, Poniński i Kanton (Francuz który gieniuszem szalbierskim ich wszystkich przechodził, a skończył życie w Tulczynie) zjechali się do Bruxelli, gdzie plan strategiczny kampanii szulerskiéj na cały rok z sobą układali. Przybywa do nich posłany na wywiady, Dzyganty, Szwajcar, a zawołany oszust, który karty tam nie wziął do ręki ale tylko okiem i uszami pracował. Mówi im że w Spa bawi jakiś Holender z ogromnemi pieniędzmi, który w sali codziennie bank ciągnie na czysto, ale wszystkich ogrywa, dla tego że ciągle dosypuje pieniądze, i że niéma sposobu nastawić na niego sidełka, bo jako w grze publicznéj, nikomu ciemnéj karty nie trzyma, a z jego kartami niepodobna zabrać znajomości, gdyż z sobą przywiózł z Hollandyi kilkadziesiąt tuzinów talii, które trzyma zamknięte w wielkim kufrze, w austeryi gdzie mieszka; że te karty są zawinięte w chustkach jedwabnych Indyjskich, i że codzień przynosi z sobą jedną chustkę do sali, z niéj wydobywa karty, rozkłada je na stole, ciągnie bank, a tę chustkę zawsze jakiemuś kielnerowi daruje. Że takową chustkę kupił od jednego kielnera; pokazał ją swoim kolegom, oraz kilka talii tych kart, któremi łupił gości zebranych w Spa.

Senat szulerski, po tém sprawozdaniu, deliberuje.

Stanęło na tém że kilkanaście takich chustek kupili, sprowadzili z Hollandyi ile im wypadało tuzinów kart z tamecznych fabryk, i wzięli się do ich markowania, ażeby Holendra na pewniaczka zdebankować; ale jakże mu te karty wpakować do kufra? w tém był cały sęk. Ale że Holm właśnie wtedy znajdywał się w Bruxelli, gdzie go ci Panowie zastali w wielkiéj biédzie, bo dla obiadu co mu go dawał gospodarz restauracyi, musiał bawić gości rzucaniem widelca i innémi kuglarstwami; przyjęli go więc do spółki, i Holm, któremu już odtąd na niczém nie zbywało, został osią na któréj cała ich kombinacya żeby ograć Holendra się obracała.

Jedzie Holm do Spa jako pan polski udający się do wód dla poratowania zdrowia, jedzie z dworem: Kanton do niego przystaje na kamerdynera żeby go pilnować; zajeżdżają do téj oberży gdzie stoi Holender, i udaje im się zająć kwaterę na tém-że samém kurytarzu. Holm otacza się doktorami, płaci im hojnie, każe sobie dawać jeść co mu przez głowę przejdzie, za wszystko płaci co mu zacenią; nigdy nie przybliża się do stolika dla grania, a tylko samotnie przechadza się z twarzą zawsze skrzywioną, oznaczającą jakieś cierpienia: z nikim nie przestaje, milczy jak mruk; a na jaką chorobę się leczy? Oto jest lunatykiem, i po całych nocach chodzi po kurytarzach, a nawet zdarza mu się zachodzić do cudzych kwater. Właśnie że chodził w lekkim ślafroku

nie mógł być podejrzany o zamiar zrobienia komuś szkody, bo kto chce co ukraść, musi przecie mieć miejsce żeby to schować; z resztą jego sposób życia, i dostatki w które zdawał się opływać, opierały się wszelkiemu podejrzeniu mogącemu jemu jakąś-kolwiek przynieść krzywdę.

Owoż tedy, ten mniemany bogacz tak był w oberży wszystkich wzwyczaił do swojego lunatyctwa, że bez najmniejszéj obawy widzieli go wchodzącego do ich kwater, z czego im nie raz bywał śmiech, że zawsze przechadzał się w nocy; a że razu jednego gdy wszedł do czyjéjś kwatéry w nocy, a ten krzyku narobiwszy jego niby zbudził, i jemu konwulsyi nabawił, ale doskonale udanych że lekarze się oszukali: odtąd swobodnie chodził po cudzych izbach, i to przestało jakiekolwiek robić wrażenie. Przychodził on też czasem i do Holendra: aż dopatrzywszy pory, otworzył mu kufer kiurdonikiem, zamienił kilka chustek z kartami, ale na oko w niczém nie różniące się, zamknął kufer na nowo, i do siebie wrócił; poczém, że już swoje zrobił, opuścił Spa, z swoim dworem.

Przyjeżdżają w krótce potém do Spa, Hadzkiewicz z Ponińskim jako panowie lubiący się bawić, a mający grosz do rozsypywania. Rzucają się we wszystkie zabawy, a nareszcie w grę z Holendrem; gra idzie lente, aż nareszcie Holender wydobywa z chustki te właśnie karty które Holm jemu wpuścił do kufra.

Tu dopiero radość — garściami sypią luidory, i to jeden to drugi w progressyi geometrycznéj dosypują pieniądze, i trafiają soniki. Jeszcze talia się nie dociągnęła a już Holender zdebankowany. Zakłada nowy bank, bierze się do nowéj talii: drugi bank zniesiony w kilku abcugach; toż i trzeci i czwarty. Holender nie pojmuje co się z nim dzieje, głowę traci: bank po banku zakłada, szczęścia przeciwników przełomać nie może; nakoniec kiedy wstał od stolika, już był przegrał nie tylko to wszystko co wygrał, ale wszystko co z sobą przywiózł. Niezmordowanego szczęścia poniterowie, podzielili się z sobą wygraną, która dochodziła dziesięciu tysięcy luidorów, i nazajutrz opuszczają wody, w inne miejsca przenosząc teatr swoich popisów, a Holendra prawie bez grosza zostawują.

Nie najdłużéj po tym wypadku, Hadzkiewicz już osiadły na Ukrainie, pojechał do Paryża na koronacyę Cesarza Napoleona. Oddany zabawom téj stolicy, o niczém inném nie myślał, kiedy jednego poranku przychodzi do niego urzędnik wyższy z wydziału Pana Fusze, i mówi mu że przychodzi z poleceniem, ażeby go natychmiast zaprowadzić do Departamentu Policyi Jeneralnéj. Nie było co robić, musiał pójść za nim. Wchodzą do obszernéj sali, urzędnik każe mu w niéj czekać, a sam poszedł do dalszych pokojów. Hadzkiewicz widzi w téj sali kilkanaście osób jemu nieznanych, wszakże spostrzega siedzącą nieruchomo jakąś figurę, którą zdaje mu się że gdzieś

widział, tylko nie może przypomnieć sobie gdzie, i kto to taki. Usiadł tedy na przeciwko, i czeka na to co się z nim samym ma stanąć.

W tém wchodzi do sali sam Fusze: na widok Ministra wszyscy powstali robiąc mu najuniżeńszy ukłon. On rzucił okiem na wszystkich, i prosto poszedł do tego samego którego sobie Hadzkiewicz usiłował przypomnieć, i zaczął z nim po cichu rozmawiać. Zauważył Hadzkiewicz że w ciągu tego a parte, Fusze ciągle na niego spozierał, toż i owy nieznajomy; poczém Minister powolnym krokiem wyszedł témi samémi drzwiami którémi był wszedł.

Nieznajomy po odejściu Ministra, natychmiast zniknął. Hadzkiewicz chciał wyjść za nim, ale urzędnik siedzący przy wychodnich podwojach, powiedział mu dość sucho żeby wrócił na swoje miejsce.

Po kwadransie, drzwi prowadzące do gabinetu Ministra się otwierają: pokazuje się na progu oficer żandarmeryi: najgrzeczniéj wszystkim się ukłonił, przybliża się do Hadzkiewicza któremu także się ukłonił, ale z oznakami jakiegoś uszanowania, i oświadcza mu że Pan Minister go powołuje do swojego gabinetu. Hadzkiewicz idzie za nim, wchodzi do gabinetu, i widzi siebie w nim sam na sam z tym strasznym a już mu znanym osobiście Ministrem.

Fusze siedział w głębokim fotelu, przy stoliku na którym leżały papiery pokryte tkanką gazy; kazał Hadzkiewiczowi siąść na przeciwko siebie, po kilka-

krotnie zmierzył go wzrokiem, z tym współ-szyderczym uśmiechem który wszyscy pamiętają; nakoniec zaczęła się między nimi następna rozmowa:

„No, waleczny Jenerale Lodoiska, podobno nie pierwszy raz widzimy się — musisz sobie przypominać naszą znajomość.“

„A jakże nie mam pamiętać o dowodach łaski JWPana dla mnie, kiedy około półtora roku, miałem wikt i kwatérę na koszcie skarbu.“

„A! cieszy mnie że waszeci rezydencya w Templu, jeszcze nie wyszła z pamięci; a że mnie znasz, spodziewam się, że na moje zapytania odpowiesz prawdą, samą prawdą, inaczéj moglibyśmy się z sobą pokłócić.“

„A broń Boże! Panie, chyba bym oszalał, gdybym przed Panem nie wyznał tego o czém Pan bezemnie się dowiesz kiedy zechcesz.“

„Dobrze; a więc od tego zaczynam, że rok trzeci temu jakeś ograł w Spa, ze swoimi spólnikami, pewnego Holendra wielce ostrożnego gracza: czy tak, czy nie?“

Tu dopiero przypomniał sobie, że ten nieznajomy który go zaintrygował w sali, był tym-że samym Holendrem. Zmieszał się na chwilę, ale odpowiedział śmiało: „Nie inaczéj.“

„Teraz powiedz mnie, jakim sposobem go zgrałeś?“

„Szczęście Panie, Opatrzność opiekująca się potrzeb-

nymi — Z początku przegrywaliśmy, ale nakoniec wpadliśmy na pomyślną wenę, i umieliśmy z niéj korzystać.“

„Słuchaj Lodoiska, ze mną żartować nie można. Znam ciebie. Wyście go ograli na pewne. Zapowiadam tobie, że tu nie chodzi o zwrócenie wygranéj, która już dawno roztrwoniona. Z resztą że głupiec dał siebie odrwić, nie nasza rzecz z tego go wycofnąć. Ale musisz wyznać przedemną jakim środkiem mogliście wasze karty jemu podrzucić, — bo że to nie były jego karty te któremi on bank ciągnął, kiedyście go rozbili, to najmniejszéj nie podpada wątpliwości. A jednak to szczwany lis — trzymał swoje karty w kufrze pod zamkiem, ale jakim!“ Tu z pod zasłony gazowéj wydobył zamek. „Patrz Lodoiska, jest to wytwór ślósarstwa angielskiego — najbieglejsi nasi ślósarze próbowali go otworzyć witrychem, jeden tylko się znalazł taki który dokazał téj sztuki, ale na to potrzebował czterdzieście minut czasu. A wyście musieli nierównie prędzéj go otworzyć. Mów jak to było.“

„Dla czegoż by Panie, posłany na to majster nie miał w jego kwatérze tyle czasu, i jeszcze więcéj posiedzieć? Wszakże w niéj ciągle nie siedział. Czyż nie można było wtedy kiedy w sali ciągnął bank, umówić się ze służbą oberży, nie żałując na to pieniędzy, żeby na godzinę być wpuszczonym do jego kwatery, i swoją rzecz w niéj zrobić?“

„Jak widzę zaczynasz kręcić, ale to się tobie nie uda. Otoż, żebyś wiedział jaką mam policyę, to ci powiém, że bez niego nikt do jego kwatery nie wszedł wyjąwszy jego kamerdynera, a ten był jego bratem rodzonym i spólnikiem; że wszyscy słudzy oberży byli agenci policyi sekretnéj, poczynając od gospodarza. Że ten Holender był i dotąd jest jéj członkiem: żeście tyle naszych ile jego pieniędzy wygrali; i że gdyby sam djabeł, korzystając z jego niebytności, próbował wejść do jego kwatery, był by natychmiast schwytany. Widzisz jak jestem szczéry. Spodziewam się że nadto dbasz o swoje bezpieczeństwo, żebyś się równie szczérym nie pokazał, do czego nakoniec potrafię ciebie zmusić. Czy zrozumiałeś mnie?“

„Panie, klnę się na honor szlachecki i oficerski, że nigdy zamków witrychami nie otwierałem, ani umiém ich otwierać!“

„Wyborne zaklęcie! ale i bez tego zaklęcia tobie wierzę, bo wiém że tak jest rzeczywiście. Ale nie o to rzecz chodzi. Muszę ciebie sam na drogę naprowadzić.“

Tu wydobył z pod téj-że saméj gazy jakiś papier, i zaczął okiem po cichu go przebiegać, mrucząc pod nosem: „Błazen! w pole dał się wyprowadzić! stracił trop kiedy lisa miał w ręku — a nie można mu przeczyć nadzwyczajnéj przebiegłości: — i to, mając

do czynienia z durniem. Jestto nauka dla mnie, a nauka w las nie pójdzie.“

Poczém, obracając się do Hadzkiewicza rzekł:

„Słuchaj, Lodoiska — Ja tobie wskazuję drogę, biada tobie jeżeli z niéj zejdziesz. Nimeście pojechali do Spa, byliście w Bruxelli, i tam układaliście plan waszéj kampanii.“

„Tak jest.“

„Był w tedy w Bruxelli jakiś oszust, z twojego kraju, który robił rozmaite sztuki kuglarskie, i z tego żył.“

„Tak jest.“

„Rzucał do góry widelce, i im nadstawiał zakorkowane butelki.“

„Tak jest.“

„W Bruxelli opatrzyliście go, bo był w nędzy.“

„Tak jest.“

„Z tamtąd wyprawiliście go do Spa, gdzie się pokazał jako pan polski, kurujący się na chorobę nerwową, płacił hojnie lekarzom, i w oberży wiele wydawał.“

„Tak jest.“

„On wśród nocy wcisnął się do kwatery Holendra, i jemu się przysłużył waszemi fabrykowanemi kartami, zrobiwszy sobie w całéj oberży reputacyę lunatyka.“

„Tak jest.“

„Powiedz-że mnie z najdrobniejszémi szczegółami, jakim sposobem on uskutecznił wasz zamiar.“

Tu Hadzkiewicz jakby na spowiedzi wszystko wyznał co wiedział o Holmie, o jego kierdoniku którym otwierał najtrudniejsze zamki w kilku sekundach, jak on udawał lunatyka, jak chodził po korytarzu w ślafroku dla uniknienia podejrzenia złodziejstwa, jak wszystkich przyzwyczaił do swoich nocnych nawiedzin, a że po oberżach nie ma zwyczaju siebie w nocy zamykać, więc że dopatrzył pory i wlazł do Holendra z dwóma chustkami napełnionemi przyjacielskiemi kartami, nie zapomniawszy swojego kierdonika, i że udało mu się zrobić zamianę.

Minister słuchał téj relacyi z największą uwagą, kilka razy parschnął od śmiechu, mówiąc: „Oto szubieniczna zwierzyna! To szczęście że jemu podobnych niewiele, bo policya nie dała by im rady. Takiego ptaszka trzeba koniecznie złowić. Lodoiska, jak myślisz, gdzie ten Holm teraz się może znajdować?“

„Nie wiém Panie, bo on sam nigdy nie wié gdzie będzie za tydzień. Często mi się zdarza go spotykać po miastach i cieplicach, bo byle się dowiedział że i ja tam, zaraz się do mnie zgłasza,“

„Trzeba żebyś koniecznie mnie go dostał.“

„Będę się starał spełnić Pańskie rozkazy.“

„Uważaj-że, Lodoiska; od téj chwili jesteś sługą policyi. O wszystkiém musisz zapomnieć aż do chwili w któréj go wynajdziesz. Jedź, chodź, szukaj, a ko-

niecznie musisz go do mnie przyprowadzić. Naznaczam tobie miesięcznie dwieście pięćdziesiąt luidorów w złocie. Oto masz z góry dwu miesięczne płacę, ale pamiętaj że ciebie będą mieć na oku, żebyś darmo pensyi nie odbierał. Nic ci więcéj nie powiém — znasz mnie. Idź a pamiętaj że niewidzialne oko odtąd na ciebie patrzy.

Hadzkiewicz przez ośm miesięcy jeździł po wszystkich miejscach gdzie tylko mógł się spodziewać znaleść Holma, przetrząsł wszystkie jarmarki i cieplice niemieckie, wszędzie o nim brał opyt: wszystko naprożno; nareszcie straciwszy nadzieję możności jego znalezienia, wpadłszy na myśl że może gdzieś umarł, powraca do Paryża, żeby opowiedzieć się Ministrowi. Nazajutrz po swojém przybyciu, dobrze wyleżawszy się, posyła za remizą, i każe się wozić po mieście, czekając godziny w któréj zwykle Fusze dawał posłuchanie. Gdy tak błądził po mieście, jedzie przez Pont-Neuf, i spotyka na nim tego samego Holma, ale tak obdartego, tak zmizerowanego, że ledwo go poznał. Krzyknął na niego — ten spójrzał, poznał go, odkrzyknął z radości — a Hadzkiewicz kazał mu usiąść obok siebie w karecie, i ich pospołu zawieść do Palais Royal, gdzie wysiedli.

Pierwsza rzecz o któréj pomyślał Hadzkiewicz, była żeby go oporządzić, na co w Palais Royal nie wiele potrzeba czasu. W półgodziny Holm stanął ogolony, omyty, w bieliźnie przyzwoitéj, w gustownym ubiorze.

Hadzkiewicz odesłał karetę, poszedł z Holmem do pierwszéj restauracyi, poczęstował go obiadem jakiego dawno nie jadł, napoił go szampańskiém winem aż do pochmielenia, a potém poszedł chodzić po mieście, jego wziąwszy pod ramię. Będąc koło Ministerstwa Policyi, Hadzkiewicz mówi do Holma: „mam zamienić kartę bezpieczeństwa — idź ze mną.“ Ale ledwo przestąpili próg przedsali, gdzie stał pikiet żandarmów, Hadzkiewicz odezwał się: „oto wam oddaję tego człowieka, za niego odpowiadać będziecie;“ i wychodzi. Holm zapytuje z przestrachem co to ma znaczyć, chce wyjść za Hadzkiewiczem — żandarmy jego zatrzymują, a Hadzkiewicz odchodząc, mówi mu śmiejąc się na całe gardło: „Wykręć się z tąd jak możesz, a moja rzecz zrobiona;“ i znika.

Nazajutrz przyszedł do niego agent policyi, zupełnie jemu nieznany. Odliczył mu całkowitą zaległość jemu należną, na co od niego wziął kwit, powiedział mu że już przestał być sługą policyi, i odszedł.

Hadzkiewicz zapomniał o Holmie, i daléj sobie postępował w swoim awanturniczym zawodzie. Aż w kilka lat późniéj będąc w Berlinie na samym wyjeździe do Warszawy, przechadzając się po ulicy Lipowéj, widzi karetę wolnym postępującą krokiem, a w niéj człowieka nieco podeszłego, w staroświeckiéj peruce, który się zatrzymać kazał, wystawił głowę przez okno i protekcyonalnym tonem odezwał się: „Hadzkiewicz! proszę z sobą.“ Hadzkiewicz

siada do karety, wpatruje się w jego twarz, poznaje Holma. Oba parschnęli od śmiechu.

Pokazało się że ten Holm, in gratiam swojego kierdoniku, został agentem Fuszego; pod różnémi nazwiskami wędrował po stolicach Europy, gdzie z biórków które jemu naznaczano, dobywał zgrabnie papiery. Że teraz bawi w Berlinie pod nazwiskiem jakiegoś barona z Kurlandyi; że bardzo delikatne polecenia uskutecznił; i że témi dniami odjeżdża do Kopenhagi. Że bardzo mu się dobrze powodzi, że mu w kieszeń sypią złota ile się do niéj da wsypać, i że to jego przywiązuje do służby, lubo przewiduje że wcześniéj czy późniéj ona go do szubienicy doprowadzi. W czém go przeczucie nie zawiodło, gdyż nie najdłużéj potém, był schwytany w Lubece, do któréj był się wcisnął w czasie jéj oblężenia przez Francuzów, i tam z rozkazu Blüchera, jako szpieg powieszonym został.

Hadzkiewicz był wielce dobroczynnym, zawsze był otoczony od biedaków, których męczył drwinkami, ale których hojnie opatrywał. Nawet w grze nikogo do szczętu nie ograł, a ograwszy widząc rospacz w zgranym, część wygranéj zawsze mu zwracał. Ile razy ubogi w łachmanach do niego się przybliżył prosząc o wsparcie, zaraz kładł rękę do kieszeni, i pierwszy pieniądz który w niéj znajdzie, srébrny czy złoty, jemu oddawał. Jeżeli go odpędził od siebie, to znaczyło: że nie miał nic przy sobie. Razu jednego

w mojéj przytomności, jednemu podupadłemu szlachcicowi proszącemu go o wsparcie, dał tysiąc rubli assygnacyjnych, tylko co odebrane od jednego panicza, który mu się niemi uiścił z długu z gry wypływającego. Powié kto że był hojnym, bo go pieniądze pracy nie kosztowały. Wszakże to samo można by powiedzieć o każdym bogaczu, a jednak jak mało między nimi jest ludzi uczynnych.

Jest-to błędne twierdzenie, że okoliczności w jakich człowiek zostaje, robią go złym lub dobrym. Okoliczności podają duszy sposobność okazania się jaką jest, i nic więcéj. Ale ten stan duszy nie jest podwładny okolicznościom. Zapewne że złodziéj posiadający spadkowych kilka wsi, nie dopuści się złodziejstwa w téj formie, jak naprzykład złodziéj nocny pokątnych ulic miejskich, albo rozbójnik wielkiego gościńca, ale będzie złodziejem we właściwszéj jego położeniu formie. I czyż przez to mniéj będzie złodziejem? Pogardzajmy zbrodnią, a szanujmy cnotę w jakiéj by formie one się nie jawiły.

Hadzkiewicz był tak dowcipnym, że każdy jego żart, ledwo nie każde jego słowo było namaszczone że tak powiém dowcipem. Jego jak to Francuzi nazywają bons mots, żeby mogły być zebrane, były by z nich foliały. Wiele z nich było jadowitych, wiele głębokich.

O jednym obywatelu którego żona była wielce zalotną i płodną, a z czyjéj zalotności przezorny małżonek korzystał w interesach, Hadzkiewicz powiedział,

że założył u siebie mennicę, w której się wybijają talary z napisem: nie nam, nie nam, tylko imieniowi twojemu.

Jeden sławny mąż cnotami i nauką, powiedział pokazując na Hadzkiewicza: „co za głowa — gdyby statek!“ Ten natychmiast odpowiedział nawzajem pokazując jego: „co za statek — gdyby głowa!“

Razu jednego dowodził, że nikt nie dał takich dowodów bezinteresowności w służbie publicznéj jak on, bo należał do rewolucyi która najlepszych jego poniterów powiesiła.

Kiedy mu pewna dama wyrzucała chciwość, że natrętnie upominał się o należną jemu summę od jéj pasierba, do którego ruiny się przyczynił ciągle go ogrywając, on jéj odpowiedział: „Pani pasierb był nierównie odemnie chciwszym, bo to co chciałem u niego wygrać jeszcze by go do ubóstwa nie przyprowadziło, a on już mając po przodkach przeszło dwa miliony dochodu rocznego, ostatnie moje trzysta czerwonych złotych chciał mi zabrać, — bo kiedy rozpoczynał ze mną grę, dobrze wiedział, że nic innego nie posiadałem. Z resztą powinniśmy się z sobą trzymać, bo nas obu przywieziono na zgubę jego domu: Panią morzem, a mnie lądem.“

Razu jednego na kontraktach Dubieńskich, ciągnął bank na motii z Fabrycym, który siedząc obok niego krupierował. Jenerał Głowiński namiętny człowiek, a obeznany z szalbierstwami kartowémi, przeciw niego

poniterował. Upatrzywszy kartę, postawił ogromny kusz, ale dopatrzył że Hadzkiewicz mu sfilował kartę. Uniesiony gniewem daje mu dwa policzki. Hadzkiewicz z najzimniejszą krwią mówi mu: „poczekaj, jutro się rozprawimy z sobą: nie ty jeden jesteś poniterem.“ Dociąga więc talję, po czém zgarnia wygranę, i zaczyna się nią dzielić z Fabrycym; co uczyniwszy daje mu silnego policzka, mówiąc: wziąłem ich dwa, ty jesteś moim motiantem, a więc jednego muszę ci zwrócić.“ Nazajutrz strzelał się z Głowińskim, i jemu zgruchotał tę samę rękę którą skrzywdzonym został.

Jednym rysem zakończę jego obraz.

We wszystkich uniesieniach swojego dowcipu, jedną tylko rzecz zawsze szanował, a tą jest religia w któréj był wychowany. Nigdy przeciwko niéj nie pozwolił sobie najmniejszego żartu. W Peczarze, dowiaduje się że Dracz, niegdyś dystyngowany oficer batalionu milicyi skarbowéj, a zawołany architekta, umiera. Pobożna właścicielka Peczary ubolewa przed nim, że nie chce się pojednać z Bogiem, i kapłana do siebie nie każe puścić. Hadzkiewicz który miał nad nim wiele wpływu, leci najśpieszniéj do niego, i czego ani damy, ani kapłani dokazać nie mogli, on go do tego skłonił. Po rozmowie z Hadzkiewiczem, Dracz kazał zaprosić księdza, najprzykładniéj się wyspowiadał, przyjął wiatyk i ostatnie pomazanie z największą wiarą, i pobożnie skonał.

Z tych wszystkich graczów mi znanych, jeden tylko Walicki nie miał w sobie nic takiego, co by z jakiegoś względu zdradzało szulera z professyi. On jeden i tonem i obyczajami, między nimi był zawsze panem. Była w nim jakaś powaga oznaczająca człowieka przywykłego do wysokiego towarzystwa, a ta pomimowolnie pobudzała dla niego coś podobnego do uszanowania. Był to człowiek niewypowiedzianéj grzeczności i niesłychanego taktu. On niczém nie raził najdrażliwszéj dumy żadnego pana, i dla tego oni wszyscy go uważali za jednego ze swoich, jakkolwiek jego początki były poziome.

On się urodził szlachcicem, krwi ze wszech miar zacnéj, ale tak ubogi, że musiał szukać chleba nawet w zawodzie nie bardzo szlachetnym. To pewna, że w pierwszéj swojéj młodości był w Krakowie markierem w jednéj traktyerni, gdzie pierwszy bilard świeżo się był pokazał, a wszystkich chociaż by samym powabem nowości do siebie przyciągał. Wszakże, że Walickich imie było znane w narodzie, a że się był chwycił rzemiosła, które sam czuł nie być przyzwoitém dla tego imienia, przezwał się Mickiewiczem, nie przewidując zapewne ile to nazwisko kiedyś przyćmi jego rodzinne, zostawszy zaszczytem całego narodu.

Walicki wyrobił był w sobie najwyższy talent do gry bilardowéj, jednym sztosem partyę zaczynał i kończył, kule najniepodobniejsze do trafienia zapędzał w luzy o zakład; i umiał z tego korzystać tak dalece,

że był w stanie w krótce opuścić markierstwo i wrócić do swojego prawdziwego nazwiska, bo już się utrzymywał z gry bilardu. Dając fory ile ich od niego wymagano, zawsze znajdywał takich co chcieli grać przeciwko niemu; a będąc dobrze urodzonym szlachcicem, a do tego grzecznym, łatwym we wszelkich układach, pełnym umiarkowania i dobrego tonu: w najznakomitszych domach był przyjmowany uprzejmie W jednym z nich poznał się z młodym Sołtykiem, ulubionym synowcem księcia Biskupa Krakowskiego Kajetana, męża słynnego w całym narodzie, ze światła, cnot, miłości kraju, i téj gorliwości w zarządzie swojéj obszernéj dyecezyi, którą zdawał się wskrzeszać w sobie biskupów pierwszych wieków chrześcijaństwa. Książe Biskup posiadał kilka milionów intraty, i nigdy bogactwa w lepszych nie były rękach, bo stały się ojcowizną ubogich, a zwłaszcza podupadłych domów szlacheckich. W tém szafarstwie, jego liczni krewni mieli wielki udział: on ich wzbogacał i wynosił do pierwszych w kraju urzędów, usposobiwszy do tego należytém wychowaniem. Usprawiedliwiał staropolskie przysłowie: kto ma księdza w rodzie, temu bieda nie dobodzie. Ta miłość dla krwi swojéj, jaką pod złośliwym zarzutem nepotyzmu, lekkomyślność obwiniała panów duchownych, poczynając od najwyższych sterników Kościoła, powinna by ściągnąć była dla nich szacunek a nie naganę, bo jeżeli w stanie świeckim możny obywatel

obojętny na niedostatek swoich bliźnich, ledwo że nie za potwór jest uważany, jakże wymagać od bogatego kapłana który winien dawać przykład wszystkich cnot, żeby prąd swojéj szczodroty, właśnie od nich odwracał*.

Kajetan Sołtyk, ojciec osierociałych swoich krewnych, jako się nadmieniło, z pomiędzy ich wszystkich, najwięcéj się przywiązał do tego młodego synowca, dziedzica obszernéj włości Chlewiskiéj. Jemu wyrobił późniéj podstolstwo wielkie koronne, gdy ten już po kilkakrotnie wymową i obywatelstwem był się wsławił, posłując na sejmach i spełniając zaszczytnie obowiązki w rozmaitych komissyach, a mianowicie skarbowéj, gdzie on i Tadeusz Czacki byli najczynniejszymi członkami.

Młody Sołtyk zaprzyjaźnił się z Walickim i jego wprowadził do domu swojego dostojnego stryja i opiekuna. Walicki Biskupowi podobał się tak dalece,

---

* Ten zarzut nepotyzmu, tyle nakoniec zrobił wrażenia na ostatnich Papieżach, że zdołał ich uczynić ledwo że nie niesprawiedliwych dla krwi swojéj. Znałem osobiście w Rzymie księdza Castiglione, tak cnotliwego i uczonego męża, że o nim powszechnie mówiono. On by dawno był kardynałem, żeby nie to iż jest synowcem Papieża. Grzegorz XVI żadnemu swojemu krewnemu nie pozwolił mieszkać w Rzymie. Toż samo i teraźniejszy Papież, dotąd męczennik niewdzięczności swojego ludu.

że kiedy wyprawiał synowca do Paryża na kilkoletni pobyt, a ten mu oświadczył chęć zabrania Walickiego z sobą, nie tylko że mu tego nie wzbronił, ale owszem jego wybór wielce pochwalił.

Jedzie więc Walicki za granicę z młodym magnatem, nie w postaci sługi, ale szlachcica dobrze urodzonego, protegowanego od jego domu, a jemu przydanego za jakiś rodzaj mentora. Trzeba wiedzieć, że jakby przeczuwając że przeznaczenie rzuci go kiedyś wśród wielkiego świata, wprawił się w Krakowie do języka francuzkiego, jeszcze nierozpowszechnionego w drugorzędném towarzystwie polskiém, i tak dobrze się nim tłumaczył, że mu to ściągnęło uwagę księcia Biskupa. Zwiedził Niemcy, Włochy, Anglię i Hollandyę z swoim mecenasem, i osiedli w Paryżu w krótce po wstąpieniu na tron prawdziwie świętéj pamięci najcnotliwszego, a razem najnieszczęśliwszego monarchy Francyi. Sołtyk był pochopnym do gry kartowéj, i w ciągu téj podróży, często oszuści nadstawiali sidła na jego namiętność, ale przezorna przyjaźń Walickiego unicestwiała te ich zasadzki. Wszakże w Neapolu, jedna dama będąca w spółce z podobnymi oszustami, swojemi wdziękami umiała przywabić do swojego domu Sołtyka i rozpłomienić w jego sercu namiętność innego rodzaju. Bywał u niéj z Walickim, który swoim taktem rozpoznał niebezpieczeństwo wiszące nad Sołtykiem w tym związku. Nakłaniał go żeby rychło opuścił Neapol, ale Sołtyk był już nadto rozkochany żeby

posłuchał téj rady. Jednego razu ta dama od któréj już był otrzymał wiele zadatków miłości, widząc go w swojéj loży, więcéj ją samą niż czarującą muzyką teatru Śgo Karola zajętym, zaprasza go do siebie na wieczerzę, i przed końcem widowiska zabiera go z sobą w swojéj karecie. Sołtyk zastaje w jéj domu towarzystwo już ją oczekujące; bawi się jak najlepiéj, podziela upajającą wieczerzę, po czém jeden z biesiadników, wysypuje na zielony stolik worek napełniony złotem, i zabiera się do ciągnienia banku. Dama która zniewoliła jego serce, namawia go żeby grał na jéj szczęście, a jéj ofiara nierostropna, skwapliwie z zamrużonémi oczyma leci w przepaść. Tym czasem Walicki doczekawszy się końca sztuki, widzi że niema Sołtyka, i że loża w któréj siedział już jest wypróżniona. Domyśla się gdzie on musi się znajdować, biegnie do domu téj damy, i zostaje go w rękach oprawców, którzy wyzuwszy go już z wszelkiéj gotowizny, na krédkę wygrywają od niego ogromne kwoty, których by tak prędko nie był nawet w stanie opłacić. Walicki nic jemu nie mówi, bo czuł że to by było napróżno, ale sam zasiada do stolika, i grać zaczyna. Oszuści wielce się uradowali widząc przybywającą do nich nową ofiarę, ale tu bardzo się omylili w rachunku, bo Walicki był nierównie od nich bieglejszym mistrzem w tym zawodzie. Nie tylko albowiem że odegrał to wszystko co byli uchwycili od Sołtyka, i to co na nim zapisali, ale wszystkie

przez nich przyniesione pieniądze i mnóstwo klejnotów zabrał. Szulery nie mogli przyjść do siebie, że każdą ich sztukę, na przeciwko ich-że samych odwracać umiał. Jedném słowem, wszystko co mieli, wszystkie kosztowne rupiecie gospodyni domu, do niego się przeniosły, nawet na krédkę wygrał od tych łotrów summy, których naturalnie nigdy by nie byli w stanie zapłacić. A z tą przewagą jaką daje zwycięztwo, poprzestał grać i rozkazał im wszystkim natychmiast odejść żeby ich samych zostawić z gospodynią domu. Całe towarzystwo wnet się rozeszło: pozostali tylko gospodyni domu, on i Sołtyk. Dopiero Walicki do Imości: „Moja Pani, te wszystkie klejnoty były Wacpani własnością, chcesz żebym je tobie zwrócił to uczynię, ale pod jednym warunkiem, oto żebyś jak najszczerzéj opowiedziała przed Panem Hrabią cały wasz plan, na przeciwko niego osnuty, a który ja wam nie dałem dokonać.“ Dama wszystko wyśpiewała aż do najdrobniejszych szczegółów. Walicki jéj zwrócił klejnoty, kazał jakby u siebie sobie podać wieczerzę, zmusił ją do podzielenia z nim butelki szampańskiego wina, z nią najlepiéj się rozstał, wszystko to przed zdziwionym Sołtykiem. Walicki nazajutrz był u niéj sam na pożegnaniu, ale tak czułym, że jeszcze ją obdarzył, i już bez żadnéj trudności tego samego dnia z Sołtykiem opuścili Neapol.

Można sobie wyobrazić ile odtąd Sołtyk miał

ufności w Walickim, ile prawa ten ostatni nabył do jego serca. Osiedli w Paryżu. Sołtyk urodzeniem swojém i stosunkami swego stryja z dworem Wersalskim, wszędzie mając drogi otwarte, był przypuszczonym do poufałego towarzystwa Królowéj, a z książętami krwi królewskiéj był w zażyłości; co dziwić nie powinno, bo sam był synowcem książęcia udzielnego. Zaprzyjaźnił się szczególnie z nieszczęśliwéj pamięci księciem Orleanu, ojcem Ludwika-Filipa, i do jego poufałego towarzystwa przygotował Walickiego. Pierwszy książe krwi królewskiéj francuzkiéj, i członek ubogiéj polskiéj szlacheckiéj rodziny, w krótce poznali siebie doskonale. Książe Orleanu był człowiekiem niemoralnym, pomimo ogromnych swoich bogactw zawsze potrzebujący pieniędzy, i niewiele delikatny w obmyślaniu środków do ich dostania. Przekonawszy się o nadzwyczajnych talentach Walickiego, bo ten jego samego ograł kilkakrotnie, związał się z nim spółką w grze którą odtąd miał prowadzić, w ten sposób, że trzy części wygranéj jemu się miały dostać, a czwarta Walickiemu. Tym sposobem wygrali ogromne summy od Hrabi Artezyi, brata królewskiego, i panów dworu, a nakoniec książe wprowadził go do Królowéj z którą jeszcze był w dobrych stosunkach.

Królowa i panie ją otaczające lubiły gry hazardowe. Walicki im ciągnął banki. I niemogły znaleść dla siebie dogodniejszego bankiera. Walicki o nic

się nie sprzeczał, wątpliwe wypadki w grze zawsze przeciwko sobie rozwiązywał, kredytu nikomu nie odmawiał, nikomu nie naprzykszał się o zapłacenie jemu należności. A nawet jako człowiek wielkiego świata, zbyt skoréj damy do zagięcia poniterki nigdy nie zapytywał: a skąd się wziął ten improwizowany parol? był więc graczem nieoszacowanym, i już bez niego Trianon nie mógł się obchodzić. Tam ogromne summy powygrywał, tak że czwarta część która z nich mu się dostała, już wielki majątek by stanowiła. A i bilard mu posługiwał do dobrego bytu, kiedy jednego dnia, między południem a piątą godziną, na pokojach księcia Orleanu, wygrał trzykroć sto tysięcy franków u Lorda Stanléj, najsłynniejszego bilardowego gracza w Anglii, który wielu panów Wielkiéj Brytanii w tę grę był zrujnował, a który wdał się z Walickim złakomiony piętnastu punktami, które ten mu dawał fora. Salinas, sławny awanturnik włoski, a który jeden dotąd Lordowi Stanléj w bilard dotrzymywał placu, ofiarował pierścień z soliterem, przeciwko stu tysięcy franków, na jedną partyę, byle Walicki mu dał dwadzieścia cztery for, ale końce wszystkich kijów, oprócz tego który wziął dla siebie, czémś takiém posmarował że niémi żadnéj kuli trafić nie można było. Walicki trzyma zakład. Wszyscy w około nich się gromadzą, żeby patrzeć na tak interesującą partyę. Stawiają kule. Salinas wziąwszy tyle for daje aki, w tém Walicki bierze kij, ogląda go, po czém wyjmuje

z kieszeni jakąś flaszeczkę, otwiera ją, skrapia płynem w niéj zamkniętym węzełek od chustki, i wyciera nim koniec kija. Potém zaczyna partyę, kończy ją jednym sztosem, kłania się niziuteńko Panu Salinas, i odbiera z jego rąk ten kosztowny sygnet.

Walicki był wielkim amatorem drogich kamieni, i w krótce został takim ich znawcą, że mało jubilerów z professyi, którzy by mogli w tym względzie do niego się równać. W czasie swojego pobytu we Francyi mnóstwo nabył klejnotów najrzadszych, i te przywiózł do swojego kraju. Razu jednego zadziwił cały dwór Wersalski, poczynając od saméj Królowéj, wykwintnym przepychem swojego ubioru. Pokazał się w axamitnéj sukni galowéj, krojem ówczesnym, zguzikami u niéj, z których każdy otoczony brylantami, wyrażał w kosztownéj emalii jakiegoś boga mitologicznego. O tych guzach długo mówiono w Wersalu. Późniéj, Walicki je ofiarował Królowi Polskiemu, swojemu panu, co się nie mało przyczyniło do téj łaski, którą statecznie u niego posiadał.

Po ośmioletnim pobycie we Francyi, wrócił do Polski. Hrabia Sołtyk był opuścił Paryż od lat kilku, dla własnéj ojczyzny, gdzie wysokie dostojeństwa, spadkowe w jego krwi, na niego czekały. Walicki był zawsze wdzięcznym dla męża, któremu był winien swoje świetne położenie w towarzystwie, a który nawzajem dochowywał jemu statecznie raz powziętéj przyjaźni. On przedstawił go królowi,

który go wkrótce polubił. Sołtyk był Podstolim Koronnym, ale że urzędował czynnie w kommissyi skarbowéj i poselstwach na sejmach, to dygnitarstwo jakkolwiek wysokie, nie miało dla niego wielkiego powabu. Ale dostojeństwo które szlachcica sadowiło między pany, dla Walickiego było rzeczą wielką i kresem jego życzeń. Król mu razu jednego oświadczył, że gdyby jaki dygnitarz wszedł z nim w umowę i złożył swój urząd, on by się nie wahał jemu wakujące dygnitarstwo konferować. Gdy z tém Walicki się wymówił przed Sołtykiem, ten mu powiedział: „A kiedy tak, rzecz jak skończona — ja złożę podstolstwo, jeżeli Król mnie da słowo że go po mnie otrzymasz.“ Walicki dwakroć-sto-tysięcy odliczył Sołtykowi za to ustępstwo, i w kilka dni potém został Podstolim Koronnym i kawalerem orderu Śgo Stanisława, a po upłynieniu roku otrzymał order Orła białego. Takt Walickiego w postępowaniu był tak wielki, że jakkolwiek burzliwa duma cechowała dygnitarzów, po większéj części członków możnych domów, nietylko że żaden z nich nie dał mu jéj uczuć, ale owszem wszyscy z uprzejmym sercem powitali nowego kolegę i razem poszli do Króla, by mu za niego podziękować.

W saméj rzeczy Walicki tak był umiarkowany, tak grzeczny, że ciągle grając w karty, a wiadomo jak gra burzy krew, nietylko że w długim żywocie swoim ani jednego nie miał pojedynku, ale nawet cienia

kłótni z kimkolwiek. Ile razy kto mu zrobił w grze jakąś kwestyę, zaraz ją rozwiązywał przeciwko sobie. Tak dalece umiał być panem siebie, że kiedy z nim grający, pozwalał sobie jakieś szalbierstwo, niczém nie dawał spostrzedz że się na tém poznaje. Na tém umiarkowaniu nie tracił; owszem pokazało się nakoniec, że w tém był głęboki rachunek. Że już miał znaczne dobra na Litwie, Król mówi mu razu jednego: „Mój Podstoli, mając tylu przyjaciół, dla czego nie starasz się o poselstwo na sejm?“ — „Właśnie dla tego, Najjaśniejszy Panie, że mam wiele łaskawych dla siebie przyjaciół, a żadnego z nich nie chcę utracić, unikam sejmików. Nie czuję w sobie zdolności do prowadzenia partyi; żebym został posłem, musiał bym być bardzo podrzędnym członkiem jakiejś partyi, przeciwnéj był bym się naraził: a ja pragnę z całym światem żyć w zgodzie.“ To pewna że nigdy się nie mieszał do żadnéj rozmowy, gdzie polityka była na placu, nie wiém czy kiedy przeczytał gazetę. Nie mieszając się do rzeczy które jego osoby się nie tyczyły, żył pod różnemi rządami a zawsze od nich był dobrze widzianym. Poznałem go roku 1815 w Kijowie, na kontraktach, gdzie był przyjechał z synem swojego niegdyś dobroczyńcy, Romanem Sołtykiem, który zrobił sobie imię i w rzemiośle rycerskiém i w literaturze, a którym się opiekował jakby był jego własnym synem. Tam się zjechał z kilku magnatami rossyjskimi z którymi miał dawną zażyłość, bo po osta-

teczném rozbiorze Polski, on lat kilka mieszkał w Petersburgu, trzymał dom otwarty, i powszechną by sobie zjednał życzliwość. W czasie tych kontraktów, ciągle także grał w karty.

Walicki ostatnie lata swojego żywota strawił w Wilnie, gdzie i umarł. Miał on w niém niemałe zasługi, bo nikt jego uniwersytetu tak hojnie nie obdarzył. Nadał mu rozmaite kollekcye wysokiéj wartości, a nawet zapisał mu znaczne dobra. Dom trzymał otwarty, co dzień był u niego obiad na kilkanaście osób, i smaku wyrafinowanego, bo od młodości był przywykł do wykwintnéj kuchni. Trybu życia raz przyjętego do śmierci nie odmienił, lubo środki do utrzymania go co roku się zmiejszały. Pod koniec utrzymywał dom sprzedawaniem swoich drogich ruchomości. Kollekcye Petitota, brylanty, złote tabakiery, pierścienie, z kolei nikły, często przenosząc się do żydów. W porę umarł, bo jeszcze lat kilka, a dobroczynny ten człowiek był by doświadczył niedostatku. Wszakże jego spadkobiercom, z tych nawet obłamków, dostał się jeszcze porządny kawał chleba.

PRÓŻNIACTWO.

Po dopełnieniu pierworodnego grzechu, który naturę ludzką uszkodził, Bóg cały ród ludzki wskazał na pracę témi słowy, wyrzeczonémi do Adama: będziesz pożywał chleb twój w pocie czoła twojego. To prawo pokuty, ciągle i statecznie się dopełnia. Świat widomy jest wielkim warsztatem do którego ród ludzki jest przykuty. Nie tylko że massa, iż tak powiem, bezimienna ludzkości, upada pod ciężarem pracy, ale nawet łatwo się przekonać, że im kto na wyższym szczeblu hierarchii społeczeńskiéj jest od Boga umieszczony, tym mniéj ma czasu zostawionego do spoczynku. Tak dalece, że wątpliwości nieulega, iż władzcy ludzi w powszechności, są właśnie ci którzy najwięcéj pracują.

Praca ciągła nie jest warunkiem pierwotnéj natury ludzkiéj, ale zadość uczynienie za jéj uszkodzenie przez występek. Ztąd praca nie może być celem człowieka, jak tego chcą zwolennicy niektórych sekt

filozoficznych wylęgłych w dziewiętnastym wieku, ale środkiem do nabycia wiecznego spoczynku, do którego każdy człowiek dąży, chociaż częstokroć bez samopoznania téj swojéj dążności.

Jedna jest tylko religia która jest uzupełnioną prawdą, ale wszystkie są płodem jakichś prawd podaniem mniéj więcéj uszkodzonych, przekazanych, i one tylko dają społeczeństwu warunki bytu. A nie było ani jednéj religii wyznawanéj od ludzi, która by w poglądzie swoim na prace, różniła się od wyobrażenia jaką ma o niéj religia wprost od Boga objawiona. Wszystkie owszem twierdzą: że była dla ludzkości jakaś epocha, w któréj ziemia wszystko jéj dawała bez pracy, i że niezbędność pracy nastąpiła w skutku jakiegoś przewinienia.

Praca nie będąc wypływem natury ludzkiéj, ale spełnieniem karczego prawa Boskiego, a cnota nie będąc niczym innym tylko dopełnieniem prawa Boskiego, z tego wypada wniosek oczéwisty, że unikający od pracy, czyli próżniak, chociaż by był najłagodniejszych obyczajów, niemoże się nazywać cnotliwym człowiekiem. Że zaś lenistwo jest wmieszczone w spisie siedmiu głównych grzechów, nic więcéj sprawiedliwego, bo lubo złe skutki tego grzechu nie są pierwszowzględnie widoczne, wszakże one są tak straszne dla duszy, że mądrość narodów im wyrzekła: że próżnowanie zamienione w nałóg, jest matką wszystkich przywar. Bo któż zaprzeczy, że pijaństwo, kartownictwo,

złodziejstwo we wszystkich swoich formach, pieniactwo, rospusta, nie są to dzieci próżniactwa?

Wielu się zdaje, że myślenie już jest pracą, a jeszcze większéj ilości że czytanie na ten zaszczyt zasługuje. Ostatnie twierdzenie jest błędne o tyle, o ile jest absolutne, bo któż o tym wątpi, że czytanie jako środek do nabycia nauki jest pracą, gdyż bez téj najmniejszego pożytku naukowego z czytania czerpać niemożna; ale może być czytanie bez pracy, i to jest najpospolitsze. Wszakże ten błąd nie tyle jest niebezpiecznym, gdyż czytanie chociaż bez pracy jest zawsze zajęciem, i przynajmniéj trzyma w zawieszeniu złe skłonności skażonéj natury ludzkiéj.

Ale żeby pierwsze twierdzenie było prawdą, żadnego próżniaka nie było by na świecie, bo myślenie jest warunkiem nieoddzielnym od duchowego pierwiastku który się znajduje w składzie każdego człowieka, a który go oddziela od bydlęcia. Każdy człowiek ciągle myśli, głupiec jak mądry, i właśnie dla tego że myśli, próżnowanie jest tak niebezpieczne dla niego. Żeby niemyślał, był by istotą tylko bierną, ale że myśli, zostać może istotą czynną i źle czynną, a więc szkodliwą dla społeczeństwa.

Myślenie jest próżnowaniem, jeżeli nie dąży do wyrażenia siebie w czynie dodatnim, jest więc potężnym bodźcem do pracy, ale nie jest jeszcze pracą. Człowiek najwięcéj myślący, jeżeli nie urzeczywistnia swoich myśli w sposobie dodatnim, ma podobieństwo do

tego który by siedząc na koźle niezaprzężonego pojazdu, ciągle trzaskał z bicza, w mniemaniu że jedzie.

Lenistwo i próżnowanie są to choroby szczególnie trapiące naszą społeczność. I prawdziwie unosić się potrzeba nad dobremi a przyrodzonemi skłonnościami naszego obywatelstwa, że pospolicie płużąc dni swoje w próżnowaniu, największe zbrodnie dotąd w niém się nierozpowszechniają. Są bez wątpienia w téj klassie ludzie pracowici i pracujący, ale niestety, jakaż ich mała liczba w stosunku do zupełnych próżniaków, i wieleż to szkod poniosła nasza publiczność, od tego wstrętu od pracy tych, których zaszczyca swoją ufnością. O mój Boże! czyż tego mało mamy dowodów? Będę więc mówić o naszym narodowym lenistwie, jako o przywarze któréj ulega nasze obywatelstwo, oprócz nienajwiększéj ilości szlachetnych wyłączeń.

Pan Domatowicz uchodzi u nas za zawołanego rolnika, i w tym naturalnie podziela o sobie opinią wszystkich, ale na czym się ona rzeczywiście opiera? Czy na wydoskonaleniu rolnictwa w swoim majątku? nie — jest to człowiek trzymający się rutyny zwyczajnéj. Arsaułowie pędzą poddanych do roboty dziennéj, jaka stosownie do przyjętego raz na zawsze trybu wypada. Jego dyspozytor na koniu z harapnikiem w ręku objeżdża grupy rolników, rażąc periodycznie ich uszy obelżywémi słowami, a plecy uderzeniem, jedynie ze zwyczaju, bo najczęściéj nieumiał by wyna-

leść najmniejszéj racyonalnéj przyczyny tak gwałtownych oznak niecierpliwości. Jednak pojmuję że ciągle się ruszając, ów dyspozytor może myśléć w dobréj wierze że istotnie pracuje. Ale nie pojmuje na czym się zasadza mniemanie o jego panu, że i on jest pracowitym mężem.

Gospodarstwo jest to stan wielce szanowny; ale prowadzone sposobem zwyczajnym, rutynicznym, jak u nas, tak mało jest pracowite: że jeden z najpierwszych gospodarzy naszych stron, który nie ominąwszy się nigdy z najściślejszémi obowiązkami poczciwości chrześciańskiéj i szlacheckiéj, o kilka razy nasob powiększył swoją ojcowiznę, a dla którego gospodarstwo jest podniesione ledwo że nie na stopień religii, a przynajmniéj jest miarą wedle ktoréj szacuje lub pogardza swoich współobywateli, wyznał razu jednego: że jeżeli na dobę jedna godzina niewystarcza gospodarzowi do zatrudnienia się swoim gospodarstwem, musi już być nierząd. I w saméj rzeczy, bawiąc kilka dni w jego domu, przekonałem się że nigdzie gospodarstwo na wyższym nie zostaje stopniu, nie jest więcéj korzystne, a z drugiéj strony, nigdzie niewidziałem by tak mało gospodarz zdawał się nim trudnić. A przecie bez niego nic w nim się nierobiło, tak dalece, że jego dyspozytor jest prostym chłopem, nieumiejącym ani pisać ani czytać.

Jeżeli więc godzina jest dostateczną dla prawdziwéj pracy gospodarza, druga dla przyjęcia meterialnego

pokarmu, a sześć dla spoczynku, pozostaje jeszcze szesnaście godzin które u nas pospolicie są oddane zupełnemu próżnowaniu. Tu zapytuję, czy takowe marnowanie czasu już nie jest perturbacyą moralną, i czy jéj skutki nie są zagrażające.

I tak, pan Domatowicz w obliczu kodexu karczego, jest mężem bez zarzutu, jest gościnnym, a jako wielka część członków naszéj społeczności, mając serce opatrzone dobremi skłonnościami, a umysł uposażony niepośledniemi zdolnościami, jest przyjemnym w obcowaniu. Z tym wszystkim, pod względem moralnym nie może być uważanym za człowieka poczciwego w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, bo żadnych niezachwianych zasad w sobie niewyrobił, a tylko ma dobre instykta. A to dla czego? bo jest próżniakiem. Dobre instykta nie mogą się podnieść do zasad, tylko przez jakieś wypracowanie siebie, a właśnie ani umié ani chce pracować. Jego myśli rzadko kiedy ściekając się z myślami innych ludzi, że tak powiem, jałowieją krążąc w zbyt ciasnym kole, tak dalece, że po długim rozstaniu się z nim, jeżeli na nowo z nim się spotkasz, możesz z góry wiedzieć co ci powié. Będzie to powtórzeniem wszystkiego tego, co ci powiedział kiedyś go widział raz ostatni. Co ci powié dziś, to co powié jutro, pojutrze, nic nowego, nic niespodziewanego. Bo rozmowa cóż jest, jeżeli nie wyrażeniem myśli? a jakież mogą być myśli pana Domatowicza, kiedy w samot-

ności myśląc, bo tym samym że jest człowiekiem musi myśléć, żadnych właściwych pokarmów téj myśli nie daje. Jego myśl ciągle się krąży około swojego Ja — przedmiot sam z siebie nędzny. Podnasza tylko wyobrażenie o sobie, a to wyobrażenie przekracza granice zdrowego rozsądku, bo niebędąc przeciwważone ani nałogami religii, pokory i zaparcia siebie, ani męzką pracą umysłu, która myśl przyprowadza do czynu, musi dojść do zarozumiałości, ledwo że nie do szaleństwa. Wieluż to ludzi znam w naszym obywatelstwie, mniéj niż miernych którzy w najlepszéj wierze są przekonani iż są znakomitymi mężami, że niema zawodu do jakiego by niebyli zdolnymi. Że ich zdania o rzeczach i ludziach winne być przyjęte jako wyrocznie. A że przed sobą taić nie mogą, że nie wiele jest takich co by podzielali to ich o sobie samych wyobrażenie, i że miłość własna im mniéj ma rzeczywistych zasług, tym więcéj jest drażliwą—z tąd użalanie się na ludzi, obmowy, potwarze, zawiści, kłótnie, a nadewszystko gorsząca rozmowa ciągle jest w ich ustach.

Z takich to jest i pan Domatowicz, i niemoże być inaczéj. Trzeba się nawet dziwić, że to ciągłe próżnowanie do szaleństwa go nie przyprowadziło. Bo jakiż jego rozkład dziennéj pracy? żeby przynajmniéj lubił myślistwo. Ale na nieszczęście nie. Wstaje o ósméj z rana, bierze na siebie chałat, i zasiada przy swojéj herbacie ziewając. Przychodzi dyspozytor jak feldfebel do kapitana z raportem dziennym. Po czém

plecie co widział, co słyszał, co wymyślił, i wszystkie plotki wiejskie wypowiedziawszy, rusza do robotników, zostawiając pana, któremu ta rozmowa służyła za poranne modlitwy. Jeżeli pogoda, pan każe okulbaczyć swojego stępaka, lub zaprządz do netyczanki, zaciąga szarawary, bierze na siebie kurtkę i także jedzie w pole: to się u nas nazywa gospodarować. Objeżdża niwy swoje, i o miedze od nich, sąsiedzkie. Jeżeli u niego zboże piękniejsze, w dobrym humorze; a cóż dopiero jeżeli u sąsiada sam perz, jaka radość? Ale broń Boże, u sąsiada z którym się nawet w przyjaźni żyje, niwa większe błogosławieństwo od Boga otrzymała, w tedy proszę patrzeć na jego zasępienie, wraca do domu jak oparzony. Tam złości się, niecierpliwi, a wiadomo jakie być mogą skutki złego humoru, pana, którego bezzależnéj woli wszystko co go otacza jest podwładne. Ta przejazdka, te alternaty dobrego i złego humoru, stanowią akcyę poranku pana Domatowicza aż do południa, ale są w niéj i epizody: jako zatrzymanie się przed karczmą wiejską, albo co jeszcze więcéj zajmujące przed traktową, żeby pomówić z żydem, nabawić się jego plotkami, o cenie produktów, jarmarku dopiero odbytym w sąsiedzkim miasteczku, o jakimś zgorszeniu wydarzonym w okolicy, czasem o politycznych wiadomościach, w czym wszystkim najczęściéj kawałka prawdy niema, o czym się wié, a jednak się słucha bo w tym ciągłym próż-

nowaniu, żaden warunek rozerwania się nie jest do odrzucenia.

Już tedy po téj pracy rannéj, trzeba pomyśléć o obiedzie, nie tylko dla posilenia swojego cielska, ale że i obiad przecież na wsi jest jakimś zajęciem. Pan Domatowicz bezżenny, bezdzietny, obcy temu życiu familijnemu, które tak ważną i świętą gra role w wielu domach, a które u naszych przodków nadobną barwę nadawało ukształceniu szlacheckiemu, najczęściéj sam jeden obiaduje. I już w tém jest nie małe zle. Bo stół jest natury towarzyskiéj, jest przywoływaczem przyjaźni. Jeżeli on nie jest zaprawiony życiem familijném, albo aktem życzliwości sąsiedzkiéj, pożywanie strawy którą jest zastawiony staje się rzeczą bydlęcą, od czego towarzyskie przyrodzenie człowieka ucieka. I pan Domatowicz to czuje, bo w tém sprawiedliwość powinna mu być oddaną, że przy zbliżającéj się obiadowéj porze, tęskni za gościem; i że stosownie do naszych świętych obyczajow, żeby kilku przyjechało niespodzianie, tak wszystko u niego urządzone, że każdy był by syty.

Jeżeli przybędzie gość, w tedy radość. Gospodarz i gość zasiadają za stołem, przyprawiając obiad rozmową, która się przeciąga przy fajkach, długotrwałych wetach, naszych teraźniejszych, zwłaszcza kawalerskich obiadów. Już powiedziałem że pan Domatowicz nie jest bez jakichś zasobów umysłowych, tyle tylko, że lenistwo zamienione w nałóg, nie dozwoliło mu ich ukształcić

Dajmy na to, że jego gość jak często u nas się zdarza, jakkolwiek także bez ukształcenia, jest równie dowcipnym. Jakaż będzie barwa ich rozmowy? Nic innego z niéj się niewywiąże, tylko same kłamstwa, i to być nie może inaczéj. Ale tu muszę się trochę rozszerzyć.

Pan Kraszewski przed kilku laty ogłosił chryję przeciwko dowcipowi. W niéj zrobił rozróżnienie między dowcipem polskim a francuzkim, jak gdyby dowcip nie był zdolnością umysłową, wszędzie jedną w swojém jestestwie, tak jak rozum, pamięć, geniusz, rozwaga i tak daléj. Nawet wybrał nieszczęśliwe przykłady na poparcie swoich zarzutów, i tak: uważa Ignacego Krasickiego być typem tego co nazywa dowcipem polskim. Właśnie, jeżeli nie w jestestwie dowcipu ale w jego wyrażeniu, są barwy narodowe: Krasicki w pismach swoich, a zwłaszcza w obcowaniu, zupełnie przejął się był dowcipem francuzkim. I tylko w sfrancuziałym dworze Stanisława mógł być równie popularnym. Mógł by więc P. Kraszewski nierównie właściwsze dobrać przykłady dowcipu barwy polskiéj, ale które by niczego nie dowiodły. Bo żadna usilność chociażby geniuszu, nie zdoła wmówić, żeby dowcip w jakiéj by nie był barwie, nie był miły i nie miał wielkich zasług. On jeden jest zdolnym, prawdom moralnym i naukowym nadać prawo obywatelstwa w wyższym towarzystwie, bez którego nie może być ukształcenia obyczajowego, a tém samém i wszelkiego innego. Wszakże niepopełniam śmieszności biorąc na seryo, to

co napisał autor sam dowcipny, pod wpływem wypadkowego uniesienia. Bo wiém dobrze, że to był pocisk wymierzony na pisarza, przeciwko któremu karmił niechęć słuszną czy niesłuszną; a że jemu nieodmawiał dowcipu, nic dziwnego że na ten przymiot duszy nieżyczliwie spoglądał. Ale mógł był gruntowniéj przemówić, nie przeciwko dowcipowi, bo to było by na próżno, ale przeciwko takich, co to tylko umieją dowcipkować, to jest: którzy oprócz dowcipu żadnych zasobów nie mają. A tém poruszył by zadanie wielkiéj wagi.

Nikt tego sumiennie nie zaprzeczy, że w naszém potocznem obcowaniu, w tém co nazywamy konwersacyą, prawda do kłamstwa jest w stosunku jednego do pięciu. I tu się niemówi o tym rodzaju anegdotycznym, że tak powiém, którym się omija z prawdą bez domagania się wiary; ale o tém usiłowaniu podawać za prawdę, wierutne kłamstwa, o sobie, o swoim znaczeniu, bogactwie, męztwie, szczęściu do kobiét, i tym podobne, gdzie rzeczywiście jest jakiś expens dowcipu, ale wielce uciążliwy dla słuchaczów. Kto o sobie samym mówi, winien mówić z wielką trzeźwością. Taka jest natura ludzka, że lubo każdy sam sobą wielce się zajmuje, innych zawsze tém znudzi i to na sobie doświadcza. Każdy z nas ma skłonność do mówienia o sobie. a jednak nie ma dowcipu ani rozumu tak wielkiego, żeby dokazał, by opowiadanie o sobie cokolwiek dłu-

gie, nie wywołało ziewania. Można powiedzieć, że całkowite wychowanie salonu wielkiego świata, na tém się zasadza: żeby wszystkich umieć zająć, swoją osobistość jak najstaranniéj zakrywając. Cała różnica między parafianinem a człowiekiem światowym okazuie się w tém, że pierwszy oddaje się swobodnie téj wadzie, a drugi tu trzyma siebie na wodzy. Jeżeli kto o sobie tylko ma przedemną mówić, wyznaję że wolę w nim znaleść łgarza, niż męża prawdy: bo w kłamstwie bywa zaleta inwencji, która czasem i rozerwie; zaś najprawdziwsza historya człowieka nieocechowanego nadzwyczajném piętnem, będzie bez najmniejszéj przerwy, najsoporyficzniejszą nudotą.

Dla czegoż nasi tak zmyślają w towarzystwie? Oto dla tego, że w powszechności mają dość dowcipu a nauki mało, albo co jeszcze gorzéj niż zupełna niewiadomość, wiele illuzji naukowéj, ktorą w najlepszéj wierze mają za naukę. Jest więc dyzharmonia między dowcipem i nauką, stan wielce niepomyślny a który zawsze w złém świetle wystawia człowieka. Jeżeli kto ma wiele nauki a nadto mało dowcipu, będzie ciężkim, nudnym, nieznośnym wszędzie gdzie się wmieści. Jeżeli ma wiele dowcipu a zbyt mało nauki, będzie łgarzem, i to nawet będzie jego jakąś zaletą. To widziémy nawet w wyższém towarzystwie, gdzie obyczaje salonowe, do pewnego stopnia zrównoważyły nierówność zdolności indywidualnych, a cóż dopiero na prowincji, gdzie wyłamanie siebie ze ści

słych prawideł przyzwoitości towarzyskiéj, teraz uchodzi za jakąś śmiałość filozoficzną. Wpadliśmy rzeczywiście w najbłędniejsze koło. Bo jeżeli człowiek mający jakieś zadatki ukształcenia, ale który niedoszedł do tego stopnia, by aż mógł uprawiać jakąś dokładną naukę, w odosobnieniu się swoim od towarzystwa, nie może tylko pleśnieć; z drugiéj strony w tém naszém towarzystwie, żadnego oświecenia niewyczerpie, a co gorsza, w niém niezawodnie zwątli swój zmysł moralny. Jest to tak dalece prawdą: że corocznie ukształcenie nasze zniża się widocznie, że szybko lecimy do najsromotniejszego barbarzyństwa; i wyznaję szczerze że niewidzę środka, który by zdołał odwrócić niebezpieczeństwo nam grożące*.

Pan Domatowicz ciężąc sobie samemu, jako każdy próżniak, znajduie jakąś ulgę dla tych swoich nudów, do których się wtaiemniczył ale ze wszystkiém przyzwyczaić niemoże, w obcowaniu z gościem który go nawiedza.

---

* W najwięcéj ukształconych społecznościach, są towarzystwa złe i dobre; od woli człowieka zależy ich wybór. Tam obok ludzi co nawykli do form nadobnych cywilizacji spatrzyć można gburów, ale czego nigdzie niebyło i niema, to się u nas od niejakiego czasu pojawiło: literaturę gburowską. Jest to nasz produkt rodzimy, jak systemat Kopernika.

Palą z sobą fajki, piją herbatę, kłamią sobie wzajemnie bez celu, bo jeden drugiemu niewierzy, ale przynajmniéj czas im schodzi. Jest to zawsze epizod szczęśliwy, w téj nudnéj akcji domatorstwa celibatorskiego. Ale co tu robić kiedy gościa niema? Trzeba się błąkać z domu do stajni, ze stajni do gumna, z gumna na wieś, żeby czas zabić jakkolwiek. Religii niema, umysł od dawna puszczony na odłog, cóż więc pozostaje? cielesność. Jéj trzeba dogodzić, na to ofiary gotowe w położeniu poddaństwa względem właścicieli. Nad tym przedmiotem rozciągać się niechcę, bo w tém powszechném zaślepieniu mało kto rozumi, jakie konsekwencye nastąpią niezawodnie, z tych okropnych a rozpowszechnionych premissów.

Jeszcze to latem, natura służy za towarzystwo próżniakowi wiejskiemu, ale zima jest dla niego dręczącym czyscem. Co tu robić na wsi zimową porą celibatorowi? Chodzić do gorzelni by w niéj machinalnie patrzéć jak bulki wydobywają się z kadek, jak się kręci zacior w swoim obwodzie, a potém nawąchać się smrodu z wołówki. Zgoda! to dobre na godzinę, wreszcie na dwie. Na co obrócić resztę dnia? te niekończące się wieczory przez kilka miesięcy? Pan Domatowicz jakkolwiek nierozwinięte, ma przecież jakieś zasoby intellektualne; trzeba mu oddać sprawiedliwość, że w jego rocznym budżecie, jest kilkadziesiąt rubli, które się dostają księgarzom za książki. Nie darmo świece się palą w zimie

u pana Domatowicza, nudota ciągnie go i do książki, czyta i dużo czyta, tak że można powiedzieć bez przesady, że prawie to wszystko co się zjawia na naszym literackim horyzoncie, jest mu znane. Niema roku, żeby na nim niepokazało się cóś szacownego, cóś nauczającego. A jednak przy wielkiéj lektiurze, pan Domatowicz nie jest światłym, a dla czego? bo czytanie nie może oświecić tylko takiego co już jest światłym; gdyż z pomiędzy wszystkich nauk, może najtrudniejsza, a bez wątpienia najrzadsza, jest umieć czytać jak potrzeba. To co nazywają kolosalną lektiurą, nie jest udziałem ludzi prawdziwie uczonych, i to nie może być inaczéj. Oni dużo przerzucają książek, niewiele ich czytają, ale te którą czytają dobrze czytają, i to w nich znajdują, czego inni w nich nie widzą.

Nie jest to żaden paradox, bo to co twierdzę opiera się na faktach. W zeszłém naszém obywatelstwie było mnóstwo mężów i wysokiego światła, i głębokiéj nauki w formie narodowéj, a nie w francuzkiéj czy niemieckiéj. Ale w obecnym pokoleniu mało im jest podobnych. A jednak ci mężowie, do których wszyscy udawali się po radę, bardzo mało czytywali. Volumina legum, Statut Litewski, Pismo święte, kilku klassyków łacińskich i kaznodziejów polskich, składali ich księgozbiór. Ale umieli czytać. Przypominam sobie jak jeden obywatel powiatu Skwirskiego, którego nie wymieniam, ale o którym wszyscy wiedzą, jako o jed-

nym z naszych najgłębszych prawników, świeżo był otrzymał kodex Napoleona w przekładzie polskim, i przy kielichu, oceniał przedemną wartość a razem niedostatki tego kodexu. Przed kilku dniami czytałem o tym przedmiocie dziełko uczonego Winspira. Nic w niém nowego dla siebie nieznalazłem; to wszystko co mówi o kodyfikacji praw, to samo mnie przed trzydziestu kilku laty powiedział ów znakomity obywatel. Nauka o tyle więcéj jest nauką, o ile więcéj się opiera na podaniu, a jeżeli niczém inném nie jest tylko podaniem, tém będzie gruntowniejszą. I właśnie dla tego nauka teraźniejszych prawników, rozprawopisców, jest niczém w porownaniu naszych dawnych jurystów. To samo mniéj więcéj o wszystkich naukach specialnych powiedzieć można. Niedouczeni ciągle szermują za uczonemi książkami; ale mistrzowie nauki, umieją oceniać ich rzeczywistą wartość, bo wiedzą że litera jest martwą, a tylko słowo ją ożywia.

Każdy pisać może, bo papier wszystko przyjmuje; a że pisze, mocen jest siebie nazwać pisarzem. Oto tylko idzie, czy te jego pisma czegoś nauczają? Jeżeli na tém ma się zasadzać pisarstwo, żeby źle przytaczać, to co dobrze było już powiedziane: to niczém więcéj nie będzie, jak prostém i bezsumiennėm rzemiosłem. Pisarz biorąc pioro, winien siebie zapytać czego chce, co ma do nauczania, co umie? Jeżeli to tylko co gdzieś wyczytał, wolał by powodowany miłością bliźniego, odesłać

go do téjże saméj książki, z któréj otrzymał swoją wiadomość; niżeli ją przepisując kazić niezgrabną pisownią, i narażać czytających na bezkorzystny wydatek. Co mu winna ta książka, żeby się nad nią i nad uszami swoich czytelników pastwił? Prawdziwie to się niegodzi.

Biedni ludzie! chwytają się rodzaju na pozór najłatwiejszego, krytyki, a tego nie chcą poznać: że bez nauki przytaczanie będzie zawsze przytaczaniem, i niczém więcéj. Ani szukaj tam jakichś teoryi o sztuce, jakichś spostrzeżeń żywotnych mogących jéj posłużyć, nawet jakiegoś samoistnego zdania. Krytyka nieuka zawsze do tego się redukuje: on źle pisze, on nie rozumi tajemnic serca ludzkiego, on niezna historii, on niewié co to jest filozofia. Czemu nie pisze jak ten lub ów? oto cała treść ktorą z niéj wyciągniesz. I póki świerzbiączka pisarska nie opuści dla jakiegoś innego nałogu, póty trwać będzie ciągłe powtarzanie tychże samych powtarzań.

Jeden pisarz napisał o ludziach przedających chustki kradzione, a którzy nie umieją z nich wyprać cyfry prawdziwych właścicieli. Pewien filozof-literat prowincionalny, podniósł to jakoby rękawicę jemu rzuconą; i odwrócił żart na autora samego, mówiąc: że można by wydać obszerne dzieło z pism tegoż autora, pod tytułem: Chustki kradzione z których cyfry właścicieli są wyprute. Ów filozof może być spokojnym o swoje, wątpię żeby kto chciał je ukraść.

Ale żart na stronę, ponieważ nie szczędzi w swoim piśmie nauki dla ludzi pisarskiego cechu, co my słuchamy z cierpliwością, niech że raczy odemnie przyjąć wywzajemnienie się obrokiem duchowym.

Nic nowego niema na świecie, bo summa ogólna prawd była dana ludzkości w chwili jéj stworzenia. Prawda zupełnie nowa pod względem absolutnym, jako rzecz jedynie ludzka, była by bezsensem; bo ludzkość ani jednéj chwili nie może być odłączoną od wszystkich warunków jéj bytu. Jest to rzecz pewna, że nowa prawda musiała by być chyba objawieniem wyższéj niżeli cała ludzkość potęgi; do którego rezultatu doszli nawet czciciele bezwzględnego postępu ludzkości, w tym odnowionym panteizmie w formie niemieckiéj, który pochłonął wszystkie systemata filozoficzne przeciwne religii chrześcijańskiéj. Bo raz przypuściwszy bezwzględny postęp w ludzkości, opatrzyli się przecie, że nic bezwzględnego wyrobić się nie może z istoty zależnéj. Ścisłą więc logiką musieli przyjść aż do przyznania bezzależności rodowi ludzkiemu, a tém samém wszelkich warunków Bóstwa. Ludzkość jest Bogiem, i innego Boga niema: oto jest ostatnie słowo filozofii Hegla, Miszeleta, Trentowskiego i wszystkich mistrzów konającego zachodu. A to bluźnierstwo jest logiczne, bo przezeń tylko, jakikolwiek można znaleść sens, w doktrynie postępu ludzkości.

Ale jeżeli człowiek, jako człowiek, nic zupełnie

nowego wymyśléć niemoże, oczywiście cała literatura, pod pewnym względem będzie kradzeniem chustek bo każdy utwór nawet geniuszu, jest tylko uprzedmiotowaniem jakiejś nauki, którą otrzymał od podania za pośrednictwem bądź książki, bądź żywotnego obcowania z ludźmi.

Prawda jest jedna, ale wiele jest prawd względnych pochodzących od téj Prawdy Matki; a każda z nich ciągle inaczéj się powtarza, nieprzestając być sobą. To się sprawdza nawet w naukach dokładnych. Te same metody, które tak wielkich matematyków ukształciły w XVII wieku, dziś nikogo matematyki nie nauczą; lubo co do rzeczy były takie same jak teraźniejsze. A cóż dopiero pisma moralne, polityczne, historyczne, i literatura nadobna? Pisarz który zdoła wyprać cyfrę właścicielstwa cudzego w swoim piśmie, jest prawdziwym pisarzem, bo umie go napiętnować własną indywidualnością. Russo nic innego nie powiedział o potrzebie żeby matki karmiły swoje dzieci, tylko to co już kilkanaście lat przed nim ogłosił był pan Borden. Wszakże ten przeszedł niepostrzeżony, a Russo został prawodawcą matek. Dla czego? Obydwa tę samą prawdę napisali, tylko jeden był prawdziwym pisarzem, a drugiemu podobało się pisać.

To samo o czytaniu powiedzieć można. O ile jest stopni w usposobieniu intellektualném czytelników, o tyle jest różnicy w pochwycie pokarmu z téjże saméj książki. Bo książka niczego nie naucza, tylko

przez jakąś assymilacyą między jéj duchem, a duchem czytelnika. Główny cel wychowania, nie jest sama nauka, bo żadna szkoła urzędowa w pełności jéj dać niemoże, ale nadanie umysłowi takiego usposobienia, żeby tylko rzeczy dobre i pożyteczne dawały się przez niego assymilować. Jeżeli ten cel dopiętym został w uczniu: chociażby postępując w zawodzie życia bardzo mało książek czytał, będzie się ciągle kształcił, robiąc postępy w światle i naukach. Tylko wychowanie na ścisłych zasadach religii oparte, może dać podobne usposobienie; a bez tego zaś, czytanie będzie pochwyceniem trucizny a nie pokarmu dla umysłu. Okresy w których duch religijny przemagał w społeczeństwie, były zawsze obfitujące w uczonych mężach; tak dalece, że pamięć mnie nieprzywodzi ani jednego z takich co naukę istotną popchnął, a niebył gorliwym zwolennikiem religii wyznawanéj w jego społeczeństwie*. I to nam tłumaczy dla czego

---

* Wiém dobrze, że chemia i technologia znaczny wzrost wzięły w bezbożnym XVIII wieku. Ale cóż mają nauki analityczne do oświecenia powszechnego? Przy schyłku powszechnéj oświaty, zawsze się jawiły i jawić będą mistrze analizy, twórcy formułek naukowych. O tych niewarto wspominać. Tylko umysły syntetyczne rzeczywiście podnaszają oświatę, bo oni tylko umieją tworzyć właściwe metody naukowe. Niech że mnie pokażą aby jeden umysł syntetyczny od drugiéj połowy XVIII wieku, aby jedną

w naszym społeczeństwie od lat przeszło sześćdziesięciu, lubo książki i księgozbiory się mnożą, oświata i nauki ciągle się zniżają. Co się niemniéj daje spostrzegać we Francii a zwłaszcza w Niemczech, bo we Francii przynajmniéj w naukach matematycznych nie ma zaćmienia *.

---

metodę naukową, nawet w téj filozofii która pozawracała głowy? To mówię do ludzi prawdziwie uczonych, lubo nie należących do mojéj szkoły, a owszem jéj przeciwnych. Ci zrozumieją co chce powiedzieć.

* Już sto razy się powiedziało, że matematyka nie tyle jest nauką, ile najpotężniejszém narzędziem naukowém. Bo wyjąwszy rachunek różniczkowy, cała matematyka jest tylko ułatwieniem addycji i sustrakcji. A jednak ona bez wątpienia, jest najdostojniejszą wiadomością ludzką. Są nauki które stricte mogą się obejść bez matematyki, wszakże ani jednéj niema takiéj, dla któréj matematyka nieby ła by pomocną. Są wznowu takie które lubo na pozór nie zdają się mieć z nią styczności, przecie bez niéj w żaden sposób nie mogą być pożytecznemi. Platon twierdził, że matematyka jest przedsieniem filozofii. Ani starożytność, ani nowożytność o tém nigdy niewątpiły. I aż do XIX stólecia ani jednego niebyło filozofa, który by się wprzódy niewsławił w matematyce. Dopiero za dni naszych uroiło się marzycielom niemieckim, że niebędącemu nie tylko mistrzem w matematyce, ale o niéj prawie wyobrażenia nie mając, można z kopyta wziąść się do filozofii; i że dedukcya logiczna jakiéjkolwiek myśli czy swojéj czy cudzéj, jest

Wiele jest sposobów pisania, ale nie mniéj jest sposobów czytania. To pewna, że ludzie nauki specialnéj (a prawdziwa uczoność jest zawsze specialną) nie wiele książek czytają; ale te które mają powinowactwo z ich własném usposobieniem, czytają i dobrze czytają. A tém zwiększa się summa światła, którą wychowaniem przyjęli. Ci zaś, którzy nie oddali się żadnéj specialności, a których umysł potrzebuje pokarmu, albo lepiéj powiedziawszy rozrywki duchowéj, wiele czytają. Niech że przynajmniéj czytają takie pisma, w których żywioł poetyczny przemaga: jako powieści, twory dramatyczne, wiersze, historję, podróże; w nich znajdą rozrywkę, a nawet jakiś pożytek dla umysłu. Bo tylko literatura nadobna kształci człowieka i daje mu cywilizacyą. Ale niech się wystrzegają pism uczonych, a jeszcze więcéj zakrawających na uczone. Po pierwsze że ich znudzą, powtóre że jeżeli przemoże nudota, one mogą skrzywić ich umysł, tém iż łatwo wmówią sobie że są uczonymi, a nic rzeczywiście nie umiejąc, pokuszą się nawet drugich nauczać; choroba która u nas zaczyna się rozpowszechniać.

---

filozofią. Była by to rzecz wielce wygodna, zrobić z filozofii poduszkę dla ignorancii, i lenistwa. Anglicy a nawet Francuzi zawsze się śmieli z tego osobliwszego wynalazku, tak u nas popłatnego.

Pan Domatowicz zwłaszcza w zimie, wiele czyta książek; czyta naszych wieszczów, i umié się nad niemi unosić, bo takie jest przyrodzenie narodowego wieszcza: że każdy członek jego społeczeństwa jaki by nie był stopień jego ukształcenia, zdoła go ocenić, byle by nie miał w umyśle lezji organicznéj. Czytuje też powieści, w które nasza dzisiéjsza literatura obfituje, a które w znacznéj części są ocechowane niepospolitym talentem, a nawet głęboką znajomością psychologiczną i historyczną. W rzeczy saméj tylko te pisma go zajmują, ale do tego się nieprzyznaje, broń Boże! bo mu się uroiło zostać filozofem ex abrupto; a nawet zdaje mu się iż już nim został. Opatrzony wszystkiemi polskiemi publikacyami pana Trentowskiego, ślęczy nad niemi, w słodkiéj ułudzie że pojął te pisma, których dokładnego znaczenia nikt, ani nawet sam ich twórca nie rozumi. Nic zabawniejszego, jak słyszeć kiedy pan Domatowicz nastroi rozmowę na ton poważny, jak się przebija w jego mowie argot pana Trentowskiego. Jakto żywostan, awożność, myślini, figurują w jego potocznéj składni. Szczęśliwy język polski, że dotąd tak ubogi, raptownie z jego łaski tyle się wzbogacił. Ale któż więcéj od pana Domatowicza, tę jego uczynność ceni?

Szczególne to położenie pana Domatowicza, ale wspólne większéj części naszéj czytającéj publiczności: że tych pisarzy którzy go nudzą, pod nieba

wynosi, a tych właśnie którzy najwięcéj uprzyjemniają jego chwile, albo z błotem miesza, albo przynajmniéj z jakąś szczególną roskoszą, słucha obelgi na nich miotane przez smiecie cechu literackiego. Ktoby sądził z powierzchowności, a nie patrzał na dno rzeczy, mógł by myśléć że pioro tych bazgraczy jest organem sądu publiczności. A jednak wielce by się omylił, żeby z tych pochwał i nagan brał miarę jéj prawdziwych pociągów lub wstrętów.

Z łaski pana Trentowskiego, przybyło nam mnóstwo wyrazów o jakich nasi ojcowie niesłyszeli, ale i to pewna, że nie mniejsza ilość tych których używali albo zgasła, albo straciła swoje pierwiastkowe znaczenie. Bo mowa narodowa, jest to jakoby naczynie, które tylko pewną ilość wyrazów w swojéj objętości zawrzeć może. Jeżeli nowe przybywają, stare ubywają w tym że samym stosunku. I tak: wiele mamy wyrazów świeżych, których by nigdy nasi ojcowie nie zrozumieli, ale za to wiele jest takich, których oni sumiennie i z samopoznaniem używali, a których my znowu nie rozumiemy. Wyrazy: cnota, honor, sława, uczciwość, cześć, męztwo, i dziś są uzywane, ale jako archaizmy, bo kto u nas dziś zrozumie ich pierwiastkowe znaczenia*? A że wyrazy, o ile się dają rozpowszechniać,

---

* Wybiorę jeden przykład. U nas pospolicie wcisnął się do potocznéj mowy, zwyczaj nazywać zdatność cnotą. I

nie mogą być arbitralne, ale są przedstawieniem żywiołów moralnych narodu który ich używa; ztąd wniosek oczywisty: że najpotężniejszy geniusz nie zrozumie narodu, pokąd niezgłębi mowy którą ten naród siebie tłumaczy. Już powiedziano, że styl jest to całkowity człowiek. Nie z mniejszą słusznością powiedzieć można, że filozofia narodu niczém inném nie jest, tylko jego grammatyką. Plotą o filozofii historji ogólnéj, chcą mieć za naukę dokładną zbiór rozumowań, ci którym się kleją jakieś hypotezy objaśniające niby, to co w niéj pozostaje zagadkowego, i nieprzecze, że takowe rozumowania jeżeli są sumienne, nie są bez jakiegoś pożytku. Ale nie mniéj pewno, że te wszystkie rozumowania nigdy nie nabędą powagi nauki. Bo nikt gruntownie niezrozumié historii narodu, jeżeli nie pojął wszystkich tajemnic jego grammatyki żywotnéj czyli mowy. Mogą być, i są rzeczywiście nauczające cząstkowe badania, spostrzeżenia częstokroć głębokie nad tym lub owym narodem, ale to nie jest jeszcze filozofią historii, bo ta filozofia winna by objaśnić i w całość sformułować wszystkie bez wy-

---

tak, któż niesłyszał ten osobliwszy okres: Mój pies nie piękny, ale jaki cnotliwy! Żeby kto podobnie się tłumaczył temu pięćdziesiąt lat, uszedł by za szalonego — ale dziś takowy okres nikogo nawet nie dziwi. I to łatwo pojąć się daje.

jątku założenia i wypadki ducha narodów. Ale jakże poznać ducha narodu, nie obeznawszy się z jego mową? Czy podobieństwo żeby wszystkie języki którymi tłumaczą się rozrodzone plemiona ludzkie, lub kiedyś się niemi tłumaczyły, mogły być przez naukę objęte, zwłaszcza że wedle pięknego wyrażenia pana Villemain, języki co pewien przeciąg czasu lenieją*?

---

* Każdy język, czyli każdy naród, ma swoją filozofię mniéj lub więcéj rozwiniętą; i właśnie dla tego, ogólnéj filozofii, w całém znaczeniu tego wyrazu, być nie może. Dotąd ani jeden naród, nie pochwalił się iż posiada uzupełnioną grammatykę. Takowa byłaby jego filozofią. W narodzie, poezja jest twórczą, filozofia jest postrzegawczą, ale niczego nie tworzy. I jeżeli nowe wyrazy jéj mistrz wprowadza do mowy, tém samém dowodzi, że jego myśl jest obcą narodowéj filozofii, a takowe wyrazy nie wzbogacają, ale każą język. I to niemoże być inaczéj; gdyż w zawodzie umysłowym, co tylko jest zamknięte w ścisłéj formie, przestaje być płodoczynne. Filozofia narodowa jest zawsze czynną, tak jak systemat filozoficzny jest zawsze bezpłodny. Poezja jest płodną, dla tego że żadnym sposobem siebie nie da sformułować. Przypominam sobie jak to u nas stronnicy form materyalnych naszéj mowy, wyrzucali największemu naszemu wieszczowi, że używał prowincyonalizmów w swoich poezjach. Nie rozumieli tego, że dialekta prowincyonalne nie są obczyzną, ale mową narodową w mniejszym stopniu rozwinięcia; i że prawdziwy poeta zawsze niemi się posługuje.

Pan Domatowicz oczytany prawie z tém wszystkiém co się u nas ogłasza, wyrobił więc w sobie podwójne zdanie o autorach, których pisma przeszły przez jego ręce. Jedne które zachowuje w tajemnicy, a drugie, które usty wyznaje. I tak, powstaje na tych którzy go rozrywają, a pod nieba wynosi tych którzy go nudzą. Bo niema dość odwagi, żeby się sprzeciwiać temu, co się jemu wydaje być sądem publiczności, a jest nadto leniwy żeby chcieć się zastanowić nad tém, co rzeczywiście stanowi sąd publiczności. Sąd publiczności o pisarzu jest nieomylny; ale trzeba zrozumieć czém się udowadnia ten sąd. Pochwały lub nagany ustne, są najczęściéj czcze brzmienia, do których prawdziwy pisarz najmniejszéj uwagi nie przykłada. Krytyki piśmienne bez powagi naukowéj, w czymże uszkodzić mają jego sławie? Vituperia stultorum laus est. Kiedyż one zdołały wstrzymać polot powołanego pisarza? Ale czém się udowadnia łaskawy sąd publiczności o nim, o to niczém inném, tylko rozprzestrzenieniem się jego pism. Zapewne, że za pomocą prenumeraty można puścić w obieg nikczemne pismo. U nas łatwiéj niż gdziekolwiek, bo w naszym obywatelstwie, mało jest takich co by nieradzi przyczynić się jakąś ofiarą, dla zachęcenia młodzieży do jakiéjś umysłowéj pracy. Lecz ten sztuczny środek, bynajmniej niedowodzi żeby ta praca znalazła u niego upodobanie. Jeżeli zaś wydania pisma się mnożą, jeżeli przedsiębiercy tych wydań nieustają,

pisarz może być aż nadto pewny, że się podobał publiczności, chociaż mało od niéj otrzymuje pochwał, a owszem dochodzą do niego dowody ustne jéj życzliwości dla tych, których pióra bezsilnie go szarpią.

Lenistwo jest to powszechna przywara naszéj społeczności. Wieleż to mamy rzeczywistych zdolności przez nią poronionych. A to lenistwo jest tak dalece wkorzenione w obyczajach naszych, że nawet figuruje w literaturze. Niczemu innemu nie przypisuję tego, jak brakowi wiadomości który się ciągle objawia w wielu pismach teraźniejszych, szczególnie ile razy one potrącają o zadania historyczne; jak gdyby tu jakakolwiek zdolność przyrodzona, mogła zastąpić pracowitą naukę. Bez wątpienia wieszcz a nawet poeta będąc natchnionym, niepotrzebują tych ślęczeń, któremi się nabywają wiadomości; bo intuicia daję mu to, co zaledwo długim ćwiczeniem inny otrzyma. Tak dalece, że lubo rozumowaniem nie można wyprowadzić rzeczywistego stosunku między poezją a nauką, jednak zaprzeczeniu nie ulega, że w każdym okresie ludzkości, prawdziwy poeta zawsze posiadał najogólniejszą summę wiadomości ludzkich jemu współczesnych. I ztąd wielki poeta zawsze był i jest, najzupełniejszym przedstawicielem sił intellektualnych swojego norodu*. Ale prozator który wyłącznie jest pro-

* Tu się nie mówi o téj uczoności, że tak powiem, pro-

zatorem*, jeżeli nie jest głęboko uczonym, na co się może przydać? Jest inutilis pondus terrae. W wojsku są wodzowie, ale bez żołnierzy nie ma wojska. W zawodzie pisarskim każdy powinien być wodzem. A jeżeli do tego nieczuje zdolności, niech że z łaski swojéj do czego innego się bierze.

Teraźniejsze teorje, nawet niektórych mężów rzeczywiście uczonych, są wymierzone przeciwko arystokracji, i naturalnie większość jest za temi teorjami. Czyż może być straszniejsza i nieznośniejsza arystokracya dla głupstwa, jak rozum? Menenius Agrippa, jedną przypowieścią zdołał pojednać powaśnione z sobą na stanowisku politycznem, arystokracyę i demokracyę Rzymską. Ale

---

wizorycznéj, która wielce zadziwia w epoce danéj, a która w innéj już na nic się nie przyda. Wiém dobrze że Bakon więcéj zgłębił nauki dokładne, niż Szekspir. Ale to pewna, że pisma Bakona dziś niczego nienauczą — wchodzą do historji nauki, ale nie do saméj nauki; zaś nauka Szekspira zawsze będzie nauczającą. Nazwiska mędrców zeszłych wieków są nieśmiertelne; ale oprócz ludzi rzemiosła, kto dziś czyta ich pisma? Twory zaś wielkich poetów są dziś tak świeże, jak w chwili ich pojawu.

* Z umysłu dodaję ten wyraz wyłącznie. Poezja nie jest w formach, ale w rzeczy. Miary i rymy bynajmniéj nie przekształcają prozy w poezję. Powieściopisarz, dramatyk, historyk musi koniecznie być poetą; inaczéj przejdzie nie postrzeżony.

niéma środka który by mógł pogodzić głupstwo z rozumem. Bo głupstwo żeby się do tego dało skłonić, tym samym przestało by być głupstwem. Rozumny mąż gniewać się niemoże na głupca, który na niego miota obelgi; bo mu wiadomo, że ten dopełnia praw swojéj natury, jak on sam temi obelgami gardząc.

Ów autor nie tai swojego wstrętu od arystokracji, uważanéj jako zasada bytu politycznego jakiéjkolwiek społeczności politycznéj. Taka jest jego opinja, i któż może mieć cóś przeciwko temu? Wszakże skoro takową ogłasza, godziło by się ją bronić, uzbroiwszy siebie wiadomością rzeczy. Ale cóż on robi, oto odwołuje się do pamiątek Saint-Simona, Tallemand de Reaux, i jakichś innych których niewymienia, w tém że Ludwik XIV panując w okresie najsilniejszego ducha arystokracii, tak mało zdatności do rządu upatrywał w możnowładzcach francuzkich, że plebejuszom był zmuszony go powierzać.

Któż zaprzeczy, że autor przeczytał te książki o których wspomina i jeszcze wiele innych! Ale to pewna, że gdyby przed ich czytaniem był siebie opatrzył jakąś nauką prawa politycznego, niebył by tak grubéj pomyłki popełnił, mieszaniem dwóch rzeczy zupełnie odrębnych, jakiemi są rząd i administracya.

Żywioł rządowy może być jednowładztwem jak w Danji, możnowładztwem jak był w Wenecji, gmino-

władztwem jak w Stanach zjednoczonych Ameryki. I te kategorye polityczne, mogą się między sobą kombinować do nieskończoności. W dawnéj Francji rząd udzielności (souveraineté), bezpośrednio zostawał w rękach Króla, pośrednio w rękach dworu, marszałków państwa, wielkorządców prowincji. A to wszystko tak dalece należało do kasty uprzywilejowanéj, że niebyło przykładu, żeby nawet dowódzca półku nie był szlachcicem miecza. Żeby być oficerem na okręcie liniowym, trzeba było dowieść przynajmniéj szesnaście herbów. Co się tyczy administracii, ta ani była piastowaną od możnowładztwa francuzkiego, ani nią być może tam, gdzie arystokratyczny duch przeważa w stowarzyszeniu. Bo kastowe opinje, czy jeżeli zechcą przesądy, zawsze będą wzbraniać wyższéj arystokracji przystępu do wszelkich wydziałów sądownictwa, skarbu i policji. Nic innego dla niéj nie pozostaje tylko kościoł, dwór, wojsko i poselstwa do dworów zagranicznych, a tylko w tych rzeczywiście przedstawiał się rząd dawnéj Francji.

Wielkorządcy prowincji francuzkich, tém właśnie się różnili od wielkorządców państw nie tyle arystokratycznych, że najmniejszego wpływu nie mieli do ich administracji. Wielkorządztwa hojnie uposażone, były beneficya rycerskie, rodzajem starostw, środek dany potomkom historycznych rodów dla zastąpienia majątku nadwyrężonego w usługach królewskich. W Anglji jest mnóstwo podobnych sinekur. Wielkorzą-

dzca prowincji francuzkiéj, w niéj przedstawiał Krola na wszystkich uroczystościach, był dowódzcą ad honores wojsk konstytujących w prowincji lub przez nią przechodzących, i nic więcéj. Autor mówi, że ci wielkorządcy na to tylko pokazywali się w swoich prowincyach, żeby je obdzierać. Tego zapewne nie wyczytał ani w Saint-Simonie, ani w Tallemand de Réaux. Sam się tego domyślił, ale bezzasadnie; bo nawet zostawiwszy na stronie uczucia honoru, którego zgwałcenie nikt nieodważył się zarzucać szlachcie francuzkiéj przedrewolucyjnéj, nie pojmuję jak by je mógł obedrzeć ten, który do ich administracji nie wpływał. Ta była w rękach intendentów od nich niezawisłych, mężów z rodzin parlamentarskich. Autor zapewne przez roztargnienie tak dalece poniża rod tych mężów, którym Ludwik XIV z pełną ufnością powierzał rozmaite wydziały administracji państwa, jako Colbert, Louvois, Chamillard, Lamoignon. Zapewne że oni nienależeli do wysokiéj mieczowéj arystokracji francuzkiéj, wszakże ich plebejuszami nie godzi się nazywać.

Otóż to dowód tego lenistwa. Dla czegoż chcąc pisać dla oświecania bliźnich, nie przygotować się wprzódy, nie samym czytaniem które do niczego nie doprowadzi tylko do zabijania czasu, ale rozważaniem tego co się czyta i ćwiczeniem siebie w naukę, bez któréj z tego czytania żadna gruntowna wiadomość się niewyczerpie. Pracować się niechce, bo praca tako-

wego rodzaju, ukrywa się długo przed ludźmi, a tu łaknie się odgłosem, chociażby tylko dziennym. Pisać więc i ogłaszać pisma, niémi potrącać o najważniejsze nauki, które tylko powierzchownie są świadome, a spuszczając się na zwinność pióra, rzucać plewy swoim ziomkom, jakby oni niezasługiwali na godniejszy pokarm!

AWANTURNICY-SZLACHECTWO.

Dziś już niema prawdziwych awanturników, bo ci którym to nazwisko narzucają, tylko poziomszych części dawnego awanturnictwa się chwytają, nie umiejąc się podnieść do tego co tamtych zawód poniekąd poetyzowało. Bo w rzeczy saméj, cóż oznacza dziś awanturnika? jaka jest jego epopeja? jakie w niéj epizody? Żyje wprawdzie cudzym kosztem jak tamten: oto jest akcya; ale jakaż różnica w ustępach! Dzisiejsze awanturnictwo kończy się na jakiéjś plotce w domu obywatela rzuconéj, na ograniu jakiegoś młokosa, lub przedaniu mu symilorowego łańcuszka za złoty; co najwięcéj na jakiéjś burdzie karczemnéj, która niczyjego zdrowia nie naraża, albo na jakimś akcydensiku wydrwionym przez assystowanie komuś na kondescencyi honorowéj, albo zaprowadzenie jego jako sekundant na plac boju, żeby się na nim pocałował z tym z którym się publicznie pobił. Na-

wet cele teraźniejszych niby awanturników, są nadto nędzne, żeby z łatwością nie mogły być dopięte. Bo cała wyniosłość ich żądz na tém poprzestaje, żeby się oddać ulubionemu próżniactwu, a jednak żadnego funduszu nie posiadając, żyć wygodnie od dnia do dnia.

Było cóś tytanicznego w téj niespokojności dawnych awanturników. Byli to ludzie co niczego nie oczekiwali ani od ludzi, oni od żadnéj rzeczy podległéj jakiemuś wyrachowaniu, ale byt swój opierali jedynie na trafie, na ślepym losie. I zawsze byli przygotowani do wszelkiego z téj strony niebezpiecznego wypadku. Ich dzika odwaga, przy najzimniejszéj rozwadze, robiła z nich przeciwników strasznych, ale też stronników pożytecznych. Gdzie tylko był jakiś hałas czy polityczny, czy zwłaszcza wojenny, pewnie tam ich znaleść można było. Szczególnie rzemiosło rycerskie im smakowało, ale to tylko w czasie wojny, bo ich wrodzona niespokojność, robiła ich mało sposobnymi do utrzymania żołnierza w przyzwoitéj karności, w pokoju. Wodzowie, o ile umieli oceniać ich usługi na polu bitwy, o tyle mieli ich za nieznośnych, kiedy wyprawa się skończyła. I nie bez jakiejś słuszności, jeden doświadczony wódz naszych czasów powiedział, że „wojna psuje żołnierza“. W samé rzeczy wojna go sposobi do wojny, ale bynajmniéj nie do pokoju. Po wojnie skończonéj, jeżeli wojsko zostaje w tym-że samym stanie liczebnym, awanturni-

cze życie do którego żołnierz a zwłaszcza oficer nawykł, nie mało daje zatrudnienia jego dowódzcom.

Dziś prawdziwi awanturnicy, muszą się stać co raz rzadszém zjawiskiem, bo cecha tego wieku, jest zupełne zatarcie wszelkiéj indywidualności. Jest jakiś typ ogólny, dość poziomy, na który wszyscy się kształcą, a raczéj jest gotowa forma w któréj się wylewa ledwo że nie każdy człowiek naszego okresu. Z tąd w każdym narodzie, nie tylko w niższych warstwach społeczeństwa, bo to nigdy inaczéj być nie mogło, ale nawet w tych które stoją na przedscenie, jest dziwna tożsamość w jego członkach. Jeden drugiego małpuje i jest nawzajem od niego małpowany. Człowiek oryginalny jest fenixem w tym świecie kopii. I z tąd, jeżeli jakimś przypadkiem człowiek z umysłem oryginalnym pojawi się w wyższém towarzystwie, zaraz go zniewoli. Bo wyższe towarzystwo umié przynajmniéj oceniać to co mu niedostaje. Pospolicie w wieku teraźniejszym, ludzie są jak moneta bita pod jednym stęplem. Ich wartość zupełnie umówiona, opiera się na stopniu na którym traf ich umieścił, na bogactwach co je posiadają, zgoła na czémś obcém ich jestestwu, ale nie na jakimś przymiocie wewnętrznym, co by ich moralnie od innych odznaczał. Co do wyobrażeń, do usposobień, do ducha, pokazało by się: że między panem a jego kamerdynerem bardzo mała różnica, i ten brak indywidualności wszędzie się okazuje, a najszczególniéj

daje się spostrzegać w literaturze, owym odblasku życia społeczeńskiego. Nic rzadszego jak oryginalność w tym zawodzie. Kiedyś wieszcz litewski wyrzucał pisarzom klassycznym Warszawskim, że ich wiersze tokiem, składem, nawet wyrazami tak są do siebie podobne, iż zdawać się może że wszystkie są roboty téj saméj ręki. Czyż tego powiedzieć nie można o wszystkich prozatorach, rozmaitych literatur naszego wieku, które dziś mniej więcéj wszystkie redukują się do romansopisarstwa i gazeciarstwa politycznego? Tego ostatniego rodzaju płody, tydzień po ich wyjściu z druku, nikt nie weźmie do ręki, a pierwszego byle jeden przeczytał, może powiedzieć że wszystkie przeczytał, bo one są ciągłém tylko powtarzaniem tych samych charakterów, tych samych zawiłości, tych samych wypadków, tych samych uderzeń teatralnych. I to nie może być inaczéj, bo żeby była oryginalność, trzebaby na to wyrazistości w indywiduach, a téj właśnie niema. Dawniéj człowiek był gospodarzem, albo prawnikiem, albo autorem, albo wojownikiem, albo pieczeniarzem, albo w reszcie głupcem do niczego. Dziś każdy jest po trosze tém wszystkiém razem. Niema sposobu natrafić na takiego, który by był sobą samym. Otoż to zatarcie indywidualizmu sprawuje, że jeden drugiego nudząc, wszyscy się nudzą. Dziś stosunki ludzi z ludźmi, są stosunkami potrzeby, interesu, bojaźni, ale już niema tych stosunków umysłowych czysto towarzyskich, które jedne-

podnaszają ukształcenie. Mówią o jakimś postępie intellektualnym ludzkości, i któż o nim mówi? Oto właśnie ci, których sam byt najgruntowniéj dowodzi że owszem cofamy się.

Ludzie nudzą siebie wzajemnie, i powszechna nudota jest cechą naszego wieku. Nic nie spotykamy tylko figury znudzone, ziewanie zastępuje rubaszny uśmiech naszych ojców. Gdzie znajdziem towarzystwo które by się bawić umiało? Już dzieci sęsaci, przestali swawolić*; młodzieńcy bez wyobraźni, nie oddają siebie miłém obłąkaniom serca, snadniéj im myśléć o losie narodów; starce milczą, odosobnieni od towarzystwa mającego wstręt widoczny od tych przedstawiaczów przeszłości, którą by rade wymazać z pamięci. Kobiety jedne wszędzie, ale zwłaszcza w plemionach słowiańskich, umiały się oprzeć temu kwasowi, który wszystkie żywioły towarzyskie rozkłada. Obcowanie z niemi zawsze przynosi urok wdzięku, ich wyższość moralna i umysłowa nad płcią grubą i

*W czasi emojego pobytu w Petersburgu, chłopiec trzynastoletni wyższego towarzystwa, któremu wszystko zdawało się uśmiechać, życie sobie odebrał. Był to chłopczyk bardzo oczytany na swój wiek i zawsze zamyślony. Nim sobie życie odebrał napisał list do ciotki swojéj, która nie mając dzieci, miłowała go jak by był jéj własnym. W tym liście było, że nie może znieść ciężaru życia, że jest niém znudzony, i ją żegna na zawsze. Proszę przypomnieć sobie że zaczynał rok czternasty!

zorstką, co raz się staje u nas widoczniejszą. I któż o tém wątpić może, że nie wodzom politycznym i wojennym, a tém mniéj uczonym i pisarzom, ale kobietom jest poruczone, rozpłomienienie gasnącéj pochodni naszéj cywilizacyi.

W teraźniejszém pokoleniu, kto tylko nie jest przykutym do mechanicznéj pracy, jest tak znudzony, że już zwykłe środki które rozweselały naszych ojców, jego nawet rozerwać nie są zdolne. Umysł w excytacyi nieustannéj, tém samém będąc w stanie chorowitym, nie ma dość tęgości dla oddania siebie temu rodzajowi pracy, bez któréj surowa nauka pochwycić się nie da; a więc jéj szuka jedynie w jakichś rozumkowaniach dowcipnych o naukach, którémi napełniają się pisma czasowe. Albo szukając pokarmu w tworach wyobraźni, domaga się nie już rozsądku i prawdy przynajmniéj względnéj, ale obrazów hałaśliwych, gwałtownych, niespodzianych, zbrodniczych, sprośnych, żeby niemi potrząść duszę osłabioną i skłonną do snu letargicznego. Ztąd, powieściopisarstwo gorączkowe, którego wzory wyrobiły się w społeczności europejskiéj najwięcéj zepsutéj i najwięcéj znudzonéj, zostało dziś ledwie że niewyłączną literaturą nadobną. Twory tego rodzaju, jeżeli uświetniają kunszt pożytkiem naukowym i moralnym, albo przechodzą niepostrzeżone, albo jeżeli, choćby tylko pod względem kunsztu, są nadto potężne żeby uwagi ku sobie niezwrócić, zostają przedmiotem cierpkich nagan i bezsumiennych

potwarzy. I cóż dziwnego, że żywioły literatury będąc tylko ujemnymi, ona wszędzie okazuje się w upadku*?

---

*Pozwolę sobie jedną uwagę. Wyrzucano i nie bez słuszności, szkolarstwo naszym zwolennikom klassycyzmu, związanym w towarzystwie znaném w narodzie pod firmą Przyjacioł Nauk. Jednak nie można im zaprzeczyć, że rozpowszechnili u nas smak do literatury nadobnéj, że uszlachetnili zawód autorski, który przed ich pojawem był uważany za dworszczyznę, albo za zabicie czasu oderwanego od usług publicznych. Że wiele zrobili i dla języka naszego i dla oświaty publicznéj. Nie zapominajmy że w chwili kiedy się zawiązało towarzystwo Przyjacioł Nauk, żadnego przedsiębierstwa księgarskiego nie było w naszéj społeczności, że już twory złotego wieku Żygmuntów, ginąć zaczynały w téj stagnacyi umysłowéj, tak dalece, że już były rzadkościami bibliograficznemi; że nawet pisma świeższych czasów Stanisławowskich, wychodziły z obiegu. Że dopiero jego członkowie, wzniecili potrzebę jakiegoś pokarmu umysłowego, w duszach zniechęconych klęskami powszechnemi, lub otrętwiałych życiem domatorskim i szukaniem korzyści materyalnych, — kolej zwykła społeczeństw które utraciły wszelką ważność polityczną. Że ich twory jakkolwiek naśladownicze, podbudziły jednak ruch umysłowy, który późniéj siebie wyraził zjawiskami genialnémi. Z resztą, ich tłumaczenia klassyków łacińskich i francuzkich, nadały językowi energicznemu ale mało giętkiemu, pewną podatność, któréj na próżno by szukać w literaturze Zygmuntowskiéj. Nie mamy prawa obwiniać ich o naśladownictwo, bo we wszystkich literaturach bez wy-

Ten obłąd widoczny w pisarstwie i w czytelnictwie nie mniéj się objawia i w życiu praktyczném. Ciż sami ludzie zużyci ukształceniem, znudzeni sobą, radzi by dla obudzenia siebie, przywołać jakieś nadzwyczajne wypadki; ale że nie mogą wyrobić w łonie swojém tych potężnych indywidualności, które jedne umieją do świetnego końca doprowadzić wypadki pobudzone od okoliczności woli ludzkiéj nie podwładnych, wszystkie te tak hałaśliwe założenia z których by się godziło oczekiwać czegoś ważnego, czegoś stanowczego dla ludzkości, kończą się, w krótce rozwiązaniem nikczemném, zasługującém na śmiech i pogardę tych co się nie wyrzekli rozsądku.

W saméj rzeczy, w żadnym okresie ludzkości, indywidualności wyraziste nie były tak rzadkie jak

---

jątku, nic rzadszego jak oryginalność: a nawet i to jest zadanie, czy oprócz wieszczów mogą być pisarze oryginalni w całéj rozciągłości tego wyrazu. Pokaże się, że nic może nie jest mniéj oryginalném jak ta filozoficzna niby literatura, która w naszym czasie pojawiła się w różnych społecznościach europejskich, a zwłaszcza w Niemczech, nie wyłączając jéj najsłynniejszych mistrzów. Naśladowanie może mieć wielką zaletę, jeżeli geniusz albo przynajmniéj dowcip, zdoła temu naśladowaniu nadać barwę oryginalności. Ale do tego są dwa warunki: trzeba umieć poznać właściwe wzory, i trzeba mieć geniuszu dostatecznie żeby z nich korzystać.

w niniejszym, i to we wszystkich zawodach bez wyjątku. Od zejścia Napoleona, czy widzimy wodzów wojennych, wykutych z podobnego kruszcu jak ci którzy rozrabiali historyę europejską swojémi czynami w czasach poprzedniczych? Czy widzimy mężów stanu, takich jak ci w których to rękach kiedyś bywały złożone przeznaczenia narodów? Gdzie się podzieli ci mężowie kolossalnéj nauki, którzy ją posuwali jeszcze kolosalniejszym geniuszem? A jednak ci co ich miejsce zastępują, pomimo mierności swojéj, zadość czynią potrzebom swoich społeczności, właśnie dla tego że stosunkiem moralnym są z niemi w zupełnéj harmonii.

Ten niedostatek wyrazistych mężów i czynów świetnych i szlachetnych, odbił się w literaturze społecznéj. Powieściopisarstwo zostać musiało epopeją naszego wieku. Z początku on domagał się powieści która by odtwarzała jego przeszłość, wystawując mu jego wielkich poprzedników na tém stanowisku o którém dziejopisarstwo milczy, a która go tak objaśnia, jakiéj mamy wzory doskonałe w Walter Skocie; albo głęboko-uczuciowéj, jak twory niebezpiecznego, wszakże zawsze wielkiego Bajrona. Dziś jest dostatecznym pokarmem umysłowym powieściopisarstwo, które jemu przedstawuje kał towarzyski, namiętności nikczemne ludzi pod żadnym względem nie mogących swoje imiona zapisać na kartach historyi, obyczaje gminne ostatnich klass społeczeństwa, do jakich wyższe się

zniżyły. Byle tylko autor umiał w nich mnożyć sztuczne, choć wcale nielogiczne afekta, może być pewny otrzymania jakiéjś wziętości, a wydawca pisma, że na swojém przedsiębierstwie nie straci. Daleki jestem od potępiania podobnych pisarzy, bo skoro pisarz umiał zadość uczynić potrzebom swojéj społeczności, już tém samém spełnił swoje powołanie: ubolewam tylko, że mi żyć przychodzi w epoce gdzie podobne płaskości mogą zajmować.

Powieść szlachetna, pomoc przynosząca dziejopisarstwu, prawdziwa epopeja obyczajowa narodu, w jego najdostojniejszych rozmiarach, musiała się wyrobić w Anglii, i tam tylko może być popularną; bo w niéj dotąd nieskazitelnie się zachowują nawet pierwiastkowe podania ojczyste. Tém więcéj, że cechy odznaczające nadgminnych mężów jeszcze się u niéj nie zatarły, że w niéj jedynie znakomite indywidualności moralne jeszcze się jawią, tak dalece, że niema wielkiéj figury utworzonéj przez Walter Skota, która by nie znalazła swoich pokrewnych w żyjącém towarzystwie.

W naszém, niepodobna żeby tego rodzaju powi[illegible] mogła być bardzo popłatną, bo z innymi narodami stałego lądu zniżyliśmy się nadto, żeby wielki charakter wystawiony od artysty, mógł za cóś innego uchodzić jak za fikcyę. Gdybyśmy mu przyznali prawdę, ona by nas za nadto upokarzała, a właśnie cecha mierności jest przeczenie tego wszystkiego do

czego dostąpić nie zdoła. Wszakże ona u nas pojawić by się mogła, bo kiedy inne społeczności stałego lądu zaledwo cóś zasłyszały o wiekach średnich, owym okresie wielkich mężów i wielkich czynów, my zbiegiem szczęśliwych okoliczności, o miedzę żyjemy od tych bohatérskich czasów. Kto u nas przeżył pół wieku, zapamiętać może ludzi feudalnych, w całéj rozciągłości tego wyrazu, a więc charaktery odcechowane potężnym indywidualizmem, a wielce korzystne dla poetów i powieściopisarzy. Trudno żeby pisarz który z tych jeszcze zapamiętanych wzorów snuje swoje pomysły, cieszył się wziętością w społeczeństwie, nienawidzącém to wszystko co przeciwko niemu świadectwo przynosi. Ale to pewno, że posiada pokarm najprzyjaźniejszy dla geniuszu. Można z wielką prawdziwością wystawić w powieści obyczajowość teraźniejszą, i w niéj nagromadzić najdrobniejsze szczegóły potocznego żywota: widzimy w naszéj literaturze nie jednego, który się chwycił téj drogi z niepospolitym talentem, i uzyskał wielką popularność; ale pod względem estetycznym cóż to jest w porównaniu z powieścią szerokich rozmiarów? Postawić obok Walter Skota nie tylko Aleksandra Dumas i Eugeniusza Sue, ale Jerzego Sand i Pawła Kock*, było by bluźnierstwem oburza-

* Romanse Aleksandra Dumas i Eugeniusza Sue nie mają nic prawdy, nawet względnéj: każdy jest zbiorem scen

jącém nie tylko naukę, ale prosty rozsądek. Kiedy Greuze na płótnie, pierwszy we Francyi zaczął wystawiać sceny życia gminnego, jego Zaręczona Wieśniaczka pobudziła powszechny entuzyazm Paryża i Wersalu, ile że pochlebstwo dla gminu zaczynało być w modzie, a pomysł i wykonanie tego utworu, są pełne niewypowiedzianego wdzięku. Ale ani jeden nie znalazł się entuzyasta, który by przypuścił jakieś porównanie między nim a tworami nie tylko mistrzów wielkiéj szkoły włoskiéj, ale nawet poprzedniczéj szkoły francuzkiéj *. Kierując siebie

---

sztucznych, których efekt jest wyrachowany. W tych wszystkich figurach, zamiast życia są poruszenia galwaniczne, i to nie może być inaczéj, bo ani jedna z nich nie jest oryginalną, wszystkie są przesadzone kopje typów już znanych w dawném romansopisarstwie, w melodramach, w Szekspirze, Walter-Skocie, i tak daléj. Są to reminiscencye obrobione z wielkim talentem i nic więcéj.

Jerzy Sand jakkolwiek wyraziciel i apostoł najohydniejszych doktryn, jest potężnym geniuszem. Wszystkie jego osoby są pełne życia, wszystkie u niego skutki nie wypływają z czegoś umówionego, ale z natury; u niego namiejętności są szkaradne, a przecie logiczne. Z resztą jego styl zawsze barwny i ognisty, często przypomina prozatorów francuzkich wielkiego wieku.

* Jedno bardzo błędne mniemanie naszego wieku, że mniejsza o wybór przedmiotu, byle tylko był dobrze wykonany. Piękność estetyczna więcéj się opiera na pomy-

pozorami, a nie patrząc na dno rzeczy, zdawało by się że w dawniejszych czasach, ludzie już urodzeniem mając sobie zabezpieczone i bogactwa, i błogość życia, i przodkowanie w społeczeństwie, powinni byli czuć wstręt od tego wszystkiego, co mogło by łatwo ich położenie narazić na smutną odmianę, a z niemałą trudnością w czémkolwiek ją ulepszyć. Tak by było, żeby duch kasty w wiekach przeszłych, był takim jakim jest duch narodu w czasie obecnym. Dziś, jeżeli kto dobrowolnie wychodzi ze zwykłego, że tak powiém, normalnego trybu życia, jeżeli naraża zdrowie i jestestwo swoje, to jedynie dla tego że jemu nie są w nim zabezpieczone wygody, bez których obejść się nie umié. Puszcza więc samego siebie na los : może zapewne zginąć, jak nie wyjeżdżając z domu mógł by być dotkniętym przypadkową chorobą, śmierciodajną; a jest podtrzymany tą myślą, że jeżeli wyjdzie na cało, azaliż nie wyniesie z niebezpieczeństwa cóś takiego, co zabezpieczy do śmierci wygodny kawał chleba. Dziś wojna między narodami jak ich nazywają ukształconymi, jest prawie niepodabna; nie tyle że szafunek skarbu jest w rękach ludzi którzy bardzo nie lubią sławy na którą trzeba wydatków, ile że z upadkiem arystokracyi, duch wojenny musiał koniecznie

---

śle, niż na jego obrobienia. Można się nauczyć obrobienia, ale sam pomysł jest natchnieniem.

zniknąć. Cecha dzisiejszéj cywilizacyi, że każdy co ma cóś do stracenia, nigdy dobrowolnie nie skłoni się do wojny. Z tego niewyłączam nawet ludzi rycerskiego rzemiosła. Jeszcze u niższych oficerów jest chętka do wojny, ale już między wyższymi ta ochota rzadko się okazuje, a jenerał który by żądał wojny, w narodzie ukształconym, był by prawdziwie dziwném zjawiskiem.

Gdyby wielkie fakta historyczne, były dedukcyą logiczną jakichś założeń przez racyonalizm położonych, a nie objawem mądrości Boga nieprzestannie opiekującego się rodem ludzkim, myślał bym że naczelnicy moralni i polityczni świata chrześciańskiego, ustanowili szlachectwo dla podtrzymania ducha wojowniczego w społoczeństwach zagrożonych napadem barbarzyńskich zwolenników Koranu. I że łatwość z jaką oni pochłonęli chrześciaństwo Wschodu, tę ich przezorność usprawiedliwiła. W saméj rzeczy, Wschód nie miał szlachectwa, a ruchome hierarchie które temu społeczeństwu przewodniczyły, ciągle wchodziły w jakieś kompromissa z Saracenami, i więcéj im sprzyjały, niż braciom swoim którzy z zachodu biegli na ich ratunek. Mieszkańce miast Syryi, w czasie wojen krzyżowych bardzo byli ukształceni, gdyż Carogrod był ogniskiem głównem cywilizacyi; wszakże umieli się pogodzić z barbarzyńcami, dla zachowania swoich domów i sklepów w całości. A obyczaje ukształconego mieszczaństwa, zawsze i wszędzie są jednakie. We Fran-

cyi mieszczaństwo włada narodem, a gdyby się ono doczekało inwazyi barbarzyńców podobnych do owych Saracenów, czyżby się wahało wchodzić z nimi w umowy, żeby ocalić swoje rękodzielnie i składy korzenne i bławatne, chociażby kosztem sławy, a nawet niepodległości narodowéj? Naród barbarzyński na wszystkie ofiary się zdobędzie, skoro mu okażą że jego religia i przekonania, które na równi z religią stawi, są zagrożone. Do tego nie podniosą się narody cywilizowane bo nie mają religii. A co się tyczy sławy, honoru, kasta dla nich da siebie wymordować aż do ostatniego, ale mieszczaństwo nigdy tego nie zrozumié: bo o tém nie ma wzmianki w księgach rachunkowych, ani żaden warsztat tém się nie poruszy.

W krajach zachodnich gdzie się była utworzyła szlachta, ta przewodnicząc narodami, ocaliła ich od jarzma muzułmańskiego, tém, że jéj byt będąc wyłącznie ożywiony duchem wojennym, ona nie znała roskoszy tylko w sławie. Boje zostały dla niéj miłém igrzyskiem, a śmierć straciwszy co tylko jest strasznego w jéj postaci, żadnego wrażenia nie sprawowała na rycerzu, który innéj troski nie znał, tylko żeby nowym zaszczytem, ozdobić swój klejnot herbowny. Szlachcic, że tak powiém, nie był w bycie rzeczywistym, żył całkowicie w przeszłości, w przyszłości, jednem słowem w ideach wyrobionych w jego kaście. Nic pewniejszego że był pełen przesądów, bo każda

opinja za którą gotów był życie łożyć, była ideą tradycyjną, ale nie racyonalną; i właśnie dla tego był gotów za nią oddać głowę, bo ta idea stawiła się przed nim jako obowiązek, a obowiązek może być czuty, ale nigdy wyrozumowany. I to czego najgłębsza polityka nie mogła by do skutku doprowadzić dla ocalenia Europy, przesąd szlachecki tego dokazał. Oto, że pokąd rycerstwo prowadziło z Saracenami wojnę odporną, nie wolno było jemu wchodzić z nimi w żadne pakta ani układy. Przywiązywano jakąś hańbę do tego, by wódz szlachcic, i pasowany rycerz, zawierał jakieś umowy, i tém poniekąd równość z sobą przyznawał Saracenom poganom, nie szlachetnie urodzonym, nie namaszczonym męztwem, przez obrząd pasowania. To prawo wiernie się dochowywało aż do wojen krzyżowych; dopiero w tedy zaczynały się kiedy niekiedy pokazywać jakieś układy*, między królami chrześciańskimi a sułtanami mahometańskimi, na-

* To prawo dochowało się aż do dni naszych w zakonie maltańskim. Kawaler wzięty w niewolę, nie mógł być wykupionym, i przestawał być członkiem zakonu. żaden okręt barbareski chociażby największy, nie odważył się walczyć z lada galerą maltańską, bo jeżeli ta ostatnia nie mogła uciec, za dotknięciem się jéj przez okręt nieprzyjacielski, kawalerowie prochownię zapalali, żeby wraz z nieprzyjacielem ginąć. Po kilku takowych przykładach, ile razy okręt bissurmański sygnalował okręt maltański, jednocześnie od niego i uciekał.

wet Saladyn był pasowany na rycerza przez Hugona z Tybergady. Ale już chrześciaństwo zachodnie działało zaczepnie, nie biło się o ogniska i ołtarze, ale o sławę i podboje. A kiedy klęski zaczęły się sypać na to chrześciaństwo, ono pokazało się wierne podaniom swojém. W chrześciaństwie wschodniém gdzie szlachectwo się nie było wyrobiło, wielu książąt udzielnych dla zachowania swoich posiadłości, zezwoliło na haracz i zależność padyszachom; ale honor niepozwalał szlachcicowi zostać wassalem nie chrześciańskiego mocarza. Książęta zachodni, spadkobierce podbojów ich przodków w Syryi i Palestynie, woleli utracić swoje udzielności.niż poddawać się pod obowiązki mogące plamić ich herby. Przesąd szlachecki pokazał się silniejszym od głosu wiary. Niektórzy biskupi nawet, zaparli się Ewangelii dla koranu: ostatni biskup Nazaretu, infułę zamienił na zawój; ani jednego nie było książęcia, ani barona, który by chciał pozostać przy swojém władztwie, pod warunkiem oddania siebie w lenność takiemu, któremu ani przyznawał prawa do szczęśliwéj wieczności na tamtém świecie, ani na tém przyznawał jego krwi jakiegoś stosunku równości ze swoją.

Kiedy przychodzi do walki z przeciwnikiem, do walki długiéj i statecznéj, środki oporu muszą być koniecznie zrównoważone ze środkami zaczepnymi, bez tego nie może być oporu. Jeżeli pomimo wygórowanego ukształcenia, chrześciaństwo wschodnie zostało

ujarzmione przez barbarzyńskich wyznawców Koranu to nie z innéj przyczyny, tylko że miało do czynienia z fanatyzmem do najwyższego stopnia posuniętym, a naprzeciwko niemu nie miało do postawienia, tylko uczucia i nałogi religijne, osłabione racyonalizmem teologicznym, jak dziś w chrześciaństwie zachodniém są osłabione racyonalizmem filozoficznym. Wszelki zaś racyonalizm, jakiekolwiek były by jego zasady, robi ludzi niesposobnymi do czynu. Gdyby Saraceni zetknąwszy się z zachodem, byli go zastali w tém stopniu ukształcenia na jakim się był pokazał barbarzyńcom północy, z równą łatwością jak tamtych byli by go w poddaństwo obrócili; bo narody wycieńczone ukształceniem tak dalece, że potrzebują usprawiedliwiać przed rozumem powody swoich poświęceń, a potępiają jako przesąd to wszystko co nie wytrzyma doświadczenia tego probierczego kamienia, niemogąc się podnieść sami do fanatyzmu, nigdy z nim nie dotrzymają walki*. Fanatyzm muzułmański wszystko

---

* Zabawnie rozumują stronnicy racyonalizmu, kiedy wystawują niezaprzeczone czyny protestantyzmu, na dowód że i racyonalizm może je przywołać. Ani Luter który ciągle sam sobie się sprzeciwiał, ani Kalwin który kazał żywcem spalić racyonalistę serweta, ani Purytanie angielscy nie byli racyonalistami. Pokąd protestantyzm odznaczał się czynami, był fanatyzmem nie więcéj logicznym niż wszystkie fanatyzmy inne. Późniéj dopiero został zu-

obalając w swoim biegu, został zmuszonym do odwrotu, skoro się zetknął ze społeczeństwem zachodniém, bez wątpienia ukształconém in potestate, bo premissa ukształcenia prawdziwego posiadał w prawdzie co ją od Boga otrzymał, ale in actu niemniéj barbarzyńskiego od Saracenów; gdyż ta cywilizacya pozorna ale zbutwiała co ją był w spadku dostał po Rzymie pogańskim, już była zdeptaną, zniszczoną, przez tych koczowniczych zwycięzców, którzy z niéj nic przyjąć nie chcieli, oprócz wiary chrześciańskiéj i stałych siedzib. Bo na przeciwko niego stanęły dwa fanatyzmy: chrześciański i szlachecki, pierwszy rozwinięty przez zwycięzców państwa Rzymskiego, drugi przez nich stworzony*. Ale w tém miejscu muszę wynurzyć jednę myśl moją, upraszając czytelnika by raczył nad nią się zastanowić.

Nie można przeczyć, że ten rodzaj cywilizacyi który pobudzeniem kunsztu, przemysłu, fenomenów nauki i literatury, ułagadza obyczaje i uprzyjemnia życie, jakkolwiek szacowny, ma jedną stronę wielce niebezpieczną dla ciał społeczeńskich, w tém, iż niszczy

---

pełnym racyonalizmem, ale odtąd przestał być sposobnym do czynów. Któż o tém nie wié, że pod koniec trzydziesto-letniéj wojny, co ją chcą mieć za wiek heroiczny protestantyzmu, on był w zupełnym upadku, i że trzeba było samolubnéj polityki Francyi katolickiéj, żeby go wydźwignąć.

odwagę, bez której ich całość może zostać bez straży. Nie mówię o téj odwadze wyrozumowanéj, którą sobie wmówić można, ale o téj ślepéj, która nie wątpi o zwycięztwie, któréj spoczynek jest nieznośny; a wszakże ona jedna sposobi narody do wielkich czynów.

Wszystkie narody, pokąd nie są zużyte cywilizacyą, mają cóś awanturniczego w swojéj organizacyi moralnéj. Z tego to żywiołu wydobyły się mitologye i historye bohaterskie narodów: przezeń poezya przeszła z hymnu do epopei. Od czasów kiedy historya jeszcze się nie była odłączyła od mythów narodowych, aż do chwili w któréj protestantyzm położył koniec wiekom średnim, wielkie wypadki i wielkie wyprawy dowodziły że ludy, a tém samém ich wodzowie, były awanturnicze. Wyprawy jeszcze zupełnie mitologiczne Argonautów i zdobywców Troi, osady Egipcyan, Fenicyan i Greków, po nadbrzeżach nieznanych założone; podboje Rzymu, żeglugi Kartagi, inwazye barbarzyńców Północy i Wschodu, utworzenie tylu państw przez Normandów, wojny krzyżowe, skórzane floty Zaporozkie, plądrujące okolice Carogradu; nakoniec hazardowne przedsiębierstwa Kolumba, Wasko de Gama, i tego mnóstwa awanturników co poszli ich śladem*

---

* Był to ostatni fenomen tego ducha awanturniczego, w szerokich rozmiarach. W krótce potém reformacya religij-

o tém nas przekonywają; a gdyby to wszystko mogło być zupełnie zatarte z pamięci ludzkiéj, o jakże poczya była by ubogą, jakże historya była by nędzną!

Ten duch awanturniczy który tworzył bohatérów, pokąd ich miejsca nie wzięli pigmejczyki racyonalizmu, bez wątpienia ocalił tę część świata, w któréj się Bogu podobało ścisnąć nauki i wiadomości ludzkie. On skojarzywszy się z duchem chrześciańskim to sprawił, że Europa nie jest bezludnym stepem, jak ta zachodnia Azya niegdyś tak kwitnąca, a gdzie co kroku napotykane upaście, świadectwo przynoszą, jéj przeszłéj wielkości. Ale jakim-że sposobem pogodzić ten duch awanturniczy, niezbędny dla zachowania narodów od napadów barbarzyństwa, z tą skłonnością do spoczynku materyalnego obok niespokojności umysłu, co go cywilizacya do pewnego stopnia rozwinięta, wznieca w narodach. Otóż właśnie szlachectwo ze wszystkiémi swojémi przesądami, ten problemat socyalny uskuteczniło.

---

na, otworzyła erę pigmejczykom. Jeszcze się pokazało w Europie kilku wielkich ludzi, ale już widocznie ona maleć zaczynała. Napoleon ów kolos wielkości geniuszu, był excepcyą w swoim czasie; w nim nie było nic nowożytnego, był większym od swojego czasu, i dla tego właśnie że z nim nie był w harmonii, musiał się nakoniec rozbić.

Przypomnijmy sobie że w czasie potęgi Kalifatu, industrzalizm tak silnie był rozwinięty w Europie, że miasta wzbogacone przemysłem, tyle przywilejów przez ofiary pieniężne od monarchów swoich otrzymały, że były ledwo że nie oddzielone społeczności od powszechnego ciała. Opasane murami, w czasie wojny o tyle tylko opierały się nieprzyjacielowi, o ile ich bezpieczeństwo pierwszowzględnie było zagrożone; a to co o podal od tych murów się dziać mogło, było dla nich ledwo że nie obojętne. W uczuciach mieszczańskich jest zawsze coś miejscowego : ztąd dążność miast kwitnących do niezawisłości, chyba że są stolicami, siedliskiem głównych władz, poczynając od najwyższéj; bo w tedy sam interes osobisty, przywiązuje ich do systematu który bogactwa rozsypane po całym narodzie, do ich łona przyciąga. W przemyśle zawsze jest jakiś żywioł podzielności. Ztąd we Włoszech ledwo że nie każde miasto, zostało odrębném ciałkiem politycznem; toż samo w Niemczech. Siedmnaście prowincyi zamożnych Belgii, jeżeli siebie nie zjednoliciły w potężną całość, to jedynie przez opór nieustanny ich miast przeciwko książętom Burgundyi, swoim władzcom. A że jeszcze słabo spojone z sobą części Francyi, nie rozdrobiły się w ciała od siebie niezawisłe, do dla tego, że nigdzie szlachectwo nie rozwinęło się moralnie do równego stopnia. Nie jeden unosi się nad pomysłem, który kiedyś związał miasta w konfedera-

cyę nazwaną anzeatycką, a jednak łatwo by dowieść, że ona była przedwstępem téj długiéj choroby państwa niemieckiego, pobudzonéj późniéj do stanu gwałtownego przez reformacyę religijną, miastom handlowym tak miłą; a która choroba za dni naszych śmierć zadawszy państwu niemieckiemu, dotąd trwa w obyczajach jednostek, które kiedyś składały to zbiorowe ciało. Miasta wzbogacone handlem i przemysłem, są siedliskiem egoizmu i jak najmniéj szlachetnych namiętności. Ich mieszkańce odznaczają się umiarkowaniem i rzetelnością, mogą się nawet odznaczać czystością obyczajów, przykładném życiem familijném, bo to wszystko nie tylko że się nie sprzeciwia korzyściom przemysłu, ale owszem wielce im sprzyja. Ale o to idzie, czy z ich obyczajów wywiązać się mogą szlachetne, wspaniałomyślne czyny? Czy ludzie wyłącznie oddani przemysłowi, wyjąwszy przemijające chwile jakichś gorączkowych paroksyzmów, są zdolni statecznie podnosić siebie aż do czynienia ofiar, dla idei odnoszących się w prost do korzyści pierwszowzględnych materyalnych?

---

* Nie mówię, żeby przemysłowy człowiek, już tém samém, nie mógł być wspaniałym i walecznym. To się może zdarzyć, ale zawsze będzie wyłącznością. Jeżeli okaże się takim, to nie dla tego że jest przemysłnikiem, ale po-

Mieszczanin nie jest pochopny do rzucania siebie w niebezpieczeństwo, nałogi odwracają go od rzemiosła rycerskiego. Czytamy w historyi, że miasta potężne handlem, zaczynając od Kartagi a kończąc na Wenecyi i Genui, że nie wspomnę o Antwerpii, Roszelli i miastach anzeatyckich, wojowały najemnym żołnierzem. I to nie może być inaczéj, bo niepodobieństwo żeby ludzie rachunkowi, jakimi są mieszczanie, mogli mieć smak do ustępów awanturniczych, gdyż rachunek usprawiedliwić nie zdoła dobrowolnego narażenia siebie na śmierć.

Gdyby więc w czasie tego wielkiego kataklizmu Saraceńskiego, Europa nie miała do obrony swojéj innego środka, tylko swoją ludność rolniczą, ale zostającą pod wpływem bezpośrednim miast zamożnych, opasanych wałami, a zaludnionych przemyślnikami bogatymi, cywilizowanymi, bez przesądów, bez religii hierarchicznie uporządkowanéj, a do któréj by się wiązały wszystkie nałogi, wszystkie przekonania: śmiem zapytać, czy ten racyonalizm oparty na naukach ludzkich, a który wydobywa się z cywinizacyi

---

mimo tego. Szlachcic przeciwnie jest walecznym i wspaniałym, bo szlachcic. Jeżeli pokaże siebie tchórzem, każdy powié sprawiedliwie: „szlachcic a jednak tchórz, podły!“ Tego o mieszczaninie nikt nie powié.

drzy schyłku żywotności narodowéj, ma w sobie jakąś siłę zachowawczą? Zdaje się że niepotrzeba nadzwyczajnéj nauki historyi, dla powzięcia przekonania, że przy téj niedołężnéj obronie, świat Europejski tak by runął pod pociskiem Saracenów, jak kilka wieków wprzódy runął świat Rzymski pod pociskiem barbarzyńców koczujących; jak by runął świat dzisiejszy, gdyby nowi barbarzyńcy, lekceważąc jego ukształcenie, kunszta i nauki, szczerze pomyślili między sobą jego rozszarpać*.

---

* Ci co myślą że wyższość naszego ukształcenia, zabezpiecza nas od barbarzyństwa, chyba zapomnieli historyę. Wszakże świat Rzymski był bardzo ukształcony, miał do swojéj obrony massy ludzi uszykowanych wedle wszelkich prawideł sztuki wojennéj, lepiéj nierównie uzbrojonych niż jego nachodźcy, miał w balistach i katapultach narzędzia którémi się posługiwał, jak dziś artyleryą, bo i one gromiły o podał nieprzyjaciela, nie dopuszczając mu do siebie przystępu. Miał w księgach Polibiusza, Cezara i Frontyna nauki strategiczne, jak dziś je mamy w pismach Lojda i Żominiego. Miał warownie wzniesione wedle wszelkich prawideł architektury wojennéj, w nich arsenały, magazyny, i jak dziś urzędników dla zachowania najściślejszéj rachunkowości. Miał gościńce kamienne które nas jeszcze dziś zadziwiają, bo niektóre z nich dotąd dotrwały. Miał komory, cła, systemat podatkowania któremu nasi finansiści nic nie dodali; rękodzielnie, prze-

Nie powiém że szczęśliwym wypadkiem, ale opiekuńczém rozrządzeniem Opatrzności, wyrobił się był w Europie tak strasznie zagrożonéj, stan odrębny, który jéj rozdzielone części na władztwa jednolicił w kierunku tych że samych podań, wyobrażeń i obowiązków. On jeden mógł ocalić Europę, i rzeczywiście ją ocalił. Stan szlachecki póki był gminem koczowniczym, był nachodźcem narodów, ale kiedy je ujarzmiwszy zdobył w ich łonie dla siebie stałe siedziby, zespoliwszy się z niémi węzłem religii, został ich doborem. Lubo zasady religijne wyznawał wspólne z gminem, o tyle w nim pogardzał krew zwyciężoną, o ile wynosił się z krwi zwycięzkiéj która w jego żyłach płynęła. Obok religii wszystkim stanom narodu wspólnéj, pod nazwiskiem honoru wyrobił dla siebie wyłącznie jakąś jeszcze drugą religję, któréj został niezmordowanym wyznawcą, a często męczennikiem. Pogardzał naukami, kunsztem, przemysłem,

---

wóz płodów i wyrobów po całym państwie ułatwiony; floty, teatra, modystki; nie było miasta bez kilku szkół publicznych. Posiadał pisarzów, publicystów, filozofów, krytyków, wierszopisów, tłumami. A kiedy przyszło do krwawych zapasów z ludźmi na wpół dzikimi, źle uzbrojenymi, wojującymi bez w yrozumowanego porządku, a liczebnie tak słabymi: nie tylko że od nich zwyciężonym został, ale przeszedł bez trudności w ich spadkowe władztwo.

nawet temi zabawami gdzie życie na żadne niebezpieczeństwo niebyło narażone*. Ale ta miłość niebezpieczeństw, ożywiona podaniami familijnémi, dając mu skłonność niczém nieprzeważoną do życia awanturniczego, ocaliła rzeczywiście starą Europę od Azyi

---

* Te wszystkie igrzyska sceniczne, tak miłe ludziom wycięczonym cywilizacyą, żadnego powabu nie miały dla naszych przodków. Turnieje były jedynym igrzyskiem któremu namiętnie się oddawali: bo nie umieli pojąć zabawy bez sławy. My się bijemy z powinności, dawniéj bili się ze smaku. Prawda że szlachcic nie umiał władać piórem, kijem od bilaru, ani by pojął kombinacji gier kartowych, ale dzielnie umiał używać tego oręża który nigdy jego boku nie opuszczał. Nie przeczę że nasi przodkowie często nadużywali swojéj odwagi, ale my nierównie więcéj złego dopuszczamy się naszém tchórzowstwem, tą chorobą naszego wieku. Tchórz może narazić się na niebezpieczeństwo, i nawet wybić się dobrze, a przez to nie przestaje być tchórzem. Odwaga musi być koniecznie moralną, inaczéj nie dotrwa, a téj nigdy tchórz nie nabędzie. Pokąd prawdziwa odwaga nie jest rzadką w społeczności, o niéj rozpaczać nie można. Bo z odwagą wszystkie cnoty się kojarzą. Tchórz jest zawsze niemoralny. Wiele lat żyję, a nigdy mi się niezdarzyło spotkać człowieka odważnego który by nie był w pożyciu potocznem, łagodnym i uczciwym, ani tchórza który by nie był okrutnym, podłym, a nawet gwałtownym, jeżeli ta gwałtowność jemu samemu niebezpieczeństwa nie nabawi.

odmłodzonéj Koranem, i wyrobiła wieki średnie, owy okres bohatérski naszéj cywilizacyi, po którego przejściu zaczeliśmy maleć, tak dalece, że ciągle się wynosząc z jakiegoś mniemanego postępu, widocznie dążymy do nicestwa. Tém naszém życiem, że tak powiém teoretyczném, bo obraném z wszelkiéj praktyczności, znikczemnieliśmy do tego stopnia, że jeżeli, o czém nie wątpię, Bóg cudem swojego miłosierdzia ocali świat ukształcony od śmierci do któréj dąży, nasi potomkowie odrodzeni słowem Bożém, z uwagą i wiarą słuchaném, a tém samém powróceni do przyrodzonéj wielkości chrześciańskiéj, tak nie będą wierzyć w to co do nich dojdzie o naszéj teraźniejszéj słabości, jak my z trudnością wierzymy to co nam piszą o nadzwyczajnych czynach naszych przodków. Któż albowiem zaprzeczy że dziś, z pomiędzy wszystkich uczuć, najrzadszém jest szacunek. Jeden drugiego miłuje, lęka się, nienawidzi, ale to wszystko nie jest szacunkiem. Dziś ludzie mogą żyć z sobą w najściślejszéj przyjaźni bez wzajemnego szacunku, dawniéj, nawet nienawiść osobista dawała się pogodzić z szacunkiem.

Jest to fakt historycznie udowodniony, że jakkolwiek każdy naród, w pierwiastkach swojego bytu, jest mniéj więcéj awanturniczym*, ten pociąg w nim nie

* Są rzeczy niektóre, co ich historya dokładnie, nie zawsze rozświeci. Ale historya mytyczna narodów wybra-

dotrwa skoro tylko dostąpi do pewnego stopnia ukształcenia. Im ten stopień będzie wyższym, tém więcéj będzie dążył do spoczynku, a tém mniéj będzie pochopnym do wszelkiego przedsiębierstwa którego skutki, z pewnością wyrachować się nie dadzą. To zastosowanie nauk do wygód życia materyalnego, to rozwinięcie się przemysłu i handlu, tworząc byt co my go nazywamy cywilizowanym i postępowym, rzeczywiście do zniewieściałości przyprowadza narody: nie tylko użyciem téj błogości, która tylko małéj jego części może być udziałem, ale jéj łaknieniem, chociażby zawsze bezskuteczném. A w takiém położeniu rzeczy, duch narodu musi przestać być wojennym i awanturniczym, a sam jego byt musi być puszczonym na losy*. Duch kasty owszem, może się

---

nych, bo tylko one mają takową historyę, bardzo jaśnie okazuje nie tylko ich przeszłość, ale ich przeznaczenie w przyszłości.

*Duch awanturniczy a wojenny, są jednym i tym samym duchem. Ta część Europy stałego lądu którą szczególnie nazywamy cywilizowaną, zupełnie tego ducha utraciła, ale i z nim razem potrzebę sławy i wielkości narodowéj. Temu który w tych ostatnich czasach nie podróżował po tamtych strefach, trudno by było uwierzyć, jak tam ludy już są spoufalone z tą myślą, że mogą utracić swoją niezawisłość. To musi koniecznie nastąpić w przy-

zachować nieskazitelnie: a podania którémi się wyrobił, są zdolne z obojętnić rozkładającą czynność tego pierwiastku ujemnego, który istnieje w każdém społeczeństwie, a który jeżeli przez jego niebaczność, przestąpi właściwe granice, żadnéj jego instytucyi nie wyłącza z powszechnego wywołania. Kasta jest moralną budową, nieporuszoną, nieśmiertną, i zawsze młodą; jest nieporuszoną na wszelkie pociski, jak skała na fale morskie rozbijające się u jéj stóp, ale to pod warunkiem że członkowie którymi ta kasta objawia się zewnątrz, nie zaprą się jéj ducha życiodawczego, że ani krokiem nie odstąpią od zasad, przekonań, przesądów swoich przodków. Bo tu najmniejsze ustępstwo jest zgubne. Są instytucye które nie mają powodu lękania się ani śmierci przyrodzonéj, ani gwałtownéj, a tylko samobójstwem skończyć mogą. Takiém było szlachectwo, i rzeczywiście jeżeli gdzie bytować przestało, to jedynie dla tego że swojemi własnemi rękami siebie zamordowało.

Nie mówię żeby ciało społeczeńskie nie mogło się obejść bez kasty szlacheckiéj, bo widzę wielkie stowarzyszenia polityczne które tego dają przykład. Ale utrzymuję to o czém jestem przekonany, że bez ducha

---

szłości, gdyż przeczucia wielkich stowarzyszeń są nieomylne, a sami zwycięzcy zadziwią się nad łatwością z jaką to da się wykonać.

wojowniczego, awanturniczego, żaden naród niewytrzyma napadu silnego nieprzyjaciela, a takowy duch nie może istnieć w stanie teraźniejszego ukształcenia, tylko w kaście*. Ale ta kasta, wyrób czasu i właściwych okoliczności, dowolnie utworzyć się nie daje. Narody które podobną otrzymawszy, tak są szczęśliwe iż ją zachowały w nieskazitelności, jakkolwiek postą-

---

*Demokracya z natury swojéj zawsze bezsilna nigdy niczego nie umiała dokazać w zawodzie politycznym i wojennym. Zawsze była dzieckiem krnąbrném, wrzaskliwém, łamiącém swoje cacka, drapiącém i kąsającém swoje piastunki, a które nigdy nie dożyło, nawet do lat młodzieńczych otroka. Wszystkie owszem wielkie i stanowcze wypadki ludzkości, uskuteczniły się albo przez arystokracyę, albo przez jedynowładztwo niczém nie oszrankowane. Tak dalece, że jeżeli z pierwszego rzutu oka, gminowładztwo okazało się gdzieś czynne historycznie, dobrze się w wypadki wpatrzywszy, pokaże się, że wtedy ono było narzędziem tylko jedynowładztwa, lub możnowładztwa maskowanego. Przytaczać lubią przykład Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdzie jakoby demokracya kiedyś zrzuciła z siebie władztwo Angielskie, a świeżo zdobyła kilka prowincyi na Mexykanach. Pierwszy przykład nie jest żadnym za nią dowodem. Gdyby królowie Francyi i Hiszpanii niebyli działali wspólnie przeciwko Anglii, z jéj zbuntowanemi osadami, te nigdy by nie zdobyły dla siebie niepodległości; a co do ostatniéj wyprawy, demokracya amerykańska zwyciężyła inną demokracyę anarchiczną i demagogiczną.

piły w dzisiejszém zniewieściałém ukształceniu, nie mają powodu lękania się o swoją niepodległość, bo mają żywotny żywioł wojowniczy, który w swoim wirze, może porwać wszystek lud, stanąwszy na jego czele. Inne sromotnie upadną w tych zapasach, które rychło nastąpić muszą w tym widocznie kończącym się cyklu naszéj cywilizacyi, ażeby ją odnowić ale pod innémi warunkami, jako mieliśmy tego już przykłady kilkakrotne.

Jeżeli tylko szlachectwo może utrzymać duch wojowniczy w narodzie, to tylko pod warunkiem że będzie prawdziwém szlachectwem. Szlachcic albowiem który bez zgorszenia powszechności członków swojéj kasty, wybiera sobie inny zawód niż wojenny, rolniczy i prawny, który się bawi lichwą, kupiectwem, rzemieślnictwem, nie tylko że rzeczywiście przestał być szlachcicem, ale nawet dowodzi że szlachectwo już nie istnieje w jego narodzie, kiedy jego ideje tak dalece dały się przekształcić. A sam nie będzie nawet plebejuszem, bo ten jest istotą postępową, i może jeszcze podnieść się do szlachectwa, pod czas kiedy on jest istotą strąconą, która co raz głębiéj upadać może, ale już jest niezdolną podnieść się w żadnym względzie.

Wiém że to co mówię wielu czytelnikom nie będzie do smaku, ale w tém niema mojéj winy: nie stworzyłem historyę wedle mojego upodobania, ale znajduję ją gotową, i w niéj się wpatruję. Jeżeli z

mojéj strony, zaprzeczenie ducha wojowniczego narodom, które nie miały, albo zaprzepaściły w sobie kastę poświęconą rycerstwu, ma obrażać tych liberalniejszych myślicieli, co wierzą że wszyscy do wszystkiego są zdatni, niech że oni postawią przynajmniéj jeden przykład podobnego narodu, który by rzucił się w pobojowisko dla ratowania innych narodów, chociażby największe sympatie wiązały go do ich sprawy. A jednak ledwo że nie każda karta historyi, okazuje nam podobne poświęcenia narodów monarchicznych i arystokratycznych.

Co się zaś tyczy poświęceń indywidualnych, nieprzynoszących pod żadnym względem korzyści materyalnych, jeszcze mniéj ich można oczekiwać od społeczeństw gdzie każdy każdemu jest równy urodzeniem, a tém samém gdzie niema w krwi narodowéj stopniowań hierarchicznych. Bywają tam bez wątpienia przykłady, że jakiś zbieg plebejusz przenajmuje swoje usługi, a nawet swoją krew, innéj społeczności, chociażby dla jego własnéj nieprzyjaźnéj. Wszakże aż do dni naszych, w jednym narodzie który stanu szlacheckiego nie posiadał, każdy rząd obcy, za gotowe pieniądze do woli dostawał żołnierzy, którzy z niepospolitą wiernością jemu służyli. Premysłowa uczciwość rozciągała się w nich aż do krwi, bo i ona była także towarem, na który taxa była urzędownie przyznana. Ale chciałbym widzieć plebejusza, opuszczającego rękodzielnie której jest właścicielem, lub

kantorę gdzie każdy cudzy pieniądz przez niego liczony, jakiś obłamek jemu zostawuje, w reszcie sklep, pewny zarobek jemu przynoszący, żeby w dalekich stronach walczyć dla sławy, dla jakiejś opinii złéj czy dobréj, ale z wiarą poślubionéj.

W stanie szlacheckim, od którego nie odłączam i krwi Królów, podobne poświęcenia nigdy nie były rzadkie, a im duch szlachectwa był silniejszym, tém one były pospolitszémi. Wybiorę na przykład tę społeczność gdzie opinie szlacheckie najszczytniéj były rozwinięte, a która właśnie dla tego moralnie przewodniczyła w ukształconym świecie. Nie będę się cofał do zbyt oddalonych czasów: sięgnę do epoki nieszczęśliwego wynalazku prochu i druku, który posłużył do obalenia najdoskonalszego porządku jakiego ród europejski był się doczekał, i zamknę rewolucyą francuzką dotąd trwającą, a która przewróciła wszystkie opinie zachowawcze. Ten cykl zawiera w sobie trzysta kilkadziesiąt lat. Od tego Jana bez Bojaźni, dziedzica obu Burgundyi i siedmnastu prowincyi Niederlandu, a który to wszystko porzucił, żeby pod Nikopolis walczyć przeciwko Turków w obronie cesarzów Bizantyńskich, aż do księcia Riszelje, margrabi Lanżerona i hrabiego Diumas, którzy opuścili roskosze Wersalu, żeby wawrzyny zbierać pod Oczakowem, czy była jedna wojna obca Francyi, gdzieby jakiś zacny Francuz, z krwi wysokiéj, nie pokazał się jako ochotnik, jedynie żeby nowym zasz-

czytem uświetnić i sławę swojego narodu, i własny klejnot herbowny.

Ten żywioł awanturniczy, bez którego nie może być bohatéra, długo trwał w szlachectwie; nawet na stałém lądzie przeżył ważność polityczną, która jemu wszędzie odjętą została. Już ten typ szlachetnego awanturnika, prawie do szczętu zniszczonym został*. Ale możemy go odtworzyć w sztuce, tém więcéj że wielu z nas na podobne patrzało. Nawet oni w naszéj społeczności dłużéj dotrwali niż gdzie

---

* Takim typem był książe de Nassau którego widziałem będąc dzieckiem, i doskonale pamiętam. Był to ideł odwagi, grzeczności, dowcipu i uczciwości rycerskiéj. Łaknąc sławy, nieczynność była dla niego udręczeniem. Ten osobliwszy człowiek był razem księciem panującym w Rzeszy, grandem Hiszpańskim, szlachcicem Polskim, admirałem Rossyjskim, dworakiem Wersalskim, jenerał-porucznikiem Francuzkim i właścicielem dwóch półków jazdy w tém ostatniém wojsku. Dowodził w oblężeniu Gibraltaru wojskom francuzkim i hiszpańskim. Na czele floty rossyjskiéj zwycięstwo odniósł na Turkach pod Limanem. Był kawalerem Złotego Runa, Świętego Ducha, Świętego Jędrzeja, Orła Białego, Świętego Januarego: a każdy ten zaszczyt otrzymał jakimś czynem bohatérskim. Jego liczne pojedynki, hojność w wydatkach, podróż około kuli ziemskiéj, jego miłości z królową Otahiti, polowanie gdzie w przytomności szacha perskiego, zabił tygrysa, który się był rzucił na niego, jego serdeczne obłąkania :

indziéj, gdyż zbiegiem okoliczności dziwnie przyjaźnych dla poety, jesteśmy miedzą zaledwo przedzieleni od wieków średnich. Ja sam znałem figury zupełnie feodalne, które u nas nikogo nie raziły, a w innych społeczeństwach były by anomalią. A o innych, jeszcze więcéj wyrazistych, słyszałem opisy naocznych świadków. Książe Radziwiłł-panie-kochanku był z tego rodzaju ludzi, kiedy kolosalna fortuna, pierwsze w swoim kraju dostojeństwa i przewodnictwo całkowitéj szlachty litewskiéj, przeważyć w nim nie mogły skłonności do życia awanturniczego. I nie mało było figur jemu pokrewnych, które dawną naszą społeczność przeżyły.

W pierwszéj mojéj młodości zasłyszałem od starców o niejakim Wolskim, fanatyku religijnym, a wielce odważnym i przedsiebierczym człowieku. On często się pokazywał na dworze Augusta III, zawsze w ubiorze pielgrzymskim, ale wyrafinowanym, bo nosił opończe z czarnego aksamitu, a na kołnierzu duże srebrne kąchy, i zawsze miał przy boku szablę, niebezpieczną dla każdego który chciał z niego żar-

---

wszystko to posłużyć by mogło poecie na ustępy rycerskiéj epopei, w rodzaju Ariosta. Książe de Nassau dni swoje zakończył w Tynnie blisko Kamieńca, roku 1809. Nie tak to dawno. Sąsiedzi i poddani zachowują ze czcią jego pamięć.

tować, bo był opryskliwym i zuchwałym. Żył z pensyi dożywotniéj, co ją był otrzymał od Królewéj Maryi Józefy, nadzwyczajnie nawet w owym czasie poéjożnéj pani, a protebjącgu wszystkich co się odznaczali gorliwością religijną. Wolski ojcowiznę dość znaczną stracił na pielgrzymkach, uczcił grób Pański w Jerozolimie, relikwie Świętego Jakóba w Kompostyli, kilkakrotnie był w Lorecie i w Rzymie, i dwa razy nawiedził Tunis dla wykupu jeńców chrześcian. W téj ostatniéj podróży powziął myśl szczególną, podbić Tunis, i tém oswobodzić chrześcian od łotrowstwa morskiego. Powróciwszy do Polski, w niéj zaczął zbierać po panach i możnéj szlachcie składki, i werbować awanturników. Z nimi się udał do Ankony, gdzie kupił fregatę, i na czele kilkuset ludzi, zawinął nie daleko Tunis. Udało mu się pobić Tunetanów, którzy cofnęli się do swojéj stolicy. Wolski nie mając wyobrażenia jak twierdze oblegać, ani nawet ku temu środków, odważył się na czele swoich, szturm przypuścić do miasta warownego. Naturalnie z niemałą stratą cofnąć się musiał do swojéj fregaty, na któréj ledwo udało mu się odpłynąć. Około półtora roku wojował na morzu z barbareskami. Nawet wylądował w tém miejscu, gdzie Tunetanie i nawet obcy zajmują się połowem koralu. Tam słabą straż wymordował, w pień wyciął i niewiernych i Europejczyków którzy się tam znajdowali, i wszystek koral zabrał. Później ścigany od

barbaresków, skrył się w porcie hiszpańskim, ale na rekwizycyę regencyi Algierskiéj z którą Hiszpania była związana traktatem, rząd hiszpański skonfiskował mu fregatę z jéj ładunkiem, a Wolski powrócił do Polski. W niéj usiłował dowieść panom, że byle tylko mógł mieć z czego utrzymać przez jeden rok cztéry tysiące ludzi, jakich on zwerbuje, niezawodnie utworzy potężne państwo na brzegach Afryki, zaręczając że i Tunis i Algier zdobędzie. Ale wiary u nich nie znalazł, i umarł w Warszawie, marząc ciągle projekta polityczno-religijne i odnowienie krucyat.

Cóż powiedzieć o Michale Dzierżanowskim, którego dotąd pamiętają w Wiedniu. Syn majętnego obywatela z okolic Zamościa, gdzie posiadał wieś dziedziczną nazwaną Sułowiec, wszystko to opuścił dla awanturniczego życia. Wstąpił w służbę Kompanii Francuzko-Indyjskiéj, gdzie wojując pod rozkazami jenerała Lally, dosłużył się rangi podpułkownika i krzyża Świętego Ludwika. Późniéj pokłóciwszy się z swoim wodzem, opuścił służbę, i został korsarzem. Postrach kupiectwa angielskiego w Indyach, przez swoje napady i okrucieństwa, doczekał się że cenę położono na jego głowę. Czas jakiś mu się powodziło, i przyszło do tego, że mógł rozrządzać milionami, ale nakoniec noga mu się powinęła: ścigany od przemagającéj siły Angielskiéj, niedaleko brzegów Madagaskaru, po mężnym oporze, widząc

że trzeba się poddać, a nie życząc sobie wisieć, zapalił swój okręt ze wszystkimi skarbami które w nim był nagromadził; i z swoimi towarzyszami, rzucił się w morze. Udało mu się z kilkunastu towarzyszami dostać do brzegu. Wyśpiarze nagromadzeni na widok płonącego okrętu, ludzie w pół dzicy i krwawi, przyjęli ich jednak z ludzkością, dając im przytułek u siebie. Wyspa Madagaskaru była podzieloną między kilkunastu pokoleniami z sobą ciągle wojującémi, dla zabierania jedno drugiemu niewolników, które sprzedawane zostawały kupcom Europejskim prowadzącym handel niewolników, między Afryką a wyspami Antylskiemi. Właśnie to pokolenie wybierało się na wojnę z pokoleniem sąsiednim. Dzierżanowski ze swoimi poszedł na tę wyprawę, i zaraz dał swojéj stronie przewagę wyższości europejskiéj. Zwyciężone pokolenie w poddaństwo zostało obrócone, a zwycięzkie ogłosiło Dzierżanowskiego swoim królem. Nowy król opatrzywszy się podostatkiem bronią, w zamian za niewolników, od Holendrów przylądka Dobréj Nadziei, kupczących murzynami: zaczął szykować wojsko swoje na wzór europejski, dając im na wodzów i naczelników tych kilkunastu Europejczyków co z nim razem wypłynęli na brzeg Madagaskaru, i znaczną część téj ogromnéj wyspy podbił pod swoje władztwo. Przyszło do tego, że utworzył nawet artyleryę z dwóch dział złożoną, co mu taką wyższość zabezpieczyło, że powziął myśl połączenia wszystkich

pokoleń téj wyspy w jedno państwo. Założywszy stolicę blisko nadbrzeża, gdzie natura sama utworzyła była ostoję dość wygodną, w przywilejach jakie nadawał Holendrom handlującym z jego nowo założoném państwem, brał tytuł: „Michał, z Bożéj łaski Król Madagaskaru;“ czém dość wyraźnie zapowiadał wyniosłość swoich planów.

Trzeba wiedzieć że poddani francuzcy wysp nazwanych Isle-de-France i Isle-Bourbon, nie daleko Madagaskaru położonych, byli założyli osadę w północno-wschodniéj części téj wyspy, i wystawili obwarowane miasteczko pod nazwiskiem Fort Delfina, bytujące po dziś dzień. Francuzi trzymali w niém załogę, złożoną ze stu żołnierzy Europejskich, czém łatwo pokolenia sąsiednie uczynili sobie hołdujące. Postępy Dzierżanowskiego tak ich zatrwożyły, że wielkorządca wyspy Isle-de-France, wyprawił do niego poselstwo z oświadczeniem: że wyspa Madagaskar jest pod zwierzchnością Króla Francuzkiego, że tytuł jaki przybrał jest ubliżeniem praw jego Króla, nie mniéj jak te jego napaście na ludy hołdujące Francyi; a więc jeżeli przestanie używać przywłaszczonego tytułu, i Królowi Francuzkiemu wykona przysięgę wierności, otrzyma potwierdzenie zarządu téj części wyspy, którą ma już w swojém władaniu, ale żeby odtąd bez jego pozwolenia nie ważył się wojować zaczepnie. Jeżeli zaś jego rozkazom zadość nie uczyni, postąpi z nim jako z buntownikiem. Dzierżano-

wski odpowiedział zuchwale, że będąc sam Królem, nie zależy tylko od Boga i od swojego miecza, że gotów zawrzeć z Królem Francuzkim sojusz, jako z równym jemu monarchą, ale że niczyim poddanym być nie myśli. Że królewstwo które orężem zdobył, nie ma nic za nadto wysokiego dla jego krwi, gdyż prawem urodzenia mógł by nawet zostać europejskim Królem, a więc że jest gotów broń bronią odpierać.

Nic nie mogło usprawiedliwić zuchwalstwa Dzierżanowskiego, gdyż Francya świeżo jakkolwiek haniebny pokój zawarłszy z Anglią, mogła rozrządzić na przeciw niemu, aż nadto przemagającą siłą. I w saméj rzeczy, wielko-rządca osad francuzkich wyprawił około tysiąca żołnierza i kilka dział polowych, do których zaraz się przyłączyły pokolenia Dzierżanowskiemu niechętne. Wszakże ten nie stracił odwagi. Dowiedziawszy się, że Francuzi wylądowali niedaleko jego stolicy, wszystkie jakie mógł zebrał siły, i wystąpił na przeciwko, a choć miał do dziesięciu tysięcy wyśpiarzy, oni nie mogli dotrzymać placu przewadze Europejskiéj. Pobitym został do szczętu, obydwie armaty stracił, i w największym nieporządku uciekł do swojéj stolicy.

Tyle mu w niéj pozostało czasu, że skonfiskował okręt kupiecki Holenderski, który dla handlu był rzucił kotwicę w jego porcie, i jego naładowawszy tém wszystkiém co mógł z sobą zabrać, na nim uciekł,

z sześciu czy siedmiu towarzyszami, — niegdyś majtkami, później postąpionymi na wysokich urzędników państwa, a teraz na nowo wróconymi do dawnego rzemiosła. Nie omieszkał wprzódy podpalić wszystkie swoje zakłady i całą osadę swoją, żeby się nie dostały Francuzom; i puścił się na morze, zawiesiwszy na okręcie swoim banderę polską, która pierwszy i ostatni raz pokazała się w tych stronach.

Udało się Dzierżanowskiemu popłynąć do wyspy Ś. Heleny bez szwanku. Ale tam nowych prześladowań doświadczył, bo na rekwizycyę rządu francuzkiego, omal nie został wydanym konsulowi tego państwa przez wielko-rządcę angielskiego téj wyspy. Dzierżanowski zaledwo go przekonał, że nie jest poddanym francuzkim, lubo w wojsku francuzkiém służył, ale jest obywatelem Polskim, członkiem narodu zostającego zawsze z Anglią w przyjacielskich stosunkach, i że zabiera się powracać do swojéj ojczyzny. W tym-że czasie kiedy przed wielkorządcą bronił swojéj głowy, bo dobrze wiedział co go czekało gdyby go wydano konsulowi, przyszła od gubernatora przylądku Dobréj Nadziei, druga rekwizycya: o oddanie zagrabionego okrętu poddanemu Holenderskiemu, i o wynagrodzenie szkody jaką tą grabieżą poniósł. Tu już niebyło sposobu dla Dzierżanowskiego wywinąć siebie żadném tłumaczeniem. Zabrano mu okręt z całym ładunkiem, a na jego żądanie, jego samego odesłano do Anglii. Tam Dzierża-

nowski rozpoczął proces z wielkorządcą wyspy Ś. Heleny, nie już o skonfiskowanie okrętu, ale ładunku który będąc jego własnością prywatną, konfiskacie ulegać nie powinien. Procesując się bez żadnego ku temu zasobu, przyszedł by był do ostatniéj nędzy, gdyby składki członków oppozycyi przeciwko ministeryum angielskiego, Dzierżanowskiego nie wspierały. Więcéj lat dwóch procesował się i sprawiedliwości otrzymać nie mógł, co mu nie przeszkadzało, ciągłe podawać plany rządowi do zajęcia wyspy Madagaskar, ofiarując siebie na wykonawcę tych planów. Na tém się skończyło, że jemu rząd kazał wypłacić kilka-set funtów sterlingów, pod warunkiem zakwitowania z wszelkiéj pretensyi wielkorządcę wyspy Ś. Heleny. Dzierżanowski rad-nie-rad musiał na tém poprzestać, i omijając Francyę, przez morze Baltyckie wrócił do Polski.

Stanisław August już w niéj panował. Wszakże nie udał się do niego, ale do swojego Sułowca, który via facti zajęła była jego macocha, poparta przez braci swoich. Ex-król, najgrzeczniéj ją poprosił żeby raczyła opuścić majątek do niéj nie należący, ale że baba rozzuchwalona assystencyą braci, jemu na to odpowiedziała dość pogardliwie, udał się do swojego młodszego brata Franciszka, porucznika w pułku Mirowskich, zawołanego zawadyaka, a który przypadkiem znajdował się w swojéj wioseczce, sąsiadującéj

z Sułowcem, którą tak był odłużył, że już to były jego ostatnie nawiedziny. Nie trudno było do burdy namówić Franciszka. Oba więc najazd zrobili na macochę, ją i jéj braci oćwiczyli rózgami i objęli Sułowiec we władanie starszego. Z tego zawiązał się proces, który się skończył przyjacielskim układem. Pani Łowczyna, ich macocha, dała im jakąś kwotę niewielką pieniężną, i razem z braćmi zakwitowała ich z wszelkiéj pretensyi, a Pan Michał zrzekł się wszelkich praw jakie miał do Sułowca, i powrócił do Warszawy mało-co mniéj goły, niż kiedy z niéj był wyjechał.

Przybywszy do Warszawy zbliżył się do Króla Stanisława, i w krótce pozyskał jego szczególne względy. Właśnie wtenczas walczyła Konfederacya Barska, przeciwko niemu zawiązana. Michał Dzierżanowski ofiarował się Królowi jechać do Wielko-Polski, żeby utworzyć na jego korzyść rekonfederacyę. Król tę ofiarę przyjął uprzejmie, i dał mu pieniędzy ile ich zażądał, żeby ten zamiar mógł przyprowadzić do skutku. Ale jego ufność zawiedzioną została. Dzierżanowskiego usposobienie za nadto było awanturnicze, by nie miał więcéj sprzyjać Konfederacyi z ludzi walecznych złożonéj, niż partyi niewieściuchów, którzy za Królem się ogłosili. Powierzone jemu od Króla pieniądze, na przeciw niemu użył; bo zniosłszy się z jego przeciwnikami, ziemię Gostyńską podburzył, i został obrany marszałkiem, konfederacyi którą tam

zdołał zawiązać. Konfederaci Barscy wiele na jego dzielność rachowali, i w saméj-rzeczy odznaczył się w kilku potyczkach, ale w krótce poróżniwszy się z jenerałem Wiomenilem, posłanym z kilkunastu oficerami francuzkimi przez rząd Ludwika XV, dla objęcia dowództwa nad siłą zbrojną Konfederacyi, nie chciał służyć pod jego rozkazami. I kiedy brat jego Franciszek, jeden z najmożniejszych partyzantów Konfederacyi, dokazywał cudów odwagi, on sam na Bilsku zasiadając w jeneralności, aż do uspokojenia kraju zostawał w bezczynności.

Wiadomo, że po rozwiązaniu Barskiéj Konfederacyi, pierwszy podział kraju nastąpił. Michał Dzierżanowski będąc obywatelem województwa Bełzkiego został poddanym austryackim, i był z liczby pierwszych, co nowemu panu przysięgę wierności wykonali, spowodowany do tego kroku, nie chęcią zachowania majątku który od dawna już był roztrwonił, ale że się nie czuł czystym na sumieniu względem Króla Polskiego, którego ufność był zdradził. Siedział jakiś czas w domu Ordynata Zamojskiego, u którego miał spadkowe zasługi, gdyż jego dziad i ojciec byli klientami tego domu, a nawet ojciec jego był opiekunem szerokiéj włości Zamojskiéj, w czasie małoletności Ordynata, i miał wsparcie tego pana; ale nadto był niespokojnéj duszy, żeby długo u niego miał gościć. Przeniosł swoje mieszkanie do Wiednia, gdzie był dobrze widziany od familii panującéj, a nawet

została mu ofiarowaną od Cesarza Franciszka pensya dożywotnia, której jednak nieprzyjął. Zajmował się alchimią, i był rozpuścił o sobie wieść między Niemcami; że jemu była znaną tajemnica transmutacyi metalów, i że tém utrzymywał siebie w niepodległości. Ale w rzeczy-saméj był wspierany przez panów polskich mieszkających w Wiedniu, a mianowicie przez Hetmana Rzewuskiego, który mu co-rocznie dawał trzysta czerwonych złotych, o czém dopiero po śmierci Hetmana dowiedziano się z papierów po nim pozostałych. Dzierżanowski umarł w Wiedniu roku 1808, w wieku bardzo podeszłym, ale aż do śmierci, czerstwość ciała i przytomność umysłu zachował.

Ponieważ tu mowa o skłonnościach awanturniczych stanu szlacheckiego w naszéj społeczności, komuż nie znane wypadki ledwo że nie-bajeczne życia Bieniowskiego? Albo tego Giesztorpa który z kolei, żołnierz Kościuszkowskiéj Rewolucyi, kapitan w legii polskiéj na żołdzie rzeczypospolitéj francuzkiéj, jeniec angielski po nieszczęśliwéj wyprawie na wyspę Ś. Dominika, któremu się udało uciec z kazematów wyspy Wight, powrócić do Francyi gdzie dość oziemble był przyjęty od rządu Napoleona; a który potém udał się do Stambulu, gdzie siebie poturczywszy, został bimbaszą w wojsku Sułtana, i wsławiwszy się na wojnie przeciwko jenerałowi Kutuzowowi, został nakoniec paszą w Azyi, na którym stopniu

umarł, w roku 1812. Albo ten Skąpski, jurysta palestry Włodzimirskiéj, który po różnych awanturniczych kolejach, sfabrykowawszy sobie rozkaz Dyrektoryatu, exekwował podatki w południowéj Francyi, i został uwięzionym; któremu rewolucya 18 Brumaire wróciła wolność, gdyż umiał wmówić Napoleonowi, że był dla tego uwięziony od Dyrektoryatu, że był przeciwnym rządowi gminowładnemu, i zawsze utrzymywał, że tylko jedynowładztwo może zabezpieczyć Francyi spokojność i sławę długo-trwałą; a który nie najdawniéj umarł w państwie Lahory, wysokim urzędnikiem.

Ten duch awanturniczy tak dalece był wkorzeniony w szlachectwie naszém (póki racyonalizm nie zniszczył u nas, jak wszędzie, wszelką zdolność do czynów), że wszyscy widzieliśmy człowieka wielkiego nazwiska, opuszczającego znaczny majątek i świetne położenie towarzyskie, nie mniéj żonę, najpowabniejszą kobietę swojego czasu przez wdzięki twarzy, serca i rozumu, a która mu dała kilkoro dzieci: żeby odnawiając czasy błędnego rycerstwa, zostać dowódzcą hordy Beduinów. Zdaję mi się, że to jest ostatni awanturnik na wielką skalę, że podobne zjawiska już się nie okażą, gdyż już za nadto jesteśmy rozumującymi, żeby wyobraźnia do tego stopnia mogła nas zhołdować. Bez wątpienia, pod względem rozsądku, dobrze że takie charaktery już dziś jawić się nie mogą, ale i to pewna że tém poczya

z życia już została nieodzownie wygnaną. Dał-by Bóg, żeby przynajmniéj ten racyonalizm jéj nie wygnał z literatury.

ROZWODY.

Familia jest podstawą ojczyzny, a małżeństwo jest podstawą familii. Tak dalece, że gdzie zasady małżeństwa są oparte na ugruntowanych fundamentach, tam byt społeczeński narodu jest nieporuszony. Religia chrześciańska odgadła tę wielką zagadkę, i dla tego właśnie, zaraz po swoim pojawie, pierwsza odważyła się ogłosić nierozerwalność związków małżeńskich. A wszystkie społeczności chrześciańskie, obyczaje swoje, skłoniły do téj wielkiéj zasady.

Któż tego nie wié, że bywają stadła złożone z dwóch osób tak dalece przeciwnych sobie, że ich pożycie staje się istném piekłem, że mogą być wstręty wzajemne, że nawet zbrodnia i wyuzdana rospusta jednéj strony, może być skojarzoną z najznakomitszą cnotą i najsurowszą czystością obyczajów drugiéj. Ale prawo jest spuścizną i życiem całkowi-

tego ciała społeczeńskiego, a nie jakich wyłączeń, na przeciwko których, owszem, powinno być jeszcze zaostrzone.

Gdyby nawet społeczeństwo tak dalece było zepsute, że ludzie cnotliwi i prawi, stali by się w niém jakoby wyłączenia, i w takim razie nawet, zasady prawa naginać się nie powinny gwoli namiętnościom ludzkim, jakkolwiek przez rozpowszechnione zepsucie, te zasady słabo, albo wcale nie będą wykonane. Gdyż z pomiędzy wszystkich korrupcyi jakim narody są dostępne, najokropniejszą bez wątpienia jest korrupcya legalna, która nie tylko że niekarci występki, ale owszem je upoważnia, a tém fałszuje sumienie obywateli, zacierając w ich sercach wyobrażenie tego co jest godném i poczciwém. Bo chociaż nic pewniejszego, że prawa dobre, nigdy wykonane nie będą w społeczności złéj, niechże one stoją przynajmniéj jako norma na którą obyczaje mają się kształcić, jako świadectwo wyższości przodków którzy je obmyślili, niech zbrodnie bezkarnie powtarzane, nie będą przynajmniéj uprawnione.

Prawo nienaruszoności związków małżeńskich, ogłoszone własnémi słowy Chrystusa Pana, gdyby nawet było przeciwném naturze ludzkiéj, nie było by przeto mniéj obowiązujące. Bo skoro sam Bóg przepisuje prawa, nic pewniejszego że użyczy środki dostateczne do ich wykonania, środki chociażby nadprzyrodzone, bo cóż jest dla Niego trudném? A cóż

dopiero kiedy to prawo wypływa z saméj natury człowieka, tak dalece, że lubo w świecie pogańskim Grecyi i Rzymu, rozwody były dopuszczone prawodawstwem, korzystanie z téj prawnéj powolności, zawsze było uważane jako rzecz gorsząca. W czasach wielkości Greków i Rzymian, rozwody były nieznane; dopiero z zepsuciem obyczajów, a tém samém z upadkiem wielkości narodowéj, zaczęły się mnożyć; a jednak opinia publiczna tak im się opierała, że w Tacycie można się dowiedzieć, z jakiego powodu córka Polliona ubiegając się z córką Agrypy o wakującą dostojność Westalki, odniosła zwycięstwo nad córką ulubieńca Augusta, samowładnego pana rzeczypospolitéj, i to w czasie największego wyuzdania obyczajów, kiedy kobiety mianowały lata nie przez odmiany konsulów, ale swoich małżonków.

Znane są aż nadto te wszystkie argumenta postawione od tych, co myślą, że prawo Boskie może być poprawione mądrością ludzką: o niezgodności charakterów, o jakimś niezwyciężonym wstręcie bądź wspólnym, bądź tylko z jednéj od drugiéj strony, o nałogach zdolnych pożycie, w istne piekło zamienić. Wszystko to bywa, lecz i to niemniéj jest niezaprzeczoną prawdą: że prawo nie ma w uwadze wyłączenia szczególne, ale powszechne dobro. Że ten padoł płaczu nie może być rajem, a tylko jest drogą ciężką i ostrą prowadzącą do niego; że

wreszcie stadło może się rozłączyć bez naruszenia ważności sakramentu, bez zdeptania uczciwości, zawierając powtórne a obrzydliwe związki, kiedy pierwsze niczém potargane być nie mogą. Są tacy co utrzymują, że uprawnienie nieprawych związków, zapobiega zgorszeniom; ale to jest sofizmat, na zbicie którego dość cokolwiek rozwagi. Jeżeli wykroczenia już tak smutne skutki wyrządzają w społeczeństwie, cóż dopiero kiedy samo prawo zostanie wspólnikiem tych wykroczeń. I czy może jakiekolwiek prawo ludzkie niszczyć prawo Boskie, prawo przyrodzone? Żaden obowiązek moralny, na prawie pisaném opierać się nie może, bo żadna ustawa, moralności nie tworzy; ta owszem musi koniecznie ją poprzedzać, i ona tylko daje jéj wartość obowiązującą: inaczéj moralność była by rzeczą dowolną, jak wszystkie rozporządzenia administracyjne i fiskalne, a redaktorowie praw, byli by kapłanami religii ciągle się przekształcającéj w kolei czasów. Jużci jeżeli-by prawo mogło upoważnić cudzołoztwo, dla czegoż-by nie miało upoważnić złodziejstwa, mężobójstwa, fałszerstwa. Prawo ludzkie, bez wątpienia jest obowiązujące, ale o tyle tylko, o ile nie jest przeciwne prawu Boskiemu.

Ponieważ ten ważny przedmiot przedstawuje się mojemu pióru, pozwolę sobie zrobić uwagę nad temi ustawami naszego Kościoła, któremi ściągnął od ludzi nierozważnych na siebie naganę, jako by niemi

stał się przyczyną rozwodów, a tém samém potrząśnienia; bytu familii, lubo jest rzeczą widoczną że oprócz jednéj tylko Polski, te ustawy nigdy i nigdzie rozwodów nie przywołały. Bo w rzeczy saméj te ustawy nietylko że nie osłabiają związku małżeńskiego, ale owszem pokrzepiają jego nienaruszoność, zabezpieczając jego ważność, jak to mówią prawnicy, in foro externo. Bo skoro umowa może być roztrząsaną, w juryzdykcyi zewnętrznéj, muszą być tém samém obmyślane warunki jawne, które by za nią świadectwa jéj przynosiły. Któż o tém wątpi, że przyrzeczenie sobie nawzajem uczynione miłości i wierności dozgonnéj, dwóch osób wolnych, niezwiązanych nadto bliskim związkiem pokrewieństwa, już stanowi ważność sakramentalną; ale ta tylko w sumieniu stron ma jedyną rękojmię. Jeżeli jedna strona potarga własne przysięgi, czémże druga przekonać zdoła przed sądem ludzi, że one rzeczywiście były wyrzeczone. Właśnie zapobiegając niestałości i przewrotności ludzkiéj, Kościoł zmuszony został obmyśléć środki, które by udowodnić mogły istnienie małżeństwa, przed rozsądkiem magistratur ludzkich.

I tak, pomijając przeszkody wypływające ze stopnia pokrewieństwa, z jakichś warunków przed ślubem umówionych, a które z natury swojéj szwank zadają celowi przyrodzonemu podobnego związku: z widocznego oszukaństwa, jeżeli naprzykład inna osoba stanęła do ślubu, niż ta którą przeciwna strona ocze-

kiwała u ołtarza, nareszcie z niewłaściwości kapłana, który winien być pasterzem téj owieczki która ma wyjść z jego owczarni, a bez jego wiadomości z niéj wynieść się nie powinna; zwrócę jedynie uwagę nad najważniejszym warunkiem tego świętego związku, to jest, na dobrowolne i nieprzymuszone zezwolenie stron co jego zawierają. Rzecz pewna, że małżeństwo jest kontraktem dożywotnim, którego skutki cywilne władza świecka określa, i o tych ona jedna rzeczywiście stanowić mocna. Ale niemniéj jest sakramentem od Chrystusa Pana postanowionym, a który trwać musi aż do skończenia wieków. Gdyby władza świecka przyznawała się do szafunku sakramentu, było by to przywłaszczeniem, dziełem siły, gwałtu, przeciwnym przykazaniom Boskim, a nie mogącym obowiązywać sumienie, ale nie mniejszém by było przywłaszczeniem władzy duchownéj, gdyby ona pokusiła się stanowić o skutkach cywilnych tego sakramentu, bo to już jest spuścizną władzy świeckiéj.

Że chrześcianin jest razem członkiem towarzystwa duchowego i towarzystwa cielesnego, a więc główna zasada na któréj to towarzystwo się opiera, musi być razem i duchowa i cielesna, i w tém pod żadnym względem rozdzielić się nie da. W małżeństwie jest łącznie i sakrament i kontrakt, i oba między sobą są nierozdzielne, tak dalece, że gdyby jeden bytować przestał, drugi utrzymać by się nie mógł.

Gdzie niema w małżeństwie sakramentu, tam być nie może kontraktu, ale i to wątpliwości nie ulega, że gdzie niema w niém kontraktu, tam niema i sakramentu. I tu niema mowy o formie sakramentu i kontraktu, ale o ich jestestwie. Małżeństwa cywilne poprzedzające duchowne, we wszystkich społecznościach które się sądzą kodexem Napoleona, byle by tylko prawo domagało się sankcyi sakramentalnéj, i nie myśliło że bez niéj skutki cywilne mogą być otrzymane, bynajmniéj nie są przeciwne naszéj religii, a wielce są pożyteczne nawet dla karności chrześciańskiéj, zapobiegając zgorszeniom, jakie wynikać mogą z małżeństw potajemnych, a nadewszystko że są zdolne zapobiedz rozwodom, okazując urzędownie błahość zarzutów przeciwko ważności sakramentu postanowionych. Wiém że wiele jest katolików niechętnych tym kontraktom cywilnym, mając je za jakieś ubliżenie powagi duchownéj. Że one nie są przeciwne religii naszéj, to najmniejszéj wątpliwości nie ulega, a zdaje się że w niniejszym stanie cywilizacyi, jeżeli sprawy małżeńskie wyłącznie pozostaną w rękach duchownych, złe które z tąd na nichże samych padnie, jest niewyrachowane.

Jeżeli więc sakrament małżeński, nie może istnieć tylko w ścisłym zjednoczeniu błogosławieństwa religijnego, z kontraktem między stronami zawartym, oczywiście kontrakt małżeński podlega wszystkim warunkom każdego kontraktu. Musi być koniecznie do-

browolnie zawartym, gdyż kontrakt wymuszony, nie jest kontraktem, jest spełnieniem cudzéj woli; bo kontrakt jest umową dwóch stron wzajemnie niezawisłych, a zbliżających się do siebie, aktem swobodnie działającéj woli. I nie pojmuję żeby się znalazł rygorysta, który by chciał utrzymywać, że kobieta zmuszona w wolności swojéj, przyzwoliwszy na związek z mężem nienawidzonym, choćby słowami i przysięgą wykonaną przed ołtarzem, była jego rzeczywiście żoną w obliczu Boga i sumienia.

Ale mus który aż stanowi nieważność sakramentu, w którego dopełnieniu wszystkie formy zachowane były, powinien być sumiennie i rzeczywiście udowodniony, gdyż tu wszelka wątpliwość nie gwoli namiętności stron winna być rozwiązaną, ale na korzyść majestatu Boga, przed którym wyrzeczona była przysięga. Tam gdzie sprawa na świadectwach lada czyich się opiera, nic łatwiejszego żonie, jak dowieść że była przymuszoną pójść za mąż. Są juryści konsystorscy którzy biorą na siebie obowiązek takowe świadectwo dostarczyć. Mnie samemu się zdarzyło widzieć w regestrze jednego umocowanego, podanym swojéj pryncypałce, któréj rozwodową sprawę attentował i wygrał: dwieście rubli srebrnych położonych na świadków, których zeznania cały interes ułatwiło. Widać, że u nas świadkowie nie są zbyt drogim towarem. Dekret rozwodowy, oparty na tak oczywistym dowodzie musu, bo przyznanym

pod przysięgą przez dziesięciu świadków, aż nadto zabezpiecza w obliczu prawa, ale dopiero na ostatecznym sądzie dowiemy się, ile on mógł zabezpieczać w obliczu Boga.

Rzecz na fałszu oparta, same tylko fałsze wyradza, i mamy tego dowód w następstwach cywilnych każdego dekretu rozwodowego. I tak, że słowa Chrystusa Pana są nadto wyraźne, żeby ślub małżeński mógł być jakąkolwiek juryzdykcyą rozerwany, a więc zaprzeczają istnienie tego związku, twierdząc, jakoby nigdy niebyło małżeństwa. Ale rzecz dziwna, prawość dzieci, która jedynie na prawości związku ich rodziców się opiera, ta się im zachowuje pomimo tego, że ich rodzice rozłączeni zostali dla tego, że dotąd żyli z sobą w związku nie prawym; a nawet przez sprzeczność jeszcze większą, rozwódka zachowuje nazwisko tego, którego według ich pojęć nie była żoną.

W czasach kiedy cnota była obyczajem w naszéj społeczności, lubo rzadko kiedy wola stron wpływała do zawiązania małżeństw, bo te tylko przez rodziców ułożone bywały, a jednak o rozwodach niesłyszano. Jeszcze w pierwszych latach panowania ostatniego Króla, one były rzadkością; a dopiero za prymatury jego brata, szerzyć się zaczęły w przerażającym stosunku. Słyszałem od współczesnych, o owym Szaniawskim, Staroście Małogoskim, najsłynniejszym dziwaku w swoim czasie. Syn jedynak

możnych i bogatych rodziców, tak był niespokojnego charakteru, że ich opuścił żeby zostać zaporożskim kozakiem, i nim był lat sześć czy siedm, a dopiero do Polski powrócił gdy go nie obrano koszowym, jak miał tego nadzieję. Już od dwóch lat byli zmarli jego rodzice, a krewni się zabierali ich dobra zająć, mając jego samego za umarłego, kiedy powrócił. Był to prawdziwy zaporożec, bez wychowania, gwałtowny, okrutny, desperat. On mieszkał zwykle w Warszawie, w swoim pałacu na ulicy Trembackiéj, i dziwna rzecz, że z takiém usposobieniem obrał miasto na ciągłe mieszkanie; jemu wieś była by właściwszą. Prawda, że w Warszawie z nikim nie żył tylko z swoimi sługami i dworzanami, takimi-że jak on sam barbarzyńcami. Jego ludzie byli postrachem Warszawy, dopuszczali się rozbojów w śród białego dnia, i tylko u niego samego na nich sprawiedliwość można było otrzymać Bo że był stronnikiem króla Sasa w ówczas panującego, a którego dom Czartoryjskich chciał detronizować, więc Mniszech Marszałek Wielki Koronny, filar domu Saskiego, mający w rękach swoich policyę miejską, pobłażał Szaniawskiemu; bo na każdy wypadek mógł na niego rachować, a lękał się, żeby go zraziwszy, on nie przeszedł do stronnictwa Królowi przeciwnego. Tym sposobem bezprawia jego licznego dworu grasowały po mieście; jego słudzy mścili się na żydach i mieszczanach, za katowania co ich doświadczali od

swojego pana. Dziedziniec pałacu Szaniawskiego, był teatrem nieustannych exekucyi cielesnych, tak dalece, że damy a nawet kawalerowie czułego serca, lub chcące za czułych uchodzić, w przejażdżkach po mieście, woleli nakładać drogę, żeby ominąć Trembacką ulicę, gdzie tylko jęki usłyszeć można było

Otoż ten-że sam Szaniawski, ożenił się był z xiężniczką Lubomirską, Starościanką Olsztyńską, damą starownie wychowaną, delikatnego zdrowia i delikatniejszéj jeszcze duszy, a Szaniawski nietylko że był barbarzyńcem w obyczajach, ale nawet powierzchowność miał barbarzyńca: kosooki, twarzy porytéj ospą i szablą, otyły, z wąsami które po dwakroć okręcały się około uszów, z głową ogoloną że ledwo kilka włosów zostawało na ciemieniu, jedném słowem tak szpetny, że kiedy przypadkiem dom jakichś swoich krewnych nawiedzał, matki chowały przed nim dzieci, lękając się żeby jego widok nie nabawił im konwulsyi. Dziwna rzecz, że ta para tak dla siebie niestworzona, mogła się skojarzyć, ale nie zapomnijmy że w owym czasie, małżeństwa magnatów, tak jak domów panujących, wiązały się nie w skutku skłonności obopólnych, ale układów familijnych. Że często Panna młoda, przy ołtarzu dopiero pierwszy raz widziała swojego oblubieńca, i że rodzice stanowiąc o jéj losie, nigdy jéj się nie radzili, mając to za ubliżenie powagi rodzicielskiéj.

Pani Starościna, przez lat sześć cierpiała piekło: jéj

z mężem pożycie było męczeństwem nieustającém. To mało że jéj małżonek był największym brutalem, ale jeszcze się napijał, i miał w zwyczaju po pijanemu strzelać kulami do jéj korków. Razu jednego, w krótce po jéj słabości, kiedy ona w łóżku leżąc piła kawę, on chcąc jéj dać dowód swojéj zręczności, wypalił do niéj z pistoletu i rozbił filiżankę, w chwili kiedy ona ją przybliżyła do ust — z której igraszki takich dostała konwulsyi, że zaledwo ją dotarli. Ale zdrowie zupełnie utraciła ta nieszczęśliwa ofiara. Nakoniec jéj rodzice przekonali się, że dziecko swoje na śmierć wydali, i sami jéj ułatwili ucieczkę z domu mężowskiego; a jednak opinia była tak potężną, że ją nie śmieli w domu trzymać, ale osiąść musiała w klasztorze Panien Sakramentek, nigdy z niego o krok niewychodząc, aż do końca sprawy rozwodowéj, która rozpoczętą została zaraz po jéj ucieczce. Zdaje się, że tu były wszelkie przyczyny kanoniczne do rozwodu — niebezpieczeństwo utraty życia aż nadto widoczne, a mus jeszcze widoczniejszy; wszakże sprawa lat siedm się ciągnęła, bo Pan Starosta Małogoski na rozwód niechciał zezwolić. I gdyby nie jeden wypadek, Pani Starościna do śmierci by go się nie doczekała. Pewien kanonik, ze strony xiążąt Lubomirskich podjął się pójść do Pana Szaniawskiego z perswazyami, by się daléj nie sprzeciwiał rozwodowi. Kiedy przybył do niego, widać że go musiał zastać w paroksyzmie wściekłości

bo ledwo zaczął z nim rozmawiać po ludzku, ten go kazał porwać przez swoich oprawców, i na środku dziedzińca ościczyć nahajami, tak że prałat ze wszech miar mąż szanowny, omal tego gwałtu życiem nie przypłacił.

Ale z tego zawiązała się straszniejsza niż rozwodowa sprawa dla Pana Starosty, bo od Biskupa został wyklęty i pozwany o świętokradztwo. Była to rzecz gardłowa, i to umiał poznać. Nie pozostawał mu inny środek dla ocalenia siebie, jak tylko zbliżyć się do xiążąt Lubomirskich, żeby przez nich zagodzić kanonika. Jakoż ci to ułatwili, ale musiał za to pozwolić na rozwód. I dopiero po siedmiu leciech życia klasztornego, Pani Starościna powrócić mogła w świat. A jednak nie odważyła się wstąpić w powtórne małżeństwo za życia pierwszego męża, lubo o to bywała tentowaną. Tak silne było wyobrażenie honoru u naszych prababek.

Dopiero kiedy rozpusta najwyuzdańsza została obyczajem ukształconego towarzystwa, niemniéj od niego wolni biskupi, zaczęli ją uprawniać, nadciągając prawa kanoniczne do tego stopnia, że nie było już małżeństwa które by podpaść niemogło rozerwaniu. Można było starać się o rękę mężatki jak panny, bez obrażenia jéj sławy, a nawet rzeczywiście nie było mężatek, a tylko kobiety związane chwilową umową. Zły kapłan, będzie zawsze gorszym niż zły świecki człowiek, i ztąd z pomiędzy wszystkich

juryzdykcyi krajowych, jakkolwiek zdemoralizowanych, bez wątpienia konsystorze zostały najzaprzedajniejszymi. Nie było bezprawia, co by go tam niemożna było kupić. A że żaden grzech nie jest odosobniony, ale zawsze za sobą pociąga inne grzechy, korrupcya bezczelna konsystorzy zdemoralizowała ledwo że nie całkowite duchowieństwo świeckie. Symonie, kubany od proboszczów dla biskupów, zaniedbanie wychowania kleru po seminaryach, obok kradzieży ich przychodów, to wszystko tak się było już rozpowszechniło, że Słowo Boże wychodzące z ust niecnych, utracało swoją powagę.

Któż o tém wątpi, że są rozwody ogłoszone z powodów najgruntowniejszych, najwięcéj kanonicznych, ale te wypadki są tak rzadkie, że częstokroć w długim zawodzie sądowniczym sumiennego sługi Chrystusa, ani jeden przykład podobnéj sprawy się nie zdarzy. O sędziu konsystorskim, który by w swoim życiu dziesięć dekretów rozwodowych podpisał, śmiało powiedzieć można, że musiał być jedno z dwojga: albo wielkim głupcem, albo podłym infamisem. Tu się nie lękam by mi zarzucono iż szarpię sławę osób poważanych, bo staje przy sławie nieco ważniejszéj, przy sławie Chrystusa Pana, który powiedział że „co Bóg złączył, tego niech człowiek nie rozłącza.“

W ciągu panowania Stanisława Augusta, rozwody tak się zagęściły w narodzie, że wszystkie dawne

chrześciańskie zasady do góry nogami przewrócone zostały. Bywały nierzadkie wypadki, że żona przywiązana do swojego męża, rozpłomieniwszy serce bogatszego mężczyzny, opuszczając tego któremu wiarę zaprzysięgła, poczytywała sobie to za heroizm macierzyństwa, iż dla polepszenia dzieci swoich losu, zawierała związki nowe, niegodziwe, a nawet dla niéj niemiłe. Przypominam sobie, że w mojém dzieciństwie, kiedy mnie matka zabrała z sobą do domu jednéj znakomitéj damy, która z miłości poszedłszy za poczciwego szlachcica, i z nim najprzykładniéj kilka lat przeżywszy, poszła do rozwodu, żeby zostać żoną wielkiego pana, który się w niéj był zakochał: moja matka była z nią związana najściślejszą przyjaźnią. Owoż tedy, ta pani otoczona bogactwami, znaczeniem i wszelkiemi ułudami wielkości, zaczęła mówić przed nią, o szczęściu pożycia domowego, jakie kosztowała z opuszczonym mężem, i to mówiąc łzami się zalała, wyznając że dotąd nie przestaje go kochać. „I dla czegoż ty się z nim rozwiodłaś?“ rzekła do niéj moja matka. „Moja kochana,“ odpowiedziała tamta, „jakże nie miałam się rozwieść, mając dzieci, kiedy tym ich los zabezpieczyłam. Płakaliśmy z mężem — był to prawdziwie sądny dzień ten, w którym zdecydowaliśmy się rozstać z sobą. Ale cóż było robić.— Książe kilkakroć sto tysięcy zapisał dla naszych dzieci, a nasze dla nich obowiązki przemogły uczucia serca.“

Dziś nic podobnego wypaść nie może. Z łaski dwóch Najwyższych Władz, które już tak jawnie oświadczyły się przeciwko tym nadużyciom, mamy biskupów sumiennych, pełnych wiary i bojaźni Bożéj, i którzy wszyscy postanowili między sobą, odtąd nigdy podobnych zgorszeń nie dopuszczać. Słyszałem jak się oświadczali, że w żadnym wypadku na żaden rozwód nie pozwolą, chociażby były ku temu przyczyny kanoniczne; bo właściwiéj żeby jeden cierpiał niedogodność osobistą, niż wszyscy, na lekceważeniu tego co jest posadą bytu społecznego. Mam przekonanie że ci godni mężowie, którym jest powierzona owczarnia Chrystusa, będą prawdziwi pasterze, i że oni zdołają wskrzesić naszą dawną karność chrześciańską.

Niech-że odtąd płeć słaba będzie u nas ostróżną, oglądając się na siebie. Był czas, kiedy jawne zgorszenie pokryte być mogło wymożonym rozwodem. Dziś utracona sława, żadnym środkiem wróconą być nie może. Ta płeć tak dostojnemi rysy odznaczona w naszém społeczeństwie, płeć pełna wdzięków, światła i cnot, nie tylko że nie będzie się opierała zbawiennym postanowieniom naszych pasterzy, ale owszem niczego nie zaniedba, żeby skłonić dla nich opinię publiczności. Ta płeć ma wielką missyę, i tuszę że nie zawiedzie widoków jakich miała Opatrzność, obdarzając ją tak wielkiémi przymiotami.

GBUR.

Ludzie źle wychowani ale w gruncie poczciwi, ułudzeni chęcią nie omijania się nigdy z szczerością, stają się nieznośnymi w towarzystwie, tém, iż niegrzeczność i gburowatość nie umieją odłączać od szczerości, nie chcąc poznać, że szczerość winna siebie objawiać postępkami więcéj niżeli mową, która aż nadto może być kłamaną. Człowiek skłonny do objawiania swojego własnego zdania o rzeczach i ludziach, nie tyle jest szczerym ile zarozumiałym. Bo zapomina że nie dość mieć samopoznanie iż się stoi przy prawdzie: gdyż miłość-własna i zaufanie w rozum jak najmniéj rozwinięty, dać je może: ale trzeba mieć jakieś prawo, żeby to zdanie swoje przed innymi ogłaszać.

Dawni Francuzi którzy dobrze musieli wiedzieć co to jest szczerość, gdyż téj cnoty źródłosłów jest ten sam co i nazwiska tego niegdyś wielkiego narodu: przecie nigdy jéj nie mieszali z grubiaństwem,

a nawet w obyczajach swoich wyrobili do najwyższego stopnia ten przymiot dusz szlachetnych nazwany grzeczność, a któremu w swojéj mowie nadali właściwsze nazwisko politesse (ogładzenie), to jest że człowiek grzeczny (poli), może być z każdéj strony dotykany, bez spotkania w nim najmniejszéj kątowatości, najmniejszéj szorstkości: jedném słowem, on winien być gładkim i lskniącym się jak źwierciadło.

Każde uczucie skoro ma być zastosowane do bytu praktycznego, musi przybierać jakieś formy ściśle odnoszące się do ducha który w nich zewnętrznie się wyraża. I nie może być nic nadobniejszego od tych form wyrobionych w towarzystwach francuzkich a na jakich kształciły się wszystkie społeczności, które czerpały prawdę religijną z tego samego źrodła co i społeczność francuzka. Wszakże wielce się mylą gbury, myśląc, że te formy są dowolne, i że ich odrzekłszy się, moralność publiczna i obyczaje narodowe dadzą się zachować w nieskazitelności.

Formy grzeczności towarzyskiéj, polor który odznaczał a dotąd przynajmniéj odznacza ludzi wyższego ukształcenia, nie są czém inném, tylko wyrażeniem miłości bliźniego, w gronach gdzie żaden do nich wchodzący nie potrzebuje ani materyalnego wsparcia, ani nawet przysługi, ale potrzebuje tych wzajemnych względów, bez jakich nie tylko przyjemności, ale nawet bezpieczeństwa w zbiorze

ludzi znaleźć by nie można. Miłość bliźniego, owa korona wszystkich cnot chrześciańskich, wkłada na nas obowiązek, abyśmy się starali ile możności okazać się miłymi dla tych, z ktorymi wchodzimy w jakiekolwiek stosunki. I jako w porządku moralnym nic nie może się zachować bez ducha ofiary, tak te formy obcowania, co ich lekceważą serca zepsute i umysły spaczone, czém-że są jeżeli nie wzajemną ofiarą pochopów indywidualnych, dla przyjemności ogółu?

Jest to rzecz tak pewna, że po-za obrębami chrystianizmu, niema tego co my nazywamy życiem towarzyskiém. U wyznawców Islamu, kobiety są zamknięte, a mężowie zbierają się dla jakiéjś narady, ale tego nie znają, żeby się zbierać jedynie, żeby tarciem myśli wzajemném wykształcać swój umysł. Rzym i Grecya, pomimo ich wyrafinowanego materyalnie ukształcenia, nie znali tego co nazywamy salon, i zawsze też coś było szorstkiego w ich obyczajach. Salon, owa szkoła przyzwoitości, jest tak dalece płodem chrystianizmu, że o ile w powszechności wyobrażenia społeczeństwa oddalają się od uległości jego przepisom, o tyle salon się zniża, zbliżając się obyczajami swojémi do szynkowni.

Kodex salonowy nie był ułożony a priori, jak wszystkie ustawy dowolne, ale wyrobił się organicznie jak konstytucya polityczna angielska — zawsze rozwijając się z zasady moralnéj. I tak: ludzie zbie-

rając się dla wspólnéj zabawy, skoro tylko wzajemne z sobą obcowanie stało się dla nich niezbędną potrzebą, nie mogli zabezpieczyć sobie jéj użycie tylko pod warunkiem jakichś ofiar indywidualnych, dla korzyści ogólnéj. Musieli więc z początku odrzeknąć się od kułaków, a tém samém od dopuszczenia się wyrazów które pobudzić mogą do wyskoków siły brutalnéj, późniéj wyrobiła się staranność około unikania tego wszystkiego, co najmniejszą nieprzyjemność ściągnąć może na współbiesiadnika, a nakoniec ten takt towarzyski, nazwany dobry ton, którym człowiek nie poprzestając na tém, żeby dla kogoś nie być przykrym, usiłuje zostać dla wszystkich miłym, przez ciągłe ofiary które przestają mu ciężyć, bo już weszły w skład jego obyczajów i nałogów.

Bez silnie rozwiniętego żywiołu chrześciańskiego, nie może być uzupełnionego życia towarzyskiego. Bo takowe nie istnieje bez ubóstwienia że tak powiém płci pięknéj, a widzimy poniżenie kobiet we wszystkich społecznościach niechrześciańskich, a w społecznościach chrześciańskich jakąś dążność do ich poniżenia, skoro tylko wiara wątlić się zaczyna. Jeżeli gdzie tylko ludzie zabawy szukają w obcowaniu wzajemném, same z siebie wyrobić muszą jakieś prawidła towarzyskie, tamę kładnące samorzutnym uniesieniom; niemniéj i to jest pewna, że wygórowany smak którym się szczególnie objawia wysokie

ukształcenie, a który nie tylko w salonie, ale w literaturze, w kunszcie, w składni języka, poznawać się daje, może się rozwinąć tylko tam, gdzie wyobrażenia moralne, uczucie honoru, i wpływy kobiet, oswoiły przyrodzone skłonności z najuciążliwszemi ofiarami.

Można być mężem światłym i cnotliwym, a przecie nielubić towarzystwa kobiet, i uchylać siebie od ciężarów, jakiemi tak nazwane życie salonowe obarcza tych co pragną z niego użytkować. Ale to pewna, że takiemu czegoś niedostawać będzie do ukształcenia, i że jego rozum niezahartowany temi ciągłemi ofiarami, których salon się domaga, jakkolwiek pożyteczny, nie będzie nigdy przyjemnym.

Wszystkie te formy krępujące samowolność skłonną do bujania, utrzymywały równość w towarzystwie, między ludźmi potężnymi położeniem swojém, a tymi za którymi nic nie przemawiało oprócz ich osobistości. Bo nawet dzierżyciel szerokiéj władzy nie śmiał się z nich wyłomać. Dzisiaj pozwalają sobie szydzić z tych przepisów salonowych, a jednak o ile one są ściśléj dopełnione, o tyle mniéj siła brutalna uciska towarzystwo. Nigdy też one nie ciężyły naszym ojcom. Zapewne że te formy nie wszędzie były też same zewnętrznie, wszakże były jedne w duchu. Bo nie było towarzystwa chrześciańskiego, gdzieby nie domagano się jakichś ofiar wzajemnych, każdego dla wszystkich. Wyższe towarzystwo francuz-

kie naprzykład, w wykwintności tonu przewyższało bez wątpienia ton przyjęty w innych towarzystwach; wszakże oba rozwijały się z téj-że saméj zasady miłości bliźniego. Z tąd nasz szlachcic nawykły do życia towarzyskiego na prowincyi, przeniesiony przypadkiem na dwór wersalski, nie znajdywał w nim dla siebie nic tak dalece obcego, i umiał w nim swoją godność zachować.

Że ludzie ograniczeni w zdolnościach moralnych, radzi by się pozbyć wszelkich wędzideł, temu się dziwować nie trzeba; ale co jest boleśnego, to że znajdują się ludzie z innych względów znakomici, którzy przykładem swoim dają popęd téj anarchii która zwłaszcza na prowincyi, prawie zniszczyła salon, przyprowadzając go do stanu barbarzyństwa. Podobni ludzie, niestety, są rzadcy: znałem jednego z takich, a często z nim obcując, starałem się go wystudiować.

Pan Tupajło, jest mąż uczony, światły, nawet dowcipny, do tego gruntownie poczciwy. A jednak obcowanie z nim jest nieznośne, bo uroiwszy sobie że kodex salonowy jest dokuczliwym wymysłem mierności, która wyłącznie w jego świadomości tylko może się odznaczyć, żadnemu jego przepisowi nie chce ulegać. Kto go pierwszy raz widzi w towarzystwie złożoném z osób obojga płci, mógłby pomyśléć, że to jest zaporożec który zamienił koszulę łojem zaprawioną na odzież nieco przyzwoitszą, i

jakimś przypadkiem wsunął się w grono zupełnie dla niego obce.

Nigdy z nikim nie chce pierwszych kroków zrobić dla zabrania znajomości, bo to jest grzeczność, a grzeczność przez siebie okazaną uważa być ubliżeniem swojéj godności moralnéj, a jeżeli jemu nieznany stara się do niego przybliżyć, napręża się z sztywnością burmistrza małéj gminy niemieckiéj. Ze znajomymi jego grubiaństwo jest mniéj sztywne, ale jeszcze więcéj szorstkie. Nikogo nie słucha, zaczęte opowiadanie przez któregoś z biesiadników przerywa, poprawuje po bakalarsku wszystkie omyłki gramatykalne mówiących, zadaje każdemu kłamstwo, moralizuje kobiety, ogłaszając siebie zwolennikiem prawdy; dla wszystkich staje się cierpkim, nie domyślając się nawet, że prawdy są zawsze względne, i że trzeba mieć prawo, żeby nieprzyjemne prawdy dla drugich objawiać, i że każde przywłaszczenie jest wykroczeniem moralném.

Pan Tupajło tego nie rozumié, że to co ma za szczerość, nie jest czém inném, tylko wygórowaną aż do obłąkania pychą. Bo ten pochop do wyrywania się z swojém zdaniem o każdym człowieku i o każdéj rzeczy, czém-że jest inném? Przepisy salonu przykazują każdemu o sobie jak najmniéj mówić, właśnie dla zapobieżenia wyskokom téj pychy, do któréj człowiek aż nadto jest skłonnym. Bo wyjąwszy mężów prawdziwie wielkich, czy może indywidualność

czyjakolwiek wiele zajmywać, udzielając innym swoje przekonania. Pan Tupajło lekkie rozmowy salonowe ma za czcze paplania, niegodne umysłów rozważnych, a nie widzi, że sam jest nieznośnym gadułą, po prostu plotką, obmówcą nieokrzesanym, pokrywającym czczość istotną myśli, jakąś powłoką niby szczerości, a rzeczywiście grubiaństwa.

Nigdy dusze ukształcone nie odbiegają od okazania szacunku należnego ludziom stojącym na wyższym szczeblu w hierarchii społeczeńskiéj, jakkolwiek te oznaki zewnętrzne mogą nie mieć nic wspólnego z tym rzeczywistym szacunkiem który jedynie cnotom i światłu należy. I właśnie jest cechą ludzi prawdziwie ukształconych, że umieją to wymaganie towarzyskie pogodzić z własną swoją godnością. Tego anarchiści pojąć nie umieją, i myślą że ta godność zachować się nie może tylko przez grubiaństwo względem tych, których położenie same, bez względu na ich osobistość, zasługuje na uszanowanie.

Jakkolwiek Pan Tupajło jest mężem światłym, tego zrozumiéć nie może i myśli że uchylanie siebie od ciężaru względów towarzyskich, jest głęboką filozofią. W jedném mieście na prowincyi, znajdywał się przypadkiem urzędnik wyższy, nie należący do jéj zarządu, ale którego położenie miało prawo do otrzymania jakichś dowodów szczególnéj grzeczności, tém więcéj, że grzeczność nikomu szkody nie przynosi, a zawsze oznacza jakiś stopień ukształcenia. Obywatel-

stwo wówczas zebrane w tém mieście, postanowiło dać dla niego obiad, i na to zbierało składkę. Każdy najchętniéj przyczynił się do tego, wedle swojéj możności. Ale gdy z kolei przyszło do Pana Tupajły, ten nietylko że do téj składki należeć niechciał, ale mając siebie za rozumniejszego od wszystkich, nie omieszkał im dać obrok duchowny w tych wyrazach: „Moi Panowie, te wszystkie zabiegi wasze dla tych matedor, przypominają bajkę o tym ośle który był obładowany relikwiami świętych. Wszyscy uginali kolana na widok tych świętości, a osłowi zdawało się, że te oznaki kornego uszanowania były dla jego osoby!“

Było w tém zgromadzeniu kilku którzy to brutalskie zastosowanie bajki, wzięli za dowód wielkiego dowcipu, a w rzeczy saméj, Pan Tupajło tu i w formie i w istocie pokazał siebie nierozsądnym. W formie, bo obraźliwy wyraz choćby na nieprzytomnego rzucony, jest wykroczeniem z prawideł szlachetnego wychowania: w istocie, bo jest targnieniem się naprzeciwko porządku towarzyskiego, bez jakiego nie tylko ukształcenia, ale nawet życia społeczeńskiego być nie może. Jeżeli człowiek jako induwiduum, ulega skłonnościom osobistym w powzięciu dla innego człowieka szacunku i przywiązania, niemniéj ma obowiązek jako członek społeczeństwa, szanować to co społeczeństwo postanowiło szanować. Któż o tém wątpi, że wyjąwszy rzadkich wyłączeń, każda indy-

widualność jest biedna, że każdy z nas mniéj więcéj ma jakieś podobieństwo do tego osła, i że względy jakie otrzymuje w towarzystwie odnoszą się więcéj do jego położenia, stosunków, jakichś nabytków, niżeli do saméj osobistości. I kiedy apostoł narodów, w jednym swoim liście, nakazuje dla urzędu uszanowanie, niema na względzie wartości wewnętrznéj tych co urzęda piastują, ale urząd od nich piastowany. Gbybyśmy zaprzestali szanować godność, otworzylibyśmy wrota najohydniejszym uciskom; bo jużci władza dzierżąc siłę, zawsze by nas zmuszała do uszanowania, nie do tego któremu gotowe kształty przepisała cywilizacya, zarówno obowiązująca wyższego i niższego, ale do takiego który by dogadzał wszelkim wymysłom nieoświeconéj pychy, oswobodzonéj z wszelkich wędzideł przyzwoitości towarzyskiéj. W narodach obcych chrześciańskiemu ukształceniu, nie pojmują godności bez siły, i kto jéj nie posiada, ten bez wątpienia żadnych oznak uszanowania nie odbiera, ale też za to nie ma poniżenia którego by dzierżyciel władzy nie wymagał od swojego podwładnego, dopóki nie utraci téj władzy, bo w tedy doświadczy sam to co zmuszał innych doświadczać.

Ile razy jakaś wielka przywara kojarzy się z pewnym stopniem oświecenia, w tedy przedstawuje najdziwaczniejsze widowisko, bo to oświecenie nie będąc dość silne żeby ją zwalczyć, robi się owszem

jéj służebnikiem, i usiłuje ją uszlachetnić. I tak skąpiec cokolwiek oczytany, namaszcza brudy szkaradnéj swojéj wady moralnéj, nazwiskiem filozofii. Nieraz słyszałem skąpca mówiącego o sobie: „Ja niedbam czy mnie podadzą strawę przyzwoitą czy śmierdzącą, czy na moim stole i łóżku bielizna czysta czy podobna do ścierki, czy mój służący odziany jak by trzeba czy obdarty: bo ja na te rzeczy filozof, a wszelką wykwintnością się brzydzę.“ Czy to jeden rozpustnik wiejski, niby uczony, dał się z tém słyszéć: „Skromność, czystość, wstyd, wierność małżeńska, są to ustawy społeczeńskie, przesądy, które weszły w nałog, ale nie są prawem natury. To jaśnie udowodnił Melwecyusz i Hirabeau w swojém arcy-filozoficzném piśmie o systemacie natury*. A więc usuwając siebie od towarzystwa, w mojém odosobnieniu się domowém, nie czuję obowiązku ulegać jego umówionym prawom. Bez wyrzutu idę za popędem natury i dopełniam jéj prawa.“

W tém Pan Tupajło od nich się nie różni. Rokosz

---

* Baron Holbach, majętny Niemiec, który w drugiéj połowie XVIII wieku, trzymał w Paryżu dom otwarty dla Encyklopedystów, jest twórcą tego szkaradnego dzieła, gdzie najwyuzdańsza niemoralność łączy się do najgrubszéj niewiadomości, zwłaszcza fizyologii. To dzieło pogardzone w świecie uczonym, najkomiczniejszy wzbudza dotąd entuzyazm, między wielu naszymi parafiańskimi filozofami.

który podniósł na przeciwko tych przepisów towarzyskich które mu ciężą, ochrzcił być energiczną protestacyą przeciwko przemocy, uczuciem wygórowanego liberalizmu. „Mam duszę republikańską“, prawi „nikomu się nie kłaniam, wszelką arystokracyą pogardzam. Ci ludzie dobrego tonu, jak siebie nazywają, są plagą społeczeństwa, dla tego jedynie że słabe dusze nie dość im się opierają. Naprzykład Pani M., że ma otwarty dom w mieście, próżniacy w nim znajdujący się, poczytują być zaszczytem dla siebie, że do niego mają przystęp, i ze wszelkiéj wyzuwają się swobody, aby tylko mieć łaskę u téj podżyłéj elegantki. Czemuż tak nie robią jak ja? Byłem u niéj raz na wieczorze, otoż że byłem w surducie, odważyła się baba dać mi uczuć swoje nieukontentowanie. I cóż to? nie serce, nie rozum mają zalecać uczciwego człowieka, ale łokieć sukna mniéj lub więcéj w jego odzieży? Odszedłem, i zapowiadam że odtąd moja noga u niéj nie postanie. — Albo onegdaj u Państwa Prezesostwa, było nas kilku nie Tatarów, ale że się pojawił młody hrabia Frydryk z pod Warszawy, który miał skończyć wychowanie za granicą, że miał na sobie frak w Paryżu uszyty, i że cię do bab przymila, więc i gospodyni domu i jéj córki tylko nim były zajęte, nas jakby nie było. Że kobiety potrzebują słów ich miłość własną pieszczących, a nie gruntownych rzeczy jakieby człowiek choć nie był w Paryżu, mógł by im

udzielić, to mnie nie dziwi. Ale że nasi nikczemną uległością, żeby być zaproszonym na balik lub wieczór, dają potuchę téj przebrzydłéj arystokracyi — a moje Państwo, to mnie oburza! “

I tak Pan Tupajło, pomimo że wiele czytał, zdaje się być przekonany, że jak tylko rozpowszechni się obyczaj pokazywać się damom w surducie oplamionym, w spodniach podartych i obuwiu zabłoconém, jak każda młoda dama przesięknie dymem od fajek i cygar, użyczonym przez młodych kawalerów; jak karczemne wyrazy staną się niezbędną przyprawą obcowania we wszelkiém towarzystwie, jak gminne plotki nabędą wszędzie zaszczytów dowcipowi dotąd właściwych, a ostatni konserwatorowie dobrego tonu, zastraszeni pogróżkami bohatérów jarmarkowych i niebezpieczeństwem potyczki na kondescensyach honorowych*, że święta respublika będzie panować, i że

---

* Dzięki religii chrześciańskiéj, która płeć nadobną wywyższyła, taka degradacya nie może się rozpowszechnić. Dziwna rzecz, jak w naszych prowincyach, przy zniżeniu się moralném mężczyzn, u kobiet zachowują się prawidła przyzwoitości, w mowie, w działaniu, w odzieży. Damy salonu Żytomierskiego lub Winnickiego, co do tonu i ukształcenia, w niczém nie różnią się od dam Paryzkich lub Wiedeńskich, a pod pewnym względem pierwszym bym przyznał pierwszeństwo. Biorę jeden przykład: Pani Dudevant (Jerzy Sand), kobietą najwykwintniejszego ukształcenia, i geniuszu wyższego niż wszystkich współ-

z tego kału nie żuki i glisty, ale Katony, Regulusy, Arystydesy się wylęgną.

Że w gruncie Pan Tupajło jest poczciwym człowiekiem, z nim stosunki przyjacielskie są bezpieczne, pod tym względem, że można mu zaufać. Nikogo nie zdradzi, nie oszuka, a nawet gotów jest poświęcić się dla przyjaciela. Z tém wszystkiém to odrzeczenie się jego od wszelkiéj przeciwwagi na samowolność myśli i mowy, sprawuje iż ściślejsze z nim stosunki są nieznośne. Bo ta szczerość ktoréj głosi się być zapaśnikiem, chyba dla anioła cierpliwości mogła by niebyć obraźliwą. Zawsze siebie na wzór podaje, to nieszczęśliwe JA tak potępione w dobrém towarzystwie, u niego ciągle na placu. „Ja to zrobiłem — ja tak uradziłem — ja inaczéj nie postępuję.“ Ciągle mówić o sobie jest to główna cecha źle wychowanego nudziarza, a na nieszczęście tą cechą Pan Tupajło jest napiętnowany.

---

cześnych pisarzów francuzkich, przyjęła obyczaje i tryb życia męzki. Jest to baragoła w spódnicy, i to jéj uchodzi w Paryżu. U nas jawią się baragołki, ale między dziewczętami bez żadnego wychowania, które ani mają przystępu do wyższego towarzystwa prowincyi, ani się o niego starają. Ale zapytuję, czyżby u nas kobieta ukształcona mogła zostać tém czém jest Jerzy Sand, czyby mogła bezkarnie pozwolić sobie nawet niewielkiego wykroczenia przeciwko obyczajów przyjętych od naszéj płci nadobnéj?

Mało tego, ta szczerość robi z niego najuciążliwszą plotkę, jaka mogła się kiedykolwiek między babami pojawić. I tak, myśli że daje dowód przyjaźni, kiedy przyjacielowi opowiada bez ogrodki to co słyszał przeciwko jemu powiedzianego, nie domyślając się, w jak smutném położeniu ta szczerość przyjaciela stawi. Niema społeczeństwa którego połowa, drugiéj połowy nie obmawia i nie potwarza. Na wyższym świecie obmowy i potwarze są zaprawiane dowcipem, na niższym wyrzekają się po grubiańsku, ale ich jestestwo jest to same. Na to każdy człowiek winien być wyrozumiałym, i mało dbać na obelgi nie w jego przytomności wyrzeczone. Jeżeli gorliwy przyjaciel słyszy szarpanie sławy swojego przyjaciela, wielce jest godnym pochwały, gdy się za nim ujmuje; jeżeli milczy, a potém donosi jemu to co usłyszał uszczerbek przynoszącego jego osobie, nie wywiązuje się z obowiązków przyjaźni, ale w istocie dopuszcza się czynu nikczemnego, który tylko tém wymówionym być może, że pochodzi z wielkiego głupstwa. Bo rzeczywiście nie ten obraża, co nieprzytomnego szarpie, ale ten co mu nie dopuszcza o tém niewiedzieć *.

---

* Ta posługa przyjacielska osobliwszego rodzaju, żeby przyjacielowi donosić to co się słyszało przeciwko niemu, przypomina mi list co go odebrał w Warszawie hrabia N*.

Jednak nie można przeczyć Panu Tupajle ani światła, ani uczciwości: skąd-że pochodzą te jego ciągłe wyboczenia i ta cierpkość w obcowaniu, która poniekąd unicestwia w życiu towarzyskiém wszystkie jego przymioty? O to ztąd, że powziął błędne przekonanie, że indywidualny rozum może mieć słuszność przeciwko zbiorowemu rozumowi, który wyrobił wszystkie ustawy towarzyskie przekazane podaniem, a na których się opiera ukształcenie, a nawet oświecenie narodów. W tych ustawach nie ma nic dowolnego; każda z nich wypłynęła z niezbędnych potrzeb to-

---

W tym liście komisarza jego dóbr na Ukrainie, były te słowa: „Pan M., sąsiadujący z dobrami JW. Pana, zabierał się postawić karczmę na granicy dóbr Pańskich, lubo w tranzakcyi zawartéj przy kupnie jego wsi, wyraźnie zastrzeżono, żeby karczmy na tém miejscu nie stawiano. Ja widząc arędę Pańską zagrożoną podrywem, wyjechałem konno na granicę, i tam zastałem cieśli zajętych budową karczmy, i samego Pana M. zagrzewającego ich do roboty. Zacząłem od perswazyi, żeby zaniechał tak nieprawego kroku, ale widząc go twardym, powiedziałem mu, że o tém zmuszonym będę donieść JW. Panu, a że ten nieomieszka wyjednać dla siebie sprawiedliwości. Na to Pan M. mnie odpowiedział: i ty k... i twój pan k...

„Co wyraziwszy, mam zaszczyt być

JW. Pana

wiernym sługą.“

warzyskich ; chociaż to pochodzenie niezawsze jest widoczne. Ten antagonizm między rzeczywistą cnotą, a prawidłami przyzwoitości przyjętemi w ukształconym towarzystwie, istnieje jedynie w płytkich mózgownicach. Szorstkość w obcowaniu ani jest cnotą, ani barwą cnoty. Między duchem a formami któremi on się wyraża, jest tak ścisłe powinowactwo, że lubo bez wątpienia można obejściem się swojém zostać ozdobą najwykwintniejszych salonów, a przecie być w gruncie podłym i niepoczciwym, wszakże i to jest niemniéj rzeczą pewną, że gdzie tylko rozpowszechni się wzgarda form salonowych, tam w ścisłym stosunku z tą wzgardą, społeczność traci uczucie honoru, a demoralizacya publiczna się szerzy.

Zapewne że przepisy salonowe, dobry ton, domaganie się przyzwoitości w odzieży, w poruszeniach, w mowie, nie stworzą cnot, które wyłącznie z uczuć religijnych rozwinąć się mogą. Ale przynajmniéj przygotowują do cnoty, naginając ludzi towarzyskich do w prawdzie niewielkich, ale ciągłych ofiar, przez które jeden dla drugiego nie jest ciężarem. Natura ludzka jest tak skażona, że czy w towarzystwie wykwintném, czy w grubiańskiém, zawsze cnota pozostaje w mniejszości; ale w pierwszém, złe nie jest bezczelne, czego o drugiém powiedzieć nie można. Nakoniec, cywilizacya nie jest czczym wymysłem, jest ona celem doczesnym ludzkości. A widzimy że im nadobniéj cywilizacya naro-

dowa objawia się w obyczajach, kunszcie, literaturze, polityce, tém nadobniejsze są formy dające przystęp do wyższych towarzystw narodu, tém więcéj wymaga się ścisłości w ich przestrzeganiu.

Ten rokosz przeciwko temu wszystkiemu co jakąś tamę jeszcze stawi samowolności, doprowadzi nas do zupełnego barbarzyństwa, zwłaszcza jeżeli salon zamiast zrobienia reakcyi, niezaprzestanie czynić ustępstw, jakkolwiek mało znaczących, jednak wątlących jego pierwiastkową czystość*. A przyczyny tego rokoszu przynajmniéj pierwszowzględne, są: ograniczoność rozumu, pycha która jest nieodstępną towarzyszką tego ograniczenia, a nadewszystko lenistwo**.

---

* W wielu domach, damy pełne wdzięków i ukształcenia, już pozwalają cygara kurzyć w ich przytomności. W tém przynoszą swoim salonom szkodę i materyalną i moralną. Materyalną, bo obicia jedwabne od niczego tak nie płowieją jak od dymu tytuniu. Moralną, w atmosferze tym dymem zagęszczonéj, rzadko kiedy miazma rozumu się przebija. Fajka jest niezbędna w kurdygardzie, pożyteczna w samotności, w salonie tyle tylko z niéj korzyści, że głupiec im więcéj pali, tém mniéj mówi.

** U nas w powszechności ludzie tak dalece z leniwieli, że wszystko co wymaga jakiéjkolwiek usilności, już staje się dla nich nieznośnym uciskiem: z tego więc koniecznie trzeba się wyłamać. A na usprawiedliwienie tak nierozsądnéj dążności, nawet piśmiennictwo krajowe nie odmówiło użyczyć pióra. Wybiorę jeden przykład. Mowa, owe

Studyowałem długo Pana Tupajłę, i przekonałem się, że nie inne są pobudki szorstkości jaką się uzbraja w towarzystwie, tylko dwie ostatnie. Nadto leniwy żeby się

---

potężne narzędzie, dana jest ludziom: 1-mo, dla wyrażenia niezbędnych potrzeb; 2-do, dla nabycia jakichś korzyści wypływających z życia społeczeńskiego, lub ochronienia siebie od szkody; 3-tio, ażeby wyszedłszy z koła potrzeb, korzyści i niebezpieczeństw indywidualnych, ludzie znajdywali przyjemność w obcowaniu wzajemném. Na pierwszém stanowisku człowiek żadnym przepisom nie ulega, odzywa się samorzutnie w miarę potrzeby jakiéj doświadcza. Bo i bydle ma środki, którémi te potrzeby objawia zewnętrznie. Na drugiém, już ulega pewnym prawidłom, gdyż pragnąc otrzymać jakąś korzyść wypływającą jedynie z życia towarzyskiego, musi innych przekonywać, żeby zadość uczynili jego chęci. Tu już potęga natury ustaje, a zaczyna się sztuka, która w postępie przyrodzonym wyrobiła logikę, wymowę, retorykę, nawet prawodawstwo. I niema w towarzystwie zwolennika swobody bezwzględnéj, tak ścisłego, żeby nie ulegał dobrowolnie jakimś sztucznym i niewygodnym prawidłom, ile razy chodzi o jego osobisty interes. Umié on wtedy swoją dezinwolturę na kołku zawiesić, i widziałem aż nadto często tych stoików, tak energicznie powstających na wszelkie względy i wymagania towarzyskie jako na obłudę, poniżających się przecie aż do podłości przed tymi, którymi w duchu pogardzają, ile razy w nich pokładali jakąś nadzieję, lub przez nich doświadczali uczucia bojaźni. Na trzeciém stanowisku, gdzie tylko o przyjemność idzie, trzeba albo siebie wskazać

umieć kobietom podobać wykształceniem mowy i obejścia się, bez zatarcia darów przyrodzonych swojéj indywidualności: woli niemi pogardzać, i nie bez jakiéjś słuszności, bo przeczuwa że gdyby chciał być grzecznym został by sztywnym, nudnym, przesadnym. Więc wygodniéj dla niego być grubianem, obraźliwym, sprośnym, tak jak jest wygodniéj potępiać ukształcenie, niżeli zadać sobie pracę z niego uczestniczyć. Co się tyczy zaniedbania w odzieży z jakiém się Pan Tupajło popisuje, a w którém jego zwolennicy już go za sobą zostawili, jakkolwiek on usiłuje go tłumaczyć wyrozumowanemi teoryami, rzeczywiście nie ma innéj przyczyny tylko lenistwo. On tu staje się podobnym do dziecka które płacze, kiedy mu się umywać każą. Bo już-ci bez zaparcia się roz-

---

na milczenie, albo mowę swoją zaprawiać dowcipem. Bo zapytuję każdego, czy jeżeli ma zaspokojone pierwszowzględne potrzeby, a w towarzystwie w którém tylko przyjemności szuka, nawet z daleka nie przewiduje żeby w niém mógł ułatwić jakikolwiek swój interes osobisty, czy, mowię, chętnie użyczy uszów rozmowie obnażonéj z wszelkiego dowcipu? Dla czego ta sama rzecz opowiadana od jednego nudzi, od drugiego zajmuje wszystkich? Oto dla tego że drugi ma dowcip, a pierwszy jest bez dowcipu. Zostaw ludziom cnoty, nauki, rozum, a odejm dowcip, do tego stopnia utrudzisz zamianę myśli, że w krótce cała cywilizacya runie.

sądku przyrodzonego, utrzymywać nie sposób, że przyzwoitość odzieży, jakkolwiek ulegająca zmianom w formie, w jestestwie swojém była dowolną. Gdziekolwiek jest porządek, tam domaga się pewnéj jednostajności w odzieży, i gdzie by zwierzchność obojętnie patrzała na zaniedbanie téj jednolitości zewnętrznéj, samo z siebie nastąpiło by stopniami rozprzężenie ducha saméj instytucyi. Cynizm w powierzchowności objawia zawsze jakąś degradacyę wewnętrzną. W naszéj społeczności, nie potrzeba wgłębiać siebie w obcowanie z płcią nadobną, żeby się przekonać o jéj moralnéj wyższości nad płcią męzką: dość rzucić okiem na starowność i dobry smak jéj ubioru, i porównać je z zaniedbaniem prawdziwie cyniczném mężczyzn.

Kto nie szanuje, nie ubóstwia że tak powiém kobiet, ten nie wart sam szacunku; najdelikatniejsze uczucia serca i umysłu będą dla niego zawsze obce. Salon jest polem, na którém ich potęga szczególnie się rozpostrzenia. Gdzie przywłaszczenie mężczyzn odjęło kobietom ich przyrodzone władztwo, tam niema salonu, pozostaje tylko zgiełk, w którym obie płci są pomieszane. Pan Tupajło wierzy w postęp ludzkości, a nie umié tego poznać, że nic więcéj nie dowodzi jéj odstępu, jak poniżenie téj płci, która jest jedyną dźwignią cywilizacyi.

Koniec Tomu Drugiego i ostatniego.

UJK Biblioteka Uniwersytecka w Kielcach
ANULOWANO

TREŚĆ TOMU DRUGIEGO.

Stronica

Szulerstwo. 1
Kartownicy. 26
Próżniactwo. 81
Awanturnicy-Szlachectwo. 114
Rozwody. 162
Gbur. 178

Biblioteka UJK Kielce
UJK
0460167
22445